

Strzelec Anna

Okno z widokiem na Prowansję

Każdy człowiek prędzej czy później wymyśla sobie historię, którą uważa za swoje życie
Max Frisch

Moim bardzo realnym
i wirtualnym przyjaciółom
Anna Strzelec

Nie wszystko, co kocham jest moją własnością,
ale od dziś chciałabym móc i umieć delectować się
moim życiem...

W podróży

– Parlez-vous francais, monsieur?[1]

Odważyła się zapytać stewarda chyba tylko dlatego, że przypominał jej tatusia. Był trochę młodszy, ale bardzo do niego podobny. Jeszcze w domu, pakując swoje rzeczy na wyjazd do babci Leonii zastanawiała się, czy lekcje francuskiego, na które mama tak uparcie woziła ją i Marikę, na coś się przydadzą. Przecież Jeremi, nazywany przez mamę wujkiem umie mówić po polsku. Teraz chciała się po prostu przekonać: czy ją ktoś zrozumie, czy cała nauka poszła sobie w las.

– Oui, mademoiselle, sil-vous plait[2]– odpowiedział z uśmiechem mężczyzna, stawiając na stoliku przed Marysią plastikowy kubek z sokiem pomarańczowym.

– Do you speak English?[3]

– Yes, me too[4]– roześmiała się tak radośnie, że Marika podniosła głowę z kolan Iwony, na których to drzemała od kilkunastu minut.

– Co mówiłaś?

Jasne loki opadły jej na buzię i przykryły zaspane oczy.

– Powinnaś rozumieć – powiedziała wyniośle Marysia. – Chodziłaś na angielski? No właśnie! A poza tym wyglądasz teraz jak pudel!

– Spałam, nie słyszałam, mamó, ona znów się mąduje. – Marika była bliska łez.

Iwona przygarnęła na nowo do siebie młodszą córeczkę, a starszą objęła drugim ramieniem.

– Nie kłóćcie się, jestem pewna, że wasza znajomość języków obcych na dzień dzisiejszy jest zadowalająca. Wiem, że lot staje się męczący, ale wytrzymajcie jeszcze trochę. Została nam godzina, no może półtorej do Nowego Jorku. Włączyć bajkę?

Dodatkową atrakcją podróży, w której znajdowały się od sześciu godzin były nie tylko rozkładane siedzenia, poduszki, pledy do przykrycia oraz kolorowanki z pisakami, a także monitory umieszczone „na plecach ludzi” – jak stwierdziła Marika o tych, którzy siedzieli przed nimi. Iwona przewinęła pilotem kilka programów aż na ekranie ukazał się początek filmu, który już co prawda dziewczynki widziały, ale na który zareagowały bardzo entuzjastycznie.

– O, Alwin, zostaw mamó, zostaw, Alwin i wiewiórki!

– OK, oglądamy, każda na swoim, proszę. Chyba przed miesiącem były razem w kinie i wyszły zachwycone przygodami wiewióreczek, animacją i muzyką oraz naturalnie happy zakończeniem filmu. Teraz powtórka z rozrywki, a dla Iwony parędziesiąt minut spokoju i czasu do namysłu.

– Już nie mogę się was doczekać – mówiła Leonia w ostatniej rozmowie z nimi. Od dnia, gdy mieszkanie Steffi i Jurgena zostało sprzedane, a Manfred przysłał Iwonie dokumenty oraz przelał uczciwie na Leonii konto połowę należnej im sumy; mogły pozwolić sobie na częstsze telefoniczne kontakty.

– Mam nadzieję, że ci się u nas spodoba. Mieszanina ciekawości i podniecenia Iwony

przed spotkaniem z matką po kilkumiesięcznym rozstaniu i wszystkich wydarzeniach, jakie całą rodzinę w ostatnim czasie spotkały - sięgała zenitu. Podekscytowana jestem jak Marysia, albo Marika – myślała. Cieszyła się, że matka jest szczęśliwa, bo wiele na to wskazywało i postać tego francuskiego, „morelowego” ideała sądząc z opowiadań Patrycji też była interesująca. Sama Iwona po ostatnich przejściach, dotyczących jej ślubnego i afery, w którą została przez niego wmanewrowana nie miała ochoty na żadne damsko-męskie kontakty. Jedynie Manfred stał się niespodziewanym wyjątkiem i kwita.

Stewardesa zbierała pojemniki po ostatnio serwowanym daniu, Iwona poprosiła o kawę, a dziewczynki ze słuchawkami na uszach zapatrzone w monitory niczym asyentki pilota machnęły tylko odmownie rękami, żeby im nie przeszkadzać.

Jeszcze kilkanaście minut i NY. Kto przyjedzie na lotnisko? Chyba go nie puści samego – myślała o matce i Jeremim. Co to za imię, a zdrobniale? Remy? Remy Martin – jak dobry koniak i uśmiechnęła się w kierunku córek widząc, że wiewiórcze przygody dobiegają końca.

– Zapinamy pasy, moje drogie!

– Juuuuz?

To samo lotnisko, na którym przed pięcioma miesiącami Leonia rozpoczęła swoją amerykańską przygodę.

Dzisiaj czekali oboje: matka z radosnym bukietem lewkonii, jak zawsze szczupła, dziś sportowo ubrana. Stojący obok niej mężczyzna wyglądał podobnie, jak go sobie wyobrażała. Wysoki, szpakowaty z uśmiechem wzbudzającym zaufanie. Iwona odetchnęła z ulgą i ruszyła w ich stronę, ale dziewczynki były pierwsze.

– Babciu, babi!

Dwie kolorowe walizki zostały w przejściu, pasażerowie omijali je przystając i obserwując radosne spotkanie Leonii z wnuczkami. Marika ścisnęła ją za szyję, a Marysia nie zważając na kwiaty, przytuliła się do jej boku. W zamieszaniu jakie powstało Jeremi podszedł do Iwony, pomógł jej odstawić bagaże na bok a potem wszyscy dokończyli ceremonię powitania. Leonia płakała.

– Mamusiu, no coś ty, już jesteśmy, jakie piękne kwiaty, nie trzeba było, o tej porze musiały majątek kosztować! Leonia trzymała córkę w ramionach i obie miały wrażenie, że tym gestem dziękowały, przepraszały i starały się wyrazić wszystkie uczucia z jakimi żyły i walczyły w ostatnim czasie.

– Witajcie w Nowym Jorku! Załadujemy wasze walizki na wózek.

Jeremi już podjeżdżał i jak sprawny bagażowy ułożył dwie duże i dwie małe walizki, a na samą górę posadził Marikę. Marysia szła obok niosąc bukiet.

– Sorry, jesteś troszkę za duża – uśmiechnął się do starszej dziewczynki. – Jak minęła wam podróż, to twój pierwszy lot?

– O tak i to całkiem znośny.

Była zadowolona, że nowy wujek Jeremi rozmawia z nią jak z dorosłą. Niech sobie Marika siedzi na tej górze i niech lepiej uważa, żeby nie zleciała. Kochała siostrę, ale bywały momenty, w których zwyciężało uczucie zazdrości. Wydawało jej się, że mama poświęca Marice więcej czasu oraz częściej ją przytula, a poza tym tęskniła za tatą, który niewiadomo dokąd wyjechał i kiedy wróci.

Idąc z Leonią za tą bagażową procesją, Iwona objęła ponownie matkę za ramię.

– Wybacz mi to, co na początku napisałam.

– Co masz na myśli ?

– Pamiętasz? Prosiłam cię, żebyś nie pakowała się w nowe afery.

– A co powiesz teraz?

– Świetny facet! Skrzyżowanie Colina Firth’a z Charlesem Shaughnessy’em w słusznym wieku.

– Kim?

– Shaughnessy, grał w Niani. Ach, mister Sheffield!

– Na to bym nie wpadła! Leonia śmiała się serdecznie wychodząc razem z córką na parking, na którym Jeremi zostawił auto.

Ten dzień upewnił mnie w przekonaniu, że decyzja pozostania w NY, zamieszkania z Jeremim i rozpoczęcia nowego etapu w moim życiu była słuszną. Byliśmy w drodze do Port Jefferson, a dziewczyny, czyli moja córka i dwie wnuczki na tylnym siedzeniu samochodu podziwiała okolicę. Bezwiednie wróciłam myślami do innego dnia, w którym siedziałam obok milczącego Wiktora wiozącego mnie do Queens i nie wiem czemu poczułam na nowo gorzkość tamtej przygody, której inaczej, jak właśnie tylko przygodą, teraz nazwać nie umiałam, bo ogrom oczekiwań spełnienia naszego związku tak bardzo mnie zaślepił. Jak to się dzieje, że niektóre związki pełne namiętności, łez radości i absolutnego zaangażowania wspominamy po latach z niesmaką? W spadku pozostały listy, maile, wiersze – jak nie moje i nie dla niego, jakbyśmy nigdy razem nie istnieli... Miłość wypaliła się, gdzieś na dnie wśród zgliszczy tli się jeszcze żal niespełnienia, przed którym bronię się, bo nie mam zamiaru go podsycać, ani minionych wydarzeń rozpamiętywać. Czy Jeremi wspomina Jacqueline? Podczas naszych spotkań na początku znajomości powiedział mi, że była i odeszła; gdy ja, trochę obszerniej, że przyjechałam do kogoś, z kim miałam nadzieję spędzić resztę życia, lecz zakosztowałam zdrady i rozczarowania. Przekazaliśmy sobie informacje, niczym wzmianki o nagłych załamaniach pogody, choć prognozy były dużo korzystniejsze. Nigdy nie rozmawialiśmy szczegółowej o naszych związkach i miłosnych niepowodzeniach. To dobrze czy źle? Nauczyłam się nawet w myślach omijać „wiktrowy” fragment mojego życia, ten i jeszcze kilka innych. Być może posypywanie wspomnień popiołem nieistnienia udaje nam się do dziś?

Teraz milczałam chyba zbyt długo i takie zachowanie było oczywistą niegrzecznością z mojej strony, gdyż Jeremi dotknął z pytającym spojrzeniem mojej ręki i tym gestem przywrócił mnie z zamyślenia do rzeczywistości.

– Sorry – uśmiechnęłam się poprawiając na kolanach kwiaty, które Iwona dała mi do potrzymania na czas jazdy.

– Ale piękne stateczki, a ten duży biały, ojej!

Marysia i Marika o mało nie wyskoczyły z zachwytem z foteli. Byliśmy już w Jefferson, a ulica wiodła częściowo wzdłuż zatoki, gdzie cumowały prywatne jachty i szkoleniowo-naukowy R/V Seawolf należący do uczelni Jeremiego, którym on wraz z grupą studentów wypływa, aby badać morskie żyjątki. Zaczęłam opowiadać o tym dziewczynkom i właśnie kończyłam, gdy zatrzymaliśmy się przed naszym domem.

– I jest tak, jak mi opisywałaś. – Iwona rozejrzała się wokół i z porozumiewawczym uśmiechem mrugnęła do Jeremiego. – Super wybrałaś!

Widziałam, że pochwała ta sprawiła mu przyjemność, a pierwsze kontakty z moją rodziną zostały miło nawiązane.

Sally wybiegła do nas z radosnym poszczekiwaniami, ale na jej widok Marika schowała się za plecami Iwony.

– Nie bój się, zobacz, przecież ona wygląda jak dziecko Jessie.

Wszyscy pozwoliliśmy Sally na powitalne polizanie rąk i odkładając na później rozpakowanie bagaży rozsiedliśmy się na kanapach w livingroomie. Na tarasie stały co prawda

jeszcze ratanowe meble, ale wiatr szarpał bezlitośnie pnączami bluszczu. Może jutro pogoda pozwoli na wystawienie naszych twarzy do słońca?

– Kto miałby ochotę zjeść pizzę?

Jeremi wysunął nęcącą propozycję, przy której prawie zapachniało nam w pokoju i liczył uniesione w górę palce oraz paluszki, a następnie telefonicznie zamówił według życzeń: wegetariańską dla Marysi, salami Marice, Iwonie i mnie z szynką, a sobie oczywiście z owocami morza – jak to na szanownego ichtiologa przystało. Co on powiedział podczas jednego z naszych pierwszych spotkań: „badam i wiem, co jem”? Tak, wtedy pochłanialiśmy pyszne smażone ryby w knajpie przy plaży na Staten Island, a potem... poszliśmy na spacer plażą... i przed zachodem słońca kochaliśmy się pierwszy raz...

Spojrzałam na uśmiechniętego Jeremiego popijającego piwo i rozmawiającego z moją córką. Ogarnęło mnie uczucie szczęścia, spokoju a także wewnętrznego zadowolenia. Z samej siebie i nas obojga.

Widocznie tak miało być. Dobry Boże, nie zepsuj niczego... Proszę, niech tak pozostanie.

[1] Czy mówi pan po francusku (franc.)

[2] Tak panienko, proszę (franc.)

[3] Czy mówisz po angielsku (ang.)

[4] Tak, też (ang.)

Promienie słońca prześlizgiwały się przez błyszczące liście.

W trawie drżały białe stokrotki.

Oskar Wilde „Portret Doriana Graya”

– Zajmiecie ten większy pokój, a mały zostawimy dla Jacquesa – mówiła Leni wchodząc po schodach z Jeremim i dziewczynkami, jak je wszystkie w myślach nazywała. Pomagali im się rozgościć, wnosili bagaże, wskazywali łazienkę i bardzo starali się, żeby całej trójce było wygodnie. Iwona stanęła przy oknie, odsunęła białą firankę – taką w stylu country z angielskim haftem i spojrzała z zachwytem przez okno.

– Ależ pięknie tu macie. Między wysokimi platanami, które rosły za ogrodem należącym do matki i Jeremiego prześwitywały wody rozległej, już niebiesko grafitowej o tej porze dnia zatoki. Marika i Marysia, które rozłożywszy się jak długie na szerokim łóżku testując w ten sposób jego wygodę, teraz rzuciły się do okna.

– To te same żagłówki, które widziałam, gdy tutaj jechaliśmy? – wołała Marika.

– Jachty, nie żagłówki – poprawiła ją Marysia.

– Tak, te same. Jachty, żagłówki i stateczki. Jeremi zażegnał spór. – To druga strona z widokiem na zatokę. Skąd odpływają też niektóre transoceaniczne. Gdy odpoczniecie, możemy jutro odbyć pierwszy spacer, a zaczniemy oczywiście od naszego miasteczka.

Iwona stała zamyślona. Życie potrafi zaskakiwać swoimi poczynaniami. Tragicznie, to znów zadziwiająco wspaniale. Jak to było kiedyś powiedziane: że wszystko co nam się zdarza każdego dnia, nawet jeśli wyciśnie łzy z oczu - ma swój sens? I poczuła, że im zazdrości. Pozytywnie i tkliwie.

– To jedno z najbardziej urokliwych miejsc, jakie dotychczas w życiu widziałam, ten wasz Port Jefferson – mówiła Iwona idąc z Mariką za rękę. Za nią podążali Leni z Marysią i Jeremim. Odbywali właśnie wczoraj obiecany spacer. Zwiedzili już port, gdzie dziewczynki miały okazję z bliska podziwiać jachty, które stały się ich miłością od pierwszego wejrzenia. Głośno czytały ich nazwy i przyglądały się, jak niektórzy właściciele szykowali swoje wodne pojazdy do zimowej przerwy.

– Jennifer, Black Mary, Linda, a ten duży Seawolf – czytała Marysia.

– Właśnie tym dużym wypływam z moją armią jak prawdziwy wilk morski.

Leni i Iwona roześmiały się, a dziewczynki przystanęły z zadziwienia.

– Należysz do Armii? Niemożliwe, mama nic o tym nie opowiadała. Marysia z niedowierzaniem patrzyła na Jeremiego.

– Sorry, zażartowałem. Armią nazwałem grupę moich studentów z którymi wypływamy z zatoki, aby pobrać próby wody do badania, a nazwa statku to właśnie „Wilk morski”.

– To dobrze, bo już się bałam, że wypłyniesz gdzieś, może na wojnę i opuścisz nas jak mój tata.

Marysia szła trzymając Jeremiego za rękę jakby chciała zapobiec zniknięciu kolejnego mężczyzny z jej życia. Pomyślał, że dziewczynka jak na ukończone siedem lat jest nad wyraz rozwinięta i omijając temat tatusia powiedział: – Nie martw się, na razie nigdzie się nie wybieram.

– Popatrzcie, ten bulwar nazywa się West Broadway – zawołała Iwona. – Ależ to nowojorskie. A jego przedłużenie to East Broadway i obie ulice mają trasę rowerową.

– Niestety nie mamy rowerów. Jestem głodna – stwierdziła Marika.

– Zaraz pójdziemy coś zjeść – Leonia uspokajająco ujęła rączkę wnuczki – zobaczcie jaki piękny jest ten pomnik. To mówiąc zrobiła zdjęcie, a Iwona głośno czytała słowa umieszczone na stopniu, na którym przykucnął wyrzeźbiony chłopczyk: in memory of Darla who died giving life at 37 years. Przystanąli.

– W dokładnym tłumaczeniu znaczy „dla uczczenia pamięci Darli, która umarła dając życie w wieku 37 lat”, znaczy się umarła przy porodzie trzeciego dziecka – tłumaczył Jeremi.

– Musiała być bardzo kochana, to niesprawiedliwe – powiedziała Marysia.

– Dzieci mamusi nie mają... Marika była bliska łez.

Nie po raz pierwszy już dziś Jeremi przyznał w duchu, że młodsza córka Iwony podobnie jak Marysia jest istotą bardzo wrażliwą. Reakcje obu dziewczynek wskazywały na to, że odejście taty i rozstanie z krajem jest dla nich dużym przeżyciem. Widząc na co się zanosi, zapytał:

– Czy ja słyszałem, że ktoś był głodny?

– Taaak – przytaknęli wszyscy szybko i z wyraźną, popartą uśmiechami, ulgą. Leni pomyślała, że Jeremi czasami potrafi błyskawicznie znaleźć receptę na poprawę nastroju, a on wskazując ręką drugą stronę ulicy, zawołał: – No to proponuję rybkę!

Naprzeciw bulwaru kuśił obiecujący widok. Restauracji Seafood, którą miał na myśli.

– Mam nadzieję, że nie będą marudzić, bo nie przepadają za rybami i widzę, że są już zmęczone – szepnęła Iwona do matki.

Leni roześmiała się.

– Kochana, nad rybami w Porcie Jeff nie można marudzić. One są po prostu pyszne!

Każdy z nas ma dwie rzeczy do wyboru:
jesteśmy albo pełni miłości... albo pełni lęku

Albert Einstein

– Mógłbyś jutro te małe girls zabrać gdzieś na lody? Chciałabym trochę pobyć sama z moją córką i porozmawiać o wszystkim, co zdarzyło się w kraju i Remscheid podczas mojej nieobecności – zapytałam Jeremiego.

– D'accord, ale pojutrze już mnie nie ma, pamiętasz, tak? Pewnie, że pamiętałam. Po trzech dniach urlopu, które wziął z okazji przylotu gości, Morelowsy musiał wrócić na uczelnię. Oczywiście żałowałam, bo było bardzo miło przez ten czas mieć go przy sobie.

– Przespałam się z nim, powiedziała spoglądając figlarnie w moją stronę.

Dlaczego przypomniła mi teraz uśmiech i spojrzenie Steffi, mojej bliźniaczej siostry – wtedy jeszcze małolaty, gdy pewnego dnia wróciła późno wieczorem ze spotkania z Maćkiem i wyznała, że się z nim całowała?

– Zwariowałaś! Dlaczego?

Moja gwałtowna reakcja zdziwiła mnie samą, ale było już za późno, by coś poprawić, a ona powiedziała:

– Cóż to za pytanie, mamó? I dodając po chwili:

– Wiesz jak to czasem jest, nastrój chwili... Było miło i czule.

Starsi panowie też potrafią kochać...

– Wiem coś o tym – rzuciłam znów zaskoczona własną odpowiedzią i roześmiałyśmy się.

– Potrzebowałam przytulenia, ponownej akceptacji mojego ciała, namiastki uczucia, które odleciało gdzieś hen, daleko.

Iwona usprawiedliwiała się. Tłumaczyła, jakby rozmowa którą prowadziłyśmy toczyła się podczas wizyty u psychoterapeuty, a nie między matką i córką.

– A on? – przerwałam nietaktownie próbując wyobrazić sobie Iwonkę w ramionach mojego szwagra, którego twarzy już nawet nie pamiętałam.

– Zachwycił się...

– O matko! Mam nadzieję, że perwersyjnie nie wyobrażał sobie, że kocha się ze Steffi.

– Mamó! – skarciła mnie ponownie. – Nie sądzę. Nic na to nie wskazywało, chociaż już pierwszego dnia po moim przyjeździe do Remscheid powiedział, że jestem bardzo do Steffi podobna.

Westchnęłam głęboko. Szkoda, że mnie tam nie było, może nie dopuściłabym do takich hocków klocków. Znów matczyzna czujność obudziła się we mnie zbyt późno, a przecież wcale nie chciałam okazać się ciekawska w oczach mojej dorosłej córki.

Siedziałyśmy na tarasie łowiąc jesienne promienie i wys-tawiając nasze twarze słońcu pod nos. Sally, jak niegdyś Jessie leżała u moich nóg. W dalszym ciągu nie mogłam zagłębiać się we wspomnieniach sprzed kilkunastu miesięcy. Są rany, które nie chcą się tak do końca zablźnić i bywa, że nawet czas całkowicie ich bólu nie uśmierza.

Iwona z przymkniętymi oczami i uśmiechem Steffi w kącikach ust, wyciągnięta na koszykowym fotelu kontynuowała:

– Po moim wyjeździe dostałam od Manfreda list. Kilka bardzo przyjemnych zdań napisanych na eleganckim papierze listowym, w których dziękował mi za pomoc w przygotowaniu wystawy i spędzone razem chwile. Wyraził też chęć przyjazdu do Polski i spotkania ze mną, czym nawet ucieszyłam się. Coś mu jednak w tym przeszkodziło. Tak wyraził się w następnej korespondencji, która dotyczyła sprawy sprzedaży domu, przysyłania dokumentów i przelewu pieniędzy. A ja za wszystko podziękowałam mu i poinformowałam o terminie odlotu do Was. Wtedy zadzwonił, życząc nam oczywiście udanej podróży i wiesz, o co zapytał?

Mogłam się spodziewać. Z pewnością o to, czego absolutnie nie życzyłabym sobie w zaistniałej sytuacji i zmianach w naszym życiu. Spojrzałam na Iwonę pytająco, bez większego zainteresowania.

– Widząc twoją minę przypuszczam, że się domyślasz – powiedziała popijając preferowany przez nas kalifornijski sok pomarańczowy. – Tak, zapytał czy byłoby to możliwe, abyśmy się wszyscy tutaj w NY spotkali.

– Jeszcze czego – prawie burknęłam i zaraz zawstydziłam się, bo „burkanie” raczej nie było moim zwyczajem. – Wiesz córcia, wydaje mi się, że historia z niemiecką rodziną jest dla nas już zamknięta i tak trzeba ją potraktować.

– O mało co nie byłaby – westchnęła.

Prawie zmartwiałam. – Mów, proszę cię!

– Nie miałam okresu przez kilkanaście dni... myślałam, że jestem z nim w ciąży.

– Jezus Maria!

Poczułam zimny dreszcz na plecach.

– Spoko, mamó, wszystko OK. Przez ten wyjazd, nasze rodzinne zawirowania i seks po dłuższej, łóżkowej przerwie wszystko mi się poprzestawiało. Możesz sobie wyobrazić, co ja przeżyłam?!

– Mogę. Byłaś u lekarza?

– Jasne, nie ma problemu. Strach ma wielkie oczy.

Wytarłam spocone ręce na grzbiecie Sally. Powinnyśmy porozmawiać jeszcze o Robercie, narkotykach i jego odsiadce, ale mnie wystarczyło na dziś to co usłyszałam. Poza tym z głębi domu dochodziło dwugłosowe, radosne: – Mami, babi! To Jeremi wrócił z Mariką i Marysią z wędrowek po mieście.

Wstałam myśląc, że wypełnieni po brzegi uczuciem samotności, bywamy czasami bardzo lekkomyślni.

Mimo irytacji w jaką wpędziło mnie jej postępowanie, w głębi duszy rozgrzeszałam ją. Kiedyś też taka byłam. Niestety...

Z łazienki dobiegały pracowite bębnienia kropel wody. Dużo głośniejsze niż te za oknem, ale tu i tam słyhać było prysznic. Czekałam na Jeremiego w sypialni, siedząc na naszym wygodnym, szerokim łóżku i po raz drugi przeglądałam książki – prezenty, które przywiozła Iwona. Dowody sympatii i uznania zawsze bardzo mnie cieszyły, a szczególnie te, o których myślałam, że nagradzają moje dotychczasowe poczynania. Kilka znajomych osób wiedziało, że Iwona wyjeżdża do nas w odwiedziny i stąd na mój stary, domowy adres nadeszły radosne przesyłki. Głaskałam je teraz z wdzięcznością i układałam na nocnym stoliku.

Od Róży – Elwiry, dzięki której polubiłam Anne Rivers Siddons mam Dom nad Oceanem i Żonę piekarza – Marcela Pagnola. Marysia i Marika, którym chętnie czytałam rozdziały Mikołajka zaraz poznały, że okładkę projektował ten sam Jean-Jacques Sempé. Bardzo mnie cieszy, że one też nie umieją żyć bez książek, podobnie jak ja i Jeremi. Co prawda on więcej

czasu poświęca literaturze fachowej, ale tylko wtedy, gdy jest mu to aktualnie potrzebne.

Od pani Marii – recenzentki, która moim pierwszym książkom poświęciła wiele pozytywnych sformułowań i pochwał, otrzymałam opowiadania ekwadorskiego pisarza, Raula Pereza Torresa – Ostatnie dzieci Bolera. W książce znajdowała się pocztówka będąca reprodukcją akwareli Jolanty Borek – Unikowskiej, artystki malującej ustami i kilka słów od pani Marii: Przyjemnej lektury! Bo tylko Pani doceni zawarte w niej metafory, jak ta o zielonych oczach pachnących miętą...

– Niesamowite i wzruszające, prawda? – powiedziałam kilka dni temu do Jeremiego, rozpakowując podarki i czytając mu dedykacje.

– Lubią cię i cenią, ma Chérie – skonstatował, biorąc „piękną piekarzową” do ręki. – Zabójczy jest ten Sempé, poczytam wieczorem.

Ukochane przeze mnie wieczory! Jeremi często wybierał jedną z leżących na stoliku po mojej stronie łóżka książek, a potem oboje zagłębialiśmy się w przeróżnych historiach – zarówno w tych pełnych fantazji, jak i prawdziwych. Za kryminałami i horrorami nie przepadaliliśmy, tylko Iwona miała w swojej domowej bibliotece obszerną kolekcję Agaty Christie.

– Przywiozłam ci jeszcze od Patrycji paczkę i list zawierający specjalne polecenia. Pół walizki zajęły mi książki, a dziewczynki też kilka swoich dołożyły – śmiała się.

Teraz, czekając na Jeremiego otwierałam z ciekawością list, który przysłała moja przyjaciółka.

Kochana, kilka słów odnośnie książek. Korzystając z okazji pakuję je dla Ciebie i mam nadzieję, że Ci się spodobają, a gdańskie ploteczki w drugim liście.

Już dość dawno temu kupiłam Córkę opiekuna wspomnień Kima Edwardsa, książkę, której się nie zapomina, a potrafi wycisnąć łzy. Akcja toczy się w USA w latach sześćdziesiątych i od pierwszych stron nie tylko zaciekawia, ale i wzrusza. Zaczyna się opisem odbioru porodu przez doktora Davida Henry’ ego. Rodzi się syn, a po kilku minutach ojciec przeżywa szok: na świat przychodzi córka z zespołem Downa. Szczęśliwe chwile nie trwają więc długo. Doktor, chcąc uchronić żonę przed bólem i wychowywaniem niesprawnego dziecka, podejmuje desperacki krok, poleca pielęgniarce oddanie małej do ośrodka dla upośledzonych. Ta jednak tego nie czyni i sama postanawia zaopiekować się noworodkiem. Żonie Henry powiedział, że córeczka zmarła podczas porodu. Przeczytaj, a dowiesz się czy doktor będzie mógł żyć spokojnie z tajemnicą i nieetycznym wyborem. Czy prawda wyjdzie na jaw, jak ułożą się relacje małżeńskie, no i jak życie bliźniaków? Mam nadzieję, że Ci się spodoba.

Faktycznie, już przy czytaniu tej mini recenzji napisanej przez Patrycję doznałam „emocjonalnych dreszczy”. Ciekawe, czy Jeremiego też zainteresuje.

Druga to jeszcze ciepła, jak świeża bułeczka, niedawno ukazała się w księgarniach Cukiernia pod Amorem Małgorzaty Gutowskiej-Adamczyk. Zajezierscy to pierwsza część trytomowej sagi o Gutowie. Książka gruba, ale ciekawa i czyta się jednym tchem. Współczesność na prowincji i przeszłość rozgrywająca się w mazowieckich dworach spletają się ze sobą. Autorka opisuje pokrętne losy, miłość nie zawsze odwzajemnioną, ludzkie namiętności i zdrady, nie tylko mężczyzn, ale i kobiet. Jest wątek osnuty tajemnicą, którą próbuje odkryć Iga, najmłodsza z rodu, córka właściciela owej cukierni. Podczas wykopalisk w Gutowie archeolodzy dokonują niezwykłego odkrycia, odnajdują mumię kobiety z pierścieniem, który przed laty zaginął z rodowej szkatuły. Kim jest kobieta, skąd znalazł się na jej palcu pierścień, w jaki sposób weszła w jego posiadanie? Pierwszy tom nie wyjaśnia zagadki, chociaż uważny czytelnik może się czegoś domyślać.

Mumia w Gutowie? Ciekawe, gdzie leży ta miejscina? Nie miałam pojęcia, ale sądzę, że treść książki wyjaśni mi. Może to byłoby coś dla Jeremiego? Saga o polskiej prowincji...

Życzę Ci spędzenia radosnego czasu z dziewczynami! Wyobrażam sobie, że opowieści nie będą miały końca. Zobaczysz jak wspaniałe masz wnuczki, nie wspominając już o Twojej dzielnej córce, którą podziwiam całym sercem. Jak długo mogą u Was zabawić?

I tak dalej, jak zawsze pełna ciepła i serdeczności Patrycja.

Mój ukochany, były mieszkaniec południowo-francuskiej prowincji wyszedł nareszcie z łazienki. Jak zwykle pachnący i niezmiennie przyprawiający mnie o zawrót głowy.

– Poczytamy? – zapytałam, wskazując leżącą na moich kolanach literaturę, a on w odpowiedzi zebrał książki i odłożył je na stolik. Mógł powiedzieć: – Chérie, nie po to się tak pięknie wykąpałem... albo coś równie prostackiego, ale nie byłoby to absolutnie w jego stylu.

On objął mnie spojrzeniem, a w tym momencie usłyszeliśmy na podłodze pod łóżkiem odgłosy skrobania. Czyżby myszy?

Ach, ta nasza Sally i jej pazury! Psina ewakuowała się do wyjścia z sypialni i Jeremi wstał, aby ją wypuścić.

[...] miłość jest kombinacją podziwu, szacunku i namiętności.

Jeśli żywe jest choć jedno z tych uczuć, to nie ma o co robić szumu. Jeśli dwa, to może nie jest mistrzostwo świata, ale blisko.

A jeśli wszystkie trzy, to śmierć jest już niepotrzebna:

trafiłaś do nieba za życia.

William Wharton

Kiedy otworzyłam ponownie oczy, to zamiast Iwony siedzącej na brzegu mojego łóżka i Jeremiego z drugiej strony zobaczyłam stojącą Steffi w granatowej, powiewnej sukience i z roz-puszczonymi, tymi jej fajnymi włosami, które odziedziczyły po niej moja córka i wnuczka Marika. Steffi pokiwała głową współczująco i uśmiechnęła się:

– Krucho z tobą było, ale nie panikujcie. Jeszcze nie czas, chociaż muszę ci powiedzieć, że TAM jest całkiem nieźle. Można się przyzwyczaić. To mówiąc pomachała mi ręką, na której zadzwoniły srebrne bransoletki, odwróciła się i odeszła.

Tylko tyle.

Przymknęłam oczy zastanawiając się, czy ponowna wizyta Steffi, to majaczenie będące skutkiem zastrzyków jakie dostałam, czy też moja siostra znów krąży wokół nas... i dlaczego? Przypomniałam sobie wieczór, gdy po przeczytaniu ostatniego listu od niej i przeanalizowaniu kilku minionych lat, prawie w ekstazie poprosiłam ją, aby wzięła moją Iwonę pod opiekę. Dziś nie mam pojęcia jak miałby ten „job” Steffi u nas wyglądać. Wtedy byłam bardzo wzruszona, a dziś okazuje się, że Steffi wzięła moje słowa serio i do serca. Będzie nas teraz nachodzić i może jeszcze dziewczynki straszyć?! Poczułam delikatne ciepło psiego języka liżące moją dłoń. To Sally, która siedząc widocznie cały czas pod łóżkiem, wygramoliła się uważając, że teraz nadszedł jej czas, by móc okazać mi powypadkowe współczucie.

Dlaczego musiało mi się przydarzyć coś tak przykrego? Kilka dni po przyjeździe dziewczynek i dwa tygodnie przed Świętem Dziękczynienia, na które tak wszyscy cieszyliśmy się, i gdy tak wiele przygotowań na nas czekało? Też sobie wybrałam moment na spadanie ze schodów w nowych, domowych kłapkach! A potem dwie doby w szpitalu, pierwsze badania i prześwietlenie głowy, którą uderzyłam beztriosko o ścianę, zjeżdżając pupą po schodach. Zbadano też dokładnie stan moich kości biodrowych, czy ich nie zwichnęłam lub broń Boże złamałam, bo bolało mnie wszystko okrutnie. Bardzo przystojny ciemnoskóry chirurg zastanawiał się, czy nie będą musieli pewnych części zagipsować, ale jednak nie. Zostały siniaki, które leczymy na razie kompresami. Ale o zagrożeniu mojego życia Steffi wiedziała więcej. Ciekawe.

W podzięce za okazywane mi psie uczucie pogłaskałam pieszczotliwie drugie wcielenie Jessie i poprawiwszy się na poduszkach, zamyśliłam. Dotychczas jakoś nie znalazłam czasu, by opowiedzieć Iwonie o poprzednich wypadkach zjawiania się Steffi i jak zza teatralnych kulis, kierowania moim życiem. A może śmierć wcale nie jest taka straszna, jak się niektórym wydaje? Może to tylko przeniesienie do innego, równoległego istniejącego świata?

Dość dawno temu Patrycja poprosiła mnie o wyświadczenie pewnej przysługi. Sprawa dotyczyła pójścia do biura parafialnego mieszczącego się niedaleko mojego miejsca zamieszkania i zamówienia mszy św. w pewnej intencji – dotyczącej rodzinnej uroczystości Patrycji i jej męża. Czekając w kolejce przeglądałam katolickie kolorówki leżące na stoliku i w jednej z nich zafrapował mnie artykuł dotyczący nieba, czyśćca oraz piekła. Karteczka umocowana taśmą klejącą na ścianie nad stolikiem głośno, że zainteresowani prasą mogą zabrać egzemplarz do domu. Nie zdążyłam przeczytać całego artykułu gdyż akurat przyszła na mnie kolej, by wejść do biura i porozmawiać z dyżurującym tam księdzem, więc włożyłam tygodnik do torby. Po powrocie do domu, mając przed sobą pracowity wieczór zrobiłam kawę. Najprawdopodobniej stałam się od niej uzależniona i kofeina przestaje działać na mnie już pobudzająco. Po prostu lubię, chociaż szczerze mówiąc popijać ją w nocy jeszcze nie próbowałam. Siedząc wtedy w kuchni medytowałam nad ostatnią częścią trzyodcinkowego zapisu panelu pt. Wierzę w życie wieczne. Czy jestem osobą wierzącą? Myślę, że tak, ale czasami temperatura mojego praktykowania zbliżała się do stanu, w której nie zaparzyłaby się nawet herbata. Bywały momenty, że potrafiłam poważnie obrazić się na Pana Boga, wątpiąc w sens Jego poczynań i tego, co ze mną wyprawia. Jednakże w ostatnich tygodniach życia w Porcie Jefferson coraz częściej konstatowałam, że mam Mu za co dziękować.

Czas moich poprzednich rozważań o życiu wiecznym przypadał na kilka ostatnich dni przed odlotem do Wiktora i to za sprawą Patrycji. Potrzebowałam pewnego rodzaju wsparcia i wszystko, co wtedy przeczytałam niewątpliwie podtrzymało mnie na duchu. Najpierw napisano o Niebie i o tym, że człowiek do niego dojrzeva powoli, a końcowy wniosek dotyczył konkluzji iż życie na ziemi chociaż czasem krótkie w porównaniu z wiecznością ma jednak wielkie znaczenie. Zaciekawilo mnie stwierdzenie Apokalipsy, że w Niebie każdy z nas odnajdzie swoją ostateczną tożsamość i prawdziwe, ostateczne imię. Ciekawe...

Niebo to ostateczne spełnienie człowieka w najlepszym i najpiękniejszym wydaniu. Bóg jest hojny i nie zamierza w Niebie nam niczego, co osiągnęliśmy na ziemi, odbierać lecz przeciwnie – chce nam dodać coś, co jest Nim samym. Bezpodstawne jest więc zmartwienie tych, którzy mówią, że wchodząc w krąg wieczności musimy porzucić dotychczasowe upodobania, bo w Niebie pozostaniemy sobą. – Czyli, że moje hobby też? Będę mogła dalej pisać? – To, co zostanie nam odjęte, czego pozbędziemy się, to grzech i jego konsekwencje. Nienaruszone pozostaną chociaż będą przemienione relacje, które nas tworzą: znajomości, przyjaźnie, małżeństwo, rodzina. Wszystko będzie trwało, choć zostanie przemienione .

– Oj, zaraz, zaraz, coś nie bardzo rozumiem. Czyli, że obce będzie nam uczucie zazdrości czy też nienawiści? Wybaczymy sobie zdrady, usiądziemy na jednej z chmurek i zjemy razem jakieś niebiańskie lody? Będę zachwycona!

Na pewno Bóg w Niebie wyjdzie naprzeciw każdemu z nas, do jego konkretnej osobowości. Niebo będzie spełnieniem życia konkretnego człowieka, każdego z nas. Bóg będzie respektował bogactwo ludzkich typów, które sam stworzył i sam zróżnicował. To, co tutaj nas pasjonowało, co zostało niedokończone, ma szansę w niebie na swoją realizację.

Nieprawdopodobne! Jeśli sobie na Niebo zasłużę, to zobaczę znów mamę, poznam nareszcie moją tatę, spotkam Presleya, a on dla mnie wystąpi i spojrzy ze swoim uwodzicielskim uśmiechem? Super! Spróbuję go namówić, by często śpiewał American Trylogy. Elvis na liście ukochanych przeze mnie mężczyzn zajmuje drugie miejsce. Na pierwszym jest Jeremi, to zrozumiałe, a zaraz po Elvisie erotycznie mrużący swoje piosenki Leonard Cohen.

Nie mogę prognozować, kto z kim się jeszcze może spotkać gdyż termin dość odległy, ale jeśli takie jest nasze przeznaczenie – będzie pięknie! Trzeba się tylko postarać!

Przypomniałam sobie też cytaty z kalendarza „Z księdzem Twardowskim” z dnia 6 lutego 2006 roku.

Po rozgrzeszeniu nie odchodzimy w połatanej, pozszywanej szacie, ale w szacie całkiem czystej. Mówimy: wierzę w grzechów odpuszczenie, a stale oplakujemy dawne dziury. Spowiedź jest oderwaniem od tego, co było niedobre i co już utonęło w miłosierdziu Bożym.

Tylko trzy zdania, a tyle w nich budującej nadziei. Czytałam też kiedyś, że w naszym drugim życiu będziemy mieć wiele okazji do spełnienia planów, zamierzeń, których na ziemi nie udało nam się wykonać i będziemy mogli rozwijać w pełni swoje dawne zainteresowania. Ten, kto tak napisał był z pewnością wielkim marzycielem, ale jeśli to wszystko prawda?

W ostatnich dniach okazuje się, że Steffi jest dalej jedyną nicią wiążącą nas z innym światem. Prawie uspokojona przeciągnęłam się w pościeli, popiłam wody mineralnej stojącej na stoliku przy łóżku i postanowiłam, że ponowne zjawienie się mojej siostry muszę sensownie wykorzystać. A gdy już wydobrzeję, porozmawiam też z Iwoną o wielu sprawach, o których nam się mailować nie chciało, a na telefoniczną rozmowę nie bardzo się nadawały.

Chyba trochę przysnęłam, bo gdy ponownie otworzyłam oczy, zobaczyłam bardzo realną postać Jeremiego. Stał przy łóżku i uśmiechał się:

– Wstajesz? Zrobiliśmy z Iwoną, melanzane.

Wiedział, że chętnie jem wszelkiego rodzaju zapiekanki, a ta z bakłażanów, cukinii, papryki i sera zajmuje ważne miejsce w naszym rodzinnym menu.

– Tak, merci – i podniosłam się już wabiona zapachem, który razem z nim przyfrunął do mnie z kuchni.

– Jak się czujesz? Tylko powiedz prawdę!

Jak miło, gdy ktoś się o nas martwi. Wiktor nigdy o to nie zapytał, a Jakub, jeśli dobrze pamiętam tylko dwa razy w życiu podał mi do łóżka herbatę, gdy leżałam złożona grypą.

Teraz kręciło mi się jeszcze trochę w głowie, lecz nie miałam zamiaru przyznać się Jeremiemu, bo poczułam wilczy apetyt i postanowiłam być dzielna.

– Jest OK. Zarzuciłam na piżamę welurowy dres, który dostałam od Jeremiego na urodziny, a on złapał mnie za rękę i przytulił.

– Bardzo się o ciebie martwiłem.

– No tak, wcale się nie dziwię. W domu goście, następni prawie u drzwi, indyk gdzieś biega po dworze za indyczkami, a madame sobie leży – zażartowałam.

– A Święto Dziękczynienia za pasem – roześmiał się. W dobrych humorach poszliśmy do kuchni, gdzie przy stole nakrytym dla wszystkich siedziały już dziewczynki.

– Ooo, babcia wstała, hurra! – powitały mnie okrzykiem radości. Iwona rozdzielała wszystkim zapiekankę, Jeremi nalewał dzieciom pomarańczowy sok, a dorosłym czerwone wino, które pozwoiliłam sobie trochę rozrzedzić mineralną wodą. Melanzane ociekające oliwą z oliwek, przyprawione ziołami i pomidorowym sosem było pyszne.

– Skąd znacie tę potrawę? – zainteresowała się moja córka.

– W domu nigdy jej nie przyrządzałaś.

– W zasadzie to coś jest włosko – francuskie. Po włosku melanzane, a po francusku – aubergines cuites[5] – wyjaśniał Jeremi. Lubimy z mamą poeksperymentować w kuchni. Można je przyrządzać kilkoma sposobami: z boczkiem, mielonym mięsem, dodawać różne rodzaje sera, a ten dzisiejszy jest najprostszy i najszybszy do przygotowania, bo... nie mieliśmy mielonego mięsa.

– No i bardzo dobrze, bo ja nie lubię mięsa – oznajmiła Marysia kończąc swoją porcję.

– O, jesteś wegetarianką? Nie wiedziałem. Jak dawno?

– Nie pamiętam. Mamo jak długo? Marysia zwróciła się o pomoc do Iwony.

– Trudno dokładnie określić, może już trzy lata? Żar-towaliśmy sobie kiedyś, że moja córka przejadła się mięsami gdy chodziłam z nią w ciąży. Wtedy często miałam okropny apetyt na wołowe carpaccio.

Dorośli wybuchnęli śmiechem, a Marika odstawiając talerz stwierdziła cicho: – Nic z tego nie rozumiem, a na co siostra odszepnęła – Chodź już, później ci wytłumaczę.

– Najadłyście się, gotowe? – zwróciła się Iwona do córek.

– Merci. Marysia posłała Jeremiu czarujący uśmiech.

– Możemy już wstać? Pójdziemy do pokoju na górze.

Marika patrzyła jeszcze pytająco w stronę Leni.

– Ależ oczywiście, a co będziecie robić?

– Jeszcze nie wiemy, allez, mała – i Marysia pociągnęła siostrę za rękę. Gdy zniknęły za drzwiami, Jeremi popatrzył z zaciekawieniem w stronę Iwony.

– Odmawia jedzenia szynki? Drobiu też?

– Tak, ale wszystkie wartości które mięso zawiera staram się zastąpić innymi potrawami. Marysia je dużo nabiału, warzyw, owoców i rozwija się prawidłowo – wyjaśniała moja córka.

– A owoce morza?

– Nimi też nie gardzimy.

– No to jestem uspokojony. Jeremi odetchnął z ulgą i roześmiał się. – Byłbym niepokieszony gdyby w rodzinie, do której należy ichtiolog nie jadano ryb!

Pierwszy raz od dnia przybycia Iwony z dziewczynkami, Jeremi nazwał nas wszystkich rodziną i odebrałam tę ser-decność w jego głosie jak komplement pod adresem moich dzieci i cały kalejdoskop uczuć, które prawdopodobnie chciał w tym zdaniu wyrazić. Różnie przecież w podobnych związkach bywa. Jak kolorowe patchworki zeszywamy starannie i z radością, aż do pewnego momentu, gdy zaczyna brakować nam tolerancji, dobrej woli i akceptacji, a wtedy całą harmonię jaką na początku tak mozolnie budowaliśmy i staraliśmy się rozwijać – diabli biorą. Dotychczas żyliśmy z Jeremim we dwoje nie licząc sporadycznych odwiedzin Jane i Franka oraz mojego urodzinowego party z udziałem paru mieszkańców farmy w Stony Brook. Teraz, biorąc pod uwagę raczej pogodny charakter Morelowego miałam nadzieję, że dalszy pobyt mojej córki u nas przebiegnie w przyjemnej atmosferze i bez niemiłych niespodzianek.

Marika w swoim krótkim życiu zdążyła przyzwyczać się do tego, że Marysia decydowała prawie o wszystkim co dotyczyło spędzania ich wspólnego czasu. Oczywiście oprócz planów i zadań do wykonania, jakie miała dla nich mama. Siostra proponowała zabawy, czytała młodszej baśnie, a nawet nauczyła ją robić wycinanki i odpytywała z francuskich słówek. Czasem złościła Marikę przemądrzałość Marysi i wtedy skarżyła na nią cioci Patrycji, która spędzała u nich wieczory, gdy mama musiała pracować. Ciocia Pat jednak z wrodzonym spokojem umiała taktownie rozwiązywać ich małe konflikty.

– I co teraz robimy?

Marika z satysfakcją wygranej zasiadła na białym, bujanym fotelu w ich pokoju na górze. Bywało, że już na schodach zaczynały sprzeczki, która pierwsza zajmie miejsce na bujaku?

Najczęściej była to Marysia, która miała swoje metody przekupywania młodszej:

– O proszę cię, puść mnie, dam ci tę nowa spinkę, którą dostałam od Jeremiego.

– Nie chcę twojej klamerki, mam przecież swoją.

– Ale miałabyś dwie i wtedy mama mogłaby cię jeszcze ład-niej uczesać – kusiała starsza.

Dzisiaj jednak nie było przepychanek, ani targowania się o fotel, bo myśli Marysi krążyły wokół tematu, który chciała tylko z siostrą i w tajemnicy przed dorosłymi omówić.

Położyła się na łóżku i z ważną miną zapytała:

– Jak długo już tu jesteśmy?

Marika huśtając się z wyrazem zadowolenia na buzi wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia.

– A gdzie masz kalendarz z Kubusiem Puchatkiem? Zabrałaś go w ogóle?

– Chyba tak, zaraz zobaczę.

Dziewczynka poszperała chwilę w szufladzie biurka i wyjęła niebieski kalendarz wydany w formie książeczki z pastelowymi obrazkami oraz cytatami powiedzonek Kubusia Puchatka i jego przyjaciół. Siostry usiadły razem na łóżku.

– Popatrz, przyleciałyśmy tutaj – Marysia pokazała palcem datę piątego listopada, a potem przeczytała: – Liście odlatywały na południe kolorową gromadą. – Ooo... – westchnął Krzyś. – Może i ja bym tak poleciał? – Ale kto wtedy będzie trzymał mnie za łapkę? – spytał Puchatek i mocno złapał Krzysia za kurtkę.

– Jaki on miły – uśmiechnęła się Marika. – Chętnie potrzy-małabym jego łapkę.

– No, słodki obzartuch, tylko łapek nie mył przed jedzeniem! A wiesz, że widziałam na wystawie w księgarni Przygody Kubusia Puchatka.

– Po angielsku?

– No to co. Poprosimy wujka Jeremiego, żeby nam kupił. Kubusia Puchatka znają chyba dzieci na całym świecie.

– Dobrze, ale o co ci tak naprawdę chodzi?

Marika huśtała się z zaciekawioną miną.

– Nie mamy żadnej wiadomości od tatusia. Pytałam wczoraj mamy, ale powiedziała, że poczta z Europy długo idzie.

Marika kiwnęła potakująco głową.

– Tak, tylko że my jesteśmy tutaj już prawie dwa tygodnie, samolot z nami leciał osiem godzin, a listów żadnych i od nikogo.

Uzasadnienie problemu wydawało się logiczne, ale na ponowne kiwnięcie głową przez Marikę, Marysia zareagowała niespodziewanie dobitnie:

– Przestań się już huśtać, bo mnie wkurzasz! – zaczęła mówić, a zielonkawę oczy słuchającej ją siostrzyczki robiły się coraz większe.

– Napišemy do taty list, a wyślemy go do cioci Patrycji. Ona na pewno wie dokąd pojechał i kiedy wróci. Może wcale nie ma naszego adresu? Ciocia ma adres babci Leni, a to jest przecież taki sam.

– Możemy napisać dwa listy: jeden do taty, drugi do cioci Patrycji. – Marika włączyła się nareszcie do projektu i starsza odetchnęła z ulgą, dodając:

– Tylko pamiętaj, to jest nasza tajemnica i niespodzianka dla mamy. Nikomu ani słowa. Ja mu napiszę, żeby tu szybko do nas przyjechał.

W tym momencie Marika zastanawiała się, dlaczego nie mogą pisać tych listów razem z babcią, jeśli mają być tylko dla mamy niespodzianką, ale nie chciała marudzić. Bywały sytuacje, w których Marysia nie znosiła sprzeciwu.

– A kto nam je wyśle?

– Poprosimy Jeremiego.

Wszystko wskazywało na to, że kolejność działania była już przez Marysię dobrze zaplanowana.

– Myślisz, że się zgodzi?

– Nie wiem. Jak nie, to same spróbujemy.

– A wiesz gdzie tu jest poczta?

– Wiem! – Marysia prawie krzyknęła radośnie. – Same to załatwimy! Pamiętasz ten wielki dom niedaleko budynku Straży Pożarnej? Ma na frontowej ścianie wysoko umieszczonego metalowego ptaka, a skrzydła prawie luźno umocowane łańcuchami do ściany. Jak wiatr z boku zawiał, to mu się skrzydła ruszały jakby chciał pofrunąć. Pamiętasz? – dopytywała się.

– Nieee. Ty byłaś sama w mieście z mamą, a ja zostałam wtedy z babcią i Sally w domu.

– To nic, pokażę ci później – i Marysia niespodziewanie przytuliła siostrzyczkę, która bardzo ten gest lubiła i nazywała „pokochaniem”.

– Chodź, zabieramy się do pisania. Nie ma czasu do stracenia.

W kuchni automat do parzenia kawy pracowicie napelniał trzecią filiżankę. Iwona postawiła je na kuchennym stole, rzucając przy tym propozycję:

– A może wypijemy przytulnie w pokoju i tam zastanowimy się nad realizacją zadań?

– Masz rację, idziemy na kanapy.

Iwona na fotelu, Leni z Jeremim na kanapie w morelowe kwiaty, ciasteczka czekoladowe na talerzu. I jeszcze tylko koc do przykrycia kolan Leni, oraz notatnik, bo trzeba nareszcie zaplanować zakupy i menu na Thanksgiving[6]. W przyszłym tygodniu przylatuje Jacques z Kalifornii. Już najwyższy czas, by harmonia i radosny nastrój zakłócone z powodu wypadku Leni, zostały w domku przy Bleeker Street w Port Jefferson przywrócone.

– W punkcie pierwszym zapisałem: indyk na wysoki połysk! – Jeremi podał Iwonie kartkę, a Leni ciasteczko.

– Skąd ten połysk – śmiała się Iwona.

– Popędzujemy go miodem rozproszonym białym winem.

– A co podaje się tutaj do tego ptaka?

Iwona z długopisem w ręce była gotowa do dalszego pisania.

– Jane mówiła, że musi być faszzerowany. Rozmawiałam z nią wczoraj – oznajmiła Leni.

Podczas naszego plotkowania zrobiłam notatki i potrzebne nam będą: bułki na grzanki, można kupić gotowe albo zrobimy sami, jajka i dużo zielonej pietruszki.

– Co jeszcze?

– Podaje się słynny, specjalny sos Gravy. Można też kupić gotowy, ale Jane podała mi potrzebne składniki więc robimy sami, czy kupujemy?

– A gdzie masz mamus to, co zapisałaś?

– W sypialni na stoliku.

I Iwona poszła na górę.

Jeremi objął mnie.

– Stęskniłem się za tobą...

Nic się między nami nie zmienia. Ogarnia mnie znów to uczucie wewnętrznego ciepła, które towarzyszy nam od pierwszego dnia i jest mi z tym cudownie.

Korzystając z nieobecności mojej córki, Jeremi całował mnie, a ja łowiłam uszami odgłosy rozmowy dziewczynek z matką, która prawdopodobnie zaglądnęła do ich pokoju. Zawsze miałam podzielną uwagę, a Jeremi zorientowawszy się, że całując go jednocześnie podsłuchuję, odsunął mnie i roześmiał się:

– Mogłabyś się choć trochę skoncentrować na mojej osobie?

– A mogę dziś wieczorem? – odpowiedziałam pytaniem w moim mniemaniu kokieterijnym i obiecującym, bo sama miałam też po uszy mojego chorowania. Spojrzenie

Jeremiego potwierdziło, że tym zdaniem sprawiłam mu przyjemność.

– Wiecie co one robią u siebie? Moja córka wróciła z za-piskami na mojej karteczce.

– Tak, ciekawe?

– Pisz list do Patrycji! Na dodatek obrazkowy!

Roześmialiśmy się. Sama również powinnam się za to zabrać, pomyślałam.

Niewdzięcznica jestem. Iwona tele-fonicznie potwierdziła swój szczęśliwy przylot do nas i z pisaniem maila nie spieszyło mi się tak bardzo, choć wiedziałam, że Patrycja czeka.

– Mamo, wracaj myślami do nas! Iwa przywołała mnie do porządku i zaczęła czytać zapisane przeze mnie składniki.

– Potrzebne jest niesłone masło – 55 gram, 1 łyżka oliwy z oliwek, 4 małe cebule, 2 ząbki czosnku, 1 łyżeczka cukru, $\frac{3}{4}$ szklanki czerwonego, wytrawnego wina i 600 ml bulionu wołowego.

– Kupując masło – dodał Jeremi – trzeba uważać, bo przeważnie jest solone. Na początku pobytu tutaj nie wiedziałem i do bułek z dżemem na śniadanie, jak analfabeta, kupiłem po prostu masło.

– A ja miałam łatwiej, bo w tajniki zakupów wprowadzała mnie Jane.

I moje myśli znów pofrunęły do tamtych dni, gdy Jane po aferze i gwałtownym rozstaniu z Wiktoorem leczyła moje smutki bigosem, czerwonym winem, maseczkami piękności i spacerami do parku...

Nie zważając na moje milczenie, Iwona czytała dalej:

– W garnku rozpuść masło, dodaj oliwę z oliwek, wrzucić pokrojone drobno cebulki oraz posiekany czosnek i gotować na małym ogniu parę minut, mieszając. Następnie dodać cukier i mieszać do całkowitego rozpuszczenia, a potem zmniejszyć ogień do minimum, dodać czerwone wino, a po minucie bulion wołowy. Razem gotować dziesięć minut. Precyzyjnie jak w aptece – podsumowała.

– W zależności od liczby gości przy stole piecze się jeszcze jednego indyka i pięknie pokrojone piersi podaje się z... – zabrałam głos.

Jeremi parsknął śmiechem:

– O la, la! Instrukcje dotyczące piersi wyrażała Jane czy Frank? Pokrojone pięknie! Piersi powinny być delikatnie eksponowane, ozdobione, na przykład naszyjnikami z... winogrona!

– O indyczych mówię! – zaśmialiśmy się wszyscy, a ja pochylając się potargałam jego czuprynę myśląc, że naprawdę już dawno nie kochaliśmy się i pewnie dlatego Jeremi zaczyna popisywać się przed Iwoną.

– A więc, moi drodzy, piersi indyczki elegancko pokrojone i wyeksponowane podaje się z dżemem żurawinowym, koniecznie z całymi jagodami i kawałkami ananasa oraz z drugim Gravy musztardowo-miodowym – podsumowałam.

– Żurawina podobnie jak w Polsce – Iwona zbierała zapisane karteczki.

– W Prowansji też.

– Co jeszcze?

– Zapisz proszę ziemniaki normalne i słodkie, zieloną sałatę, marchew, groszek, wołowinę na pieczeń i gotowaną szynkę.

– Groszek z marchewką? O nie, tego mi nie zrobisz! Dziew-czynki też nie lubią, a ty?

Iwona zwróciła się do Jeremiego szukając w nim sojusznika.

– Przyznam, że nie przepadam. Wolę solo marchewkę gotowaną w kawałkach i w śmietankowym sosie z dodatkiem oregano, albo zgrabne, smukłe, podłużne, ugotowane al dente w całości jak szparagi, polane masłem z tartą bułeczką. Mniemam.

Pakt między Iwoną a Jeremim przeciwko zielonemu, niewinnemu groszkowi został zawarty.

Myślałam, że jest nam razem miło, dziękczynnie nastrojowo i ponownie zajrzałam do ściągę z świątecznym menu.

– Słuchajcie, Jane mówiła, że powinna być zupa: dyniowa albo cebulowa.

– Zupa? – Iwona znów zaczęła rządzić. A kto to będzie jadł?

– Ja zrobię dyniową i zobaczysz, że ci zasmakuje.

No proszę, Jeremi i zupa dyniowa, a to coś nowego.

– A kompot dyniowy lubicie? Jacques preferuje. Pierwszy raz dziś wspomniął swojego syna, który będzie naszym gościem. Zrobił to pewnie dlatego, abyśmy się za bardzo nie „szarogęśli”, że to niby wszystko według amerykańskiej tradycji, ale przede wszystkim dla naszego podniebienia.

– Groszek lubi z marchewką czy bez? Iwona odgarnęła włosy, które co rusz przy pisaniu opadały jej z czoła na oczy i uśmiechnęła się do Jeremiego niby dowcipnie, a może i trochę złośliwie. Ale on odpowiedział jej poważnie.

– Przyznam się, że nie wiem. Jacqueline gotowała czasem groszek, ale był on z marchewką czy z fasolą, nie pamiętam. Będiesz miała okazję porozmawiać z nim o kulinarnych doświadczeniach i upodobaniach. Roześmiał się, a potem ponaglił: – Mów, Lejn, co jest nam jeszcze potrzebne, bo trzeba jechać po zakupy.

– Owoce dziś, czy jutro? Właściwie możemy wszystko kupić dzisiaj, bo musimy zabrać się też za pieczenie – myślałam głośno. Będzie szarlotka jabłkowa, która tutaj nazywa się tartą i zrobię jeszcze orzechową... nie, upiekę mój ukochany tort orzechowy, coś polskiego też musi być – monologowałam sobie i nikt mi w tym nie przeszkadzał, tylko Iwona notowała bez słowa. Może w tym momencie myślała o innych świątach, które spędzałyśmy razem z jej rodziną, która była jeszcze w całości, a na stole królował mój tort orzechowy z czekoladowym kremem? Nie musiałam dyktować, moja córka wiedziała jakie składniki będą nam do niego potrzebne.

– Trzeba jeszcze kupić taką niską formę tortową do tarty – zakończyłam planowanie i uśmiechnęłam się do wszystkich. – Jedziemy?

– Cherie, ty zostajesz w domku z dziewczynkami i Sally, a ja pojedę z twoją córką. Yvonne, d'accord? [7]

A tego to ja się nie spodziewałam. Moja mina wskazywała, że nie tylko jestem zaskoczona, ale i niezadowolona w jednej osobie. Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, Jeremi perswadująco ciągnął dalej:

– Bądź rozsądna, Lejn, wspólna eskapada nie wyjdzie nikomu z nas na zdrowie. W marketach ruch, a Mariki i Marysi nie zostawimy przecież w domu pod opieką Sally. Poza tym miej na uwadze swoje zdrowie, okres rekonwalescencji jeszcze nie jest zakończony.

Normalnie nie dopuścił mnie do głosu! Jego argumenty były słuszne, a przytulenie i buziak jakie dostałam przed ich wyjściem jeszcze bardziej właściwe.

Iwona uśmiechała się: – Idź proszę na górę i zobacz, co robią dziewczynki. Nie martw się – dodała, postaramy się szybko uwinąć z zakupami i oddam ci GO w całości.

Zwariowała! Czy ona myśli, że jestem o Jeremiego zazdrosna? A jeśli nawet tak uważa, to... ma rację!

Zawołałam Sally, która siedziała w swoim koszyku na tarasie. Dni były jeszcze ciepłe, chociaż widać było, że natura powoli przygotowuje się do zimy. Na platanie, który rósł po sąsiedzku w ogrodzie graniczącym z naszą posesją widziałam skaczące dwie wiewiórki, chowające się co chwilę w dobrze widocznej dziupli. Wyraźnie robiły już zapasy na zimę. Ciekawe, gdzie podział się kardynał? Czy zimą powinno się dokarmiać ptaki tak, jak w Polsce? Muszę zapytać Jeremiego, bo właśnie stwierdziłam, że niewiele wiem o panujących tu zwyczajach. Tu, to znaczy nowojorskich, bo w każdym stanie życie wygląda trochę inaczej.

Legowisko Sally zabieraliśmy na noc do domu i stawiałam je w pobliżu kominka, ale ona bardziej lubiła spać w naszej sypialni lub u dziewczynek; szczególnie na dywaniku przed łóżkiem po stronie Mariki, którą sobie upodobała. Poszłam z psem na górę i uchyliłam drzwi do większego pokoju, który od dwóch tygodni stał się gościnnym:

– Co u was słychać?

Sally przecisnęła się obok mnie i wskoczyła na szerokie łóżko, na którym moje wnuczki siedziały na przeciw siebie po turecku i grały w Scrabble po angielsku.

– Kto wygrywa?

– Ja mam więcej poprawnych – oznajmiła Marysia – ale już zaraz kończymy, znudziło się nam. Zagrasz babciu z nami w Monopoly? A gdzie mama?

– Pojechała z wujkiem do marketu. Pobawcie się trochę z Sally, dobrze? Wrócę za chwilę.

[5] Zapiekané bakłażany (franc.)

[6] Święto Dziękczynienia (ang.)

Stanisław z Ellis Island...

Sąsiedni, nieduży pokój powinien być przygotowany na przyjazd syna Jeremiego i z postanowieniem, że zabiorę się za to jutro, odsunęłam błękitną firankę. Okno też wymagało umycia. Otworzyłam je i przypomniał mi się dzień, w którym Jeremi po raz pierwszy przywiózł mnie do Port Jefferson by pokazać ten dom. Było upalne popołudnie, a ja opowiadałam mu historię mojej bliźniaczej siostry... Teraz nad zatoką amarantowo zachodziło słońce, ale firanka powiewała jak wtedy.

– Widzę, że spodobało ci się tutaj.

Steffi. Uśmiechała się do mnie stojąc w drzwiach pokoiku. Mogłam się spodziewać tego, że wróci.

– Tylko nie strasz dziewczynek – powiedziałam ostrzegawczo.

– Daj spokój, też masz pomysły – wzruszyła ramionami.

– Właściwie to dobrze, że jesteś, bo chciałam cię o coś zapytać.

– Tak? – wyraźnie ucieszyła się i usiadła na okiennym parapecie.

– Nie spadnij – upomniałam ją. Jej sylwetka była krucha, jak przy naszym pierwszym spotkaniu u Jane... Jasnyniebieska, prawie przezroczysta i tylko włosy miała wciąż takie same.

– Nie bój się, umiem teraz latać – uśmiechnęła się ponownie.

Nie wiem dlaczego łzy napłynęły mi do oczu. Najchętniej podeszłabym i objęła ją, jednak obawiałam się reakcji mojej siostry. O co tu właściwie chodzi, jakie są powody jej powrotów?

Ile pamięta się z ziemskiego życia będąc w zaświatach, a co zapomina? Czułam, że chociaż bardzo chciałabym wiedzieć, nie mam prawa zgłębiać podobnych tajemnic i znów jak kiedyś miałam uczucie dreszczy - podobne do spacerujących mrówek po moich plecach. Zapytałam jednak o coś, co już wcześniej mnie nurtowało.

– Pamiętasz ten dzień, gdy popłynęłaś na Ellis Island wodną taxi? Widziałam cię wtedy. Czego tam szukałaś?

– A, o to ci chodzi. Wiem, machałam przecież do ciebie kapeluszem, bo chciałam, żebyś mnie zauważyła. Co tam robiłam? Ha!

Szukałam śladów naszego dziadka!

– Nieee? Prawie osłupiała usiadłam na kanapce, a ona mówiła dalej.

– Spotkałam go tam u Nas, opowiadałam mu, że jesteś na Long Island, a on życzył sobie abym pojechała sprawdzić, czy jego podpis na „Ścianie Pamięci” jeszcze widnieje, czy też zatarał się ze starości.

Powiedziała lekko „tam u Nas”, jakby po prostu zmieniała mieszkanie, przeprowadziła się do innego miasta. Powinna się już chyba przyzwyczaić, że każdym odwiedzinom Steffi towarzyszyć będą coraz to inne niespodzianki. Ale mrówki spacerowały mi dalej po plecach i miałam mokre ręce.

– No i co, znalazłaś? Jest?

– Tak, widziałam. Podpisał się Stanisław Zawacki, bo myślał, że „dz” i tak nikt tutaj porządnie nie wymówi. Powinnaś też pojechać jeszcze raz na Ellis i zobaczyć.

– Pojadę – obiecałam. Będę musiała przyznać się Jeremiemu do ponownych wizyt ducha Steffi. Wtedy przyjął ten fakt ze zrozumieniem, ale jak będzie teraz? Najprawdopodobniej pomyśli, że to skutki mojego ostatniego wypadku. Westchnęłam głęboko.

– Sam wyjechał do Ameryki? Czemu my nic o tym nie wiedziałyśmy? Babcia mówiła, że on nie żyje.

– Na początku sama nie wiedziała, co się z nim stało. Zdarzenia miały miejsce pod koniec

pierwszej wojny światowej. Chyba pamiętasz, że brał w niej udział, tak? Powinnaś, bo o tym babcia nam opowiadała. Została sama z naszą mamą, która była malutka. Kiwnęłam potakująco głową, coś mi się przypominało, ale były to obrazy bardzo mgliste, a Steffi gestykulując opowiadała dalej i było widać, że odkrywanie rodzinnej historii nieźle ją wciągnęło.

– Wojenna zawierucha zagnała go z Niemcami do Francji, a w tym czasie amerykańcy co rusz tam lądowali. Okropnie się wszyscy w tej wojnie poniewierali. Mówił, że walczył jeszcze pod Meuse-Argonne i w tej bitwie bardzo dużo ludzi zginęło, zarówno niemieckich jak i amerykańskich, a on był ranny w ramię. Polaków było niewielu. Tego dnia wszyscy, którzy z nim zostali leżeli w okopach i wokół nich stale coś wybuchało. Wtedy nasz Stasiak się załamał. Opowiadał, że poczuł bezsens tej całej wojny i stracił nadzieję na powrót do kraju. Czy istniała jeszcze Polska? A może ktoś ponownie ją zagarnął?

Ty wiesz, jak on potrafi sugestywnie opowiadać? Ogromnie! Leżał więc w tym okopie, a obok niego umierał Amerykanin. Coś mówił do dziadka, ale on oczywiście nic nie rozumiał. Na polu inni zaczęli wrzeszczeć, a nasz dziadek bał się wychylić nos z okopu. Zamknął zmarłemu oczy, a potem wyciągnął mu z munduru jakąś odznakę i dokument chowając je do swoich kieszeni. Polskich papierów już dawno nie miał, bo na ostatnim postoju rozebrał się do umycia w leśnym bajorze i ktoś buchnął jego mundur. No i dobrze, bo był przecież pruski. Podkomendny dał mu wtedy kurtkę po Angliku. Dobrze, że chociaż portki miał na sobie, a w kieszeni zdjęcie babci i zegarek, który sobie zostawił na tak zwaną „czarną godzinę”. Chociaż to.

Tamtego dnia, gdy leżał obok zmarłego bojąc się wyjść z dołów, nagle niedaleko nich huknęło okropnie tak, że przysypało go prawie żywcem i stracił świadomość.

Słuchając historii opowiedanej tak sugestywnie przez Steffi, słyszałam odgłosy strzałów oddawanych z prymitywnych czołgów i widziałam sceny bitewne z moim dziadkiem w roli głównej. Toczyła się akcja przypominająca kadry historycznego filmu, a ja nie wiedziałam co mam powiedzieć, oprócz słabego: – no i co dalej? Steffi roześmiała się. – Wyobraź sobie, że po bitwie Amerykanie, bo to oni zdobyli ten kawałek prowincji, zebrali na poboju rannych i pozostałych przy życiu. Dziadka też zgarnęli. Trochę przyszedł do siebie w szpitalu polowym i ani się obejrzał, gdy go razem z innymi amerykańskimi, rannymi żołnierzami zapakowano na statek i powieziono do ojczyzny, tyle, że za ocean. W czasie całej podróży dziadek nie odzywał się ze strachu, że odkryją jego pochodzenie, oskarżą o dezercję, postawią pod ścianę lub wyrzucą za burtę rybom na pożarcie. Licho wie, co by z nim zrobili, nie? I dalej było filmowo, bo oczywiście płynęły z nimi pielęgniarki, które opatrywały biedakom rany, czyniąc także inne zabiegi higieniczne, a jedna była dla naszego dziadka Staśka szczególnie troskliwa. Opowiadając o niej uśmiechał się szelmowsko, nazywając ją Kryśka – miała na imię Christine. Popatrz, jaki to zbieg okoliczności. Nasza babcia też miała na imię Krystyna... Siedziałyśmy przez chwilę zamyślane, a potem Steffi powiedziała: – Tak bywa w życiu. Miałam w Niemczech znajomego, którego pierwsza i czwarta żona nosiła imię – Gabriele. Roześmiałyśmy się, a wtedy z sąsiedniego pokoju dobiegło: – Babciu, babi!

– Innym razem ci dokończę. Steffi podniosła się z okiennego parapetu. Poczulałam delikatny waniliowy zapach unoszący się w powietrzu.

– I jeszcze coś; uważaj na dziewczynki, one coś kombinują... Obróciła się w stronę słońca zachodzącego nad zatoką i już jej nie było, a ja zostałam z wrażeniem, że moja siostra naprawdę umie fruwać.

– Idę na dół, chcecie coś do picia?

– Tak, sokuuu – usłyszałam zgodny duet.

Wracając z butelką dla dziewczynek oraz kubkiem kawy dla mnie oraz pełna skupienia, by ponownie nie zjechać po dość stromych schodach prowadzących na piętro, myślałam o Steffi.

Każde jej „zjawienie” wprowadzało napięcie i niepokój w moje życie. Jej obecność wzruszała mnie, ale wcale nie byłam pewna czy dalej chcę ją widywać. Jednocześnie w głębi duszy czułam, że nie bez powodu tak się dzieje. Najprawdopodobniej nie wszystko z naszej rodzinnej przeszłości zostało jeszcze wyjaśnione i ta myśl powodowała u mnie przyspieszone bicie serca.

Wiedziałam, że ponownie nadszedł czas, by porozmawiać o tym z Jeremim.

Najbardziej odczujesz brak jakiejś osoby,
kiedy będziesz siedział obok niej i będziesz wiedział,
że ona nigdy nie będzie twoja.
Gabriel Garcia Márquez

– Mamy już wszystko?

Iwona przystanęła i ponownie sprawdziła listę zakupów. Jeremi stał przy wózku wypełnionym świątecznymi różnościami.

– Weźmiemy jeszcze jedną kawę, colę i soki.

– OK i mam pomysł na dodatkowy deser. Wróćmy do działu owoców – dodała Iwona. Popatrzył pytająco.

– Coś dla dorosłych. Słyszałam o nim w jednym z programów telewizyjnych, poświęconych gotowaniu i zapisałam.

Jeremi milczał. Córka Leonii zadziwiła swoją energicznością i swobodą. Ta młoda kobieta po tak zwanych przejściach, przebywająca teraz w obcym kraju nie traciła werwy i dobrego humoru. Czy była to z jej strony tylko gra? – myślał, a Iwona uśmiechała się do niego i mówiła: – Jest to danie portugalskie i nazywają je „pijanymi gruszkami”.

– Wow. – Jeremi przystanął z zakupami przed regałami, na których w wielu koszykach obok siebie leżały owoce z całego świata.

– Tyle tu tego – rozejrzała się, a my tylko po kilka gruszek. Weźmiemy niezbyt dojrzałe, bo będą trochę pogotowane w czerwonym winie z dodatkiem porto, cukru i soku z cytryny.

– Wino mamy, porto nie.

– No to jedziemy do alkoholi – i znów zaśmiała się. – Podaje się polane sosem waniliowym z dodatkiem adwokata.

Dziewczyna – inteligentna i sexy, podobnie jak jej matka. Powinna być szczęśliwa...

Zapakowali wszystko, jak to w nowojorskim zwyczaju bywa do wielu papierowych toreb i zamykając bagażnik auta, Jeremi powiedział:

– Zasłużyliśmy na kawę, zapraszam.

Skinęła potakująco głową. Z tyłu marketu było bistro, w którym usiedli i Jeremi zamówił duże kawy oraz małe, kruche ciastka z jabłkowym nadzieniem.

– Dziwne obyczaje tutaj – powiedziała – ciastka na ciepło. W Remscheid, w takiej nastrojowej w starym stylu urządzonej kawiarni też podawali szarlotkę na gorąco. W Niemczech – dodała, widząc, że nazwa ta niewiele Jeremiemu mówi.

– No tak – przytaknął przypominając sobie zdarzenie, gdy Leonia poprosiła córkę, by pojechała tam i dopięła formalności spadkowych po zmarłej siostrze.

– Szkoda, że u nas w kraju nie obchodzi się Święta Dziękczynienia. Jakbyśmy nie mieli za co sobie nawzajem dziękować i okazywać wdzięczności. Zaczynają za to szaleć z Halloween – wzruszyła ramionami.

– Wiesz, ten dzień nie tylko jest świątecznym przygotowaniem tradycyjnych pyszności, ale i radością spotkania się z całą rodziną. W Nowym Jorku będzie kolorowa parada, przejdą w niej postacie z bajek i komiksów. Pojedziemy zobaczyć, dziewczynom na pewno się spodoba. W sumie jest to oficjalne ogłoszenie okresu przedświątecznego i wielka wyprzedaż w sklepach. Możesz sobie wyobrazić, jaka następuje potem inwazja na sklepy z ciuchami.

Roześmiali się oboje.

– Jak się tutaj czujesz? – zapytał niewinnie. Zamiast wypytywać córkę Leonii o wrażenia i zamiary, chciał sprowadzić ich pogawędkę w bardziej osobistym kierunku, nie spodziewając

się, że za chwilę rozmowa przyjmie poważną formę zwierzeń. Najprawdopodobniej takiej właśnie godziny Iwone brakowało.

– Masz na myśli knajpę, kontynent, czy was wszystkich?

– Ogólnie biorąc... zaczął, ale ona spontanicznie przerwała mu: – ogólnie biorąc jest ciekawie, po prostu inaczej. Dla mnie i dziewczynek oczywista radość spotkania Leni, poznanie ciebie, tymczasowa duża zmiana w naszym życiu, wyjście z atmosfery napięcia i niepokoju.

Była teraz wulkanem szczerości.

– Staralam się aby jak najmniej złych wieści do Marysi i Mariki dotarło. One jeszcze takie małe. Na tego typu życiowe dramaty mają jeszcze czas, a najlepiej, by nigdy podobnych na swoich życiowych drogach nie spotkały. Chociaż... żaden wiek nie jest właściwy, aby umieć znosić cierpienie, prawda? Do tego się nie dojrzewa. Nigdy nie jest łatwiej. Moja matka mówiła ci co się stało?

– Tak, bardzo przeżywała rozpad twojej rodziny.

– Nie opowiadałam jej, milczałam, wiesz jak to jest, czasem najbliższych próbuje się oszczędzić, ale to trwało i dla mnie stawało się nie do wytrzymania. Moje małżeństwo z Robertem wisiało na włosku, ale też i z innych powodów. Problemem nie była już przysłowiowa niezakręcona tubka pasty do zębów lub rzucony na podłogę ręcznik w łazience. Wzruszyła ramionami: – Nie chcę się teraz w damsko-męskie problemy zagłębiać.

Spojrzała na Jeremiego i dodała zdanie, które kiedyś usłyszał od Leni: „małżeństwo powinno bazować na intymności”.

Milczał, więc opowiadała dalej:

– Przysłowiowa bomba wybuchła, gdy mama zakotwiczyła już tutaj. Czulałam się rozgoryczona i bardzo samotna, ale na szczęście istnieje Patrycja, której mogłam się wypłakać.

– Leni robiła sobie ogromne wyrzuty, że musiałaś to sama znosić. Były momenty, że chciała do was wracać.

– Tak, matkom się czasem wydaje, że przyjadą i zeszyją wszystko, co się podarło. Uśmiechnęła się. – Wiedziałam i mówiłam, że powrót jej nie miałby sensu. Zresztą – wtedy byliście już razem.

Pomyślał teraz o wdzięczności, jaką powinien dla Iwony odczuwać, że udźwignęła sama ten balast, jaki los zrzucił na jej plecy... Gdyby reakcja młodej kobiety była inna, samolot z Leni na pokładzie już dawno wylądowałby na Okęciu...

Przerwała na chwilę, dziobnęła parę razy widelczykiem szarlotkę i wróciła do tematu:

– Nigdy nie przypuszczałam, że mój mąż może być zdolny do takich przekrętów? Żyje się z człowiekiem dziesięć lat i nagle przekonuje, że prawie się go nie zna.

Oboje znów zamyślili się.

– Czym zajmowałaś się w kraju? – zapytał.

– Masz na myśli naszą sytuację finansową? – uśmiechnęła się. – Niektórzy zaczynają kombinować, gdy braknie w domu na życie, ale u nas było wystarczająco, powiedziałałabym powyżej średniej. Robert po farmacji, a ja studiowałam biologię z chemią. Gdy Marika poszła do przedszkola, rozpoczęłam pracę w kosmetycznej firmie Yonelle. Zostałam kierowniczką jednego z działów, a Robert od niedawna zatrudnił się w firmie, która współpracowała z Centrafarm w Holandii i importowała leki. Taki równoległy przepływ medykamentów i wspomaganie aptek w naszym kraju był możliwy od 1 maja 2004 roku, kiedy Polska przystąpiła do Wspólnot Europejskich. Ustawy EFTA[8] zezwalają na import leków, przepakowywanie ich z tłumaczeniem ulotek na język polski z zachowaniem oryginalnej wersji do wglądu itd.

Do naszej rodzinnej skarbonki wpływało wystarczająco dużo kasy na nas czworo.

– Gdzie był więc problem? – Jeremi pokręcił głową ze zdziwieniem. – Napijesz się soku?

Kiwnęła potakująco głową.

Ciemnoskóra kelnerka przyniosła dwie duże szklanki wypełnione pysznym sokiem, który smakował jakby był świeżo wyciśnięty z kilograma pomarańczy. Tak przynajmniej stwierdziła Marysia, krótko po przyjeździe do NY.

Iwona zlikwidowała nim uczucie suchości w ustach. Powrót do minionych miesięcy stał się męczący i zaczęła ją samą dziwić szczerść, którą obdarowała tego poniekąd obcego mężczyznę. Nie wypadało teraz zakończyć opowiadania, spłyć temat rozmowy tak po prostu i bez przyczyny. A zresztą, co tam, niech wie.

– Gdzie był problem, pytasz? W głowach im się poprze-wracało! Nieustanne dążenie do luksusu!

– Komu?

– Robertowi i facetom, którzy z nim pracowali. Razem z lekami przyjeżdżała marihuana, aż pewnego razu „cłowe” pieski wywęszyły „coś” w transporcie. Ciąg dalszy jak w filmie o przemyśle narkotyków, rozprawa, wyrok.

– Odwiedziłaś go w więzieniu?

– Poszłam jeden raz. Smutne to było spotkanie i chyba niepotrzebne. Takie momenty poruszają w ludziach wszystkie najczulsze struny. Jest się prawie zdolnym wybaczyć, zapomnieć o tym, co było złe... Bez złości dławił mnie żal, że właśnie nas spotkał taki koniec, bo my przecież kiedyś bardzo się kochaliśmy...

Milczeli przez chwilę. Iwona patrzyła w przestrzeń, gdzie za oknem coraz to nowi ludzie pakowali swoje zakupy do bagażników samochodów, niektórzy nawoływali dzieci do wsiadania, jakaś mama pocieszając malucha, który upuścił swojego loda na chodnik, wycierała mu bluzeczkę i obiecywała, że zaraz kupi nowego.

– Jak wytłumaczyłaś dziewczynkom nieobecność taty?

– Nie wiem, czy dobrze i właściwie, ale powiedziałam tylko, że wyjechał służbowo w daleką podróż. Robert często był nieobecny w domu, że nie zrobiło to na nich wielkiego wrażenia. Tak myślę. Potrząsnęła głową.

– Ale to jest tłumaczenie wymijające i wykrętne. Będzie funkcjonowało przez krótki czas. Kiedyś trzeba będzie powiedzieć im smutną prawdę.

– Na ile lat?

– Na cztery...

Wydała mi się teraz taka krucha i bezbronna, że miałem ochotę objąć ją i przytulić, ale powstrzymałem się. Nie chciałem stwarzać dwuznacznej sytuacji, ani też wprowadzać jej w zakłopotanie, bo taka prawdopodobnie byłaby reakcja. W końcu byłem tylko starszym panem, Morelowym zakochanym w jej matce. Rozmyślałem tak patrząc na nią, ale ona znów poprawiła włosy i potrząsnęła głową, jakby tym gestem próbowała przegonić natrętne myśli i powiedziała:

– Wiesz, często myślę, że jest na świecie miejsce każdemu z ludzi przeznaczone, za którym podświadomie tęsknimy. Powinno być!!! – zaakcentowała. – Znasz takie?

Zadała mi pytanie bardzo intymne, dotyczące moich planów, bo jak mówiła kiedyś Lejn, w naszym wieku nie ma już marzeń. Są tylko plany, które mogą być spełnione, albo i nie, w zależności od wielu okoliczności. I co mam jej córce teraz odpowiedzieć? Że w dalszym ciągu marzy mi się powrót do Prowansji?

Uśmiechnął się i wypił do końca wystygłą już kawę.

– A compter d'aujourd'hui non. Je suis comme un poisson dans l'eau [9].

– Jak prawdziwy ichtiolog – odpowiedziała mu z uśmiechem. – Chodź, wracamy, mama będzie się denerwować, a dziewczynki z pewnością też są niespokojne.

Gdy zajechali przed dom, powiedziała mu patrząc poważnie, prosto w oczy:

– Dziękuję ci. Fajny facet jesteś.

Zanim zdążył coś stosownego odpowiedzieć, dodała:

– Moja matka kocha cię, nie zmarnuj tego.

I wysiadła szybko, by nie zauważył wzruszenia, które nagle ścisnęło jej gardło.

– Marysia, Marika, Mamo!

Nikt się nie odezwał. Pobiegła na piętro. W ich pokoju Leonia spała na kanapce przykryta kocem z Kubusiem Puchatkiem, który Jeremi kupił wczoraj jej córeczkom. Zbiegła na dół i zaglądając na taras, krzyknęła:

– Sally!

Zamiast oczekiwanego szczeknięcia, ciche tykanie zegara nad kominkiem.

Jeremi wnosił torby z zakupami.

– Co się dzieje?

– Dziewcynek nie ma, psa nie ma, a Leni śpi na górze.

– Spokojnie – uśmiechnął się. – Może znudziło im się na nas czekać i poszły z Sally na spacer. Z nią nie zginą. Pomożesz?

– Sorry. Tak.

– Zakupy są jeszcze w bagażniku.

Spokojny ton głosu Jeremiego wcale jej nie uspokoił. Miała ochotę pobiec na górę, potrząsnąć śpiącą matką i zapytać co to wszystko ma znaczyć, ale jednocześnie było jej żal Leonii. Zasnęła, ponieważ czuła się zmęczona, a smarkule mogły chociaż kartkę zostawić o swoich popołudniowych zamiarach, podczas Iwony i Jeremiego nieobecności.

Wchodząc z resztą zakupów do kuchni, zauważyła karteczkę, jakby teraz, zgodnie z jej życzeniem wyczarowaną. Wyrwana z notesika z Kubusiem Puchatkiem leżała na stole, a na niej widniało kilka kolorowych słów wyjaśnienia. Poznała pismo Mariki, która donosiła: : POSZLIŚMY NA SPACER. Odetchnęła z ulgą i z uśmiechem pokazała Jeremiu, który napelniał zakupionymi wiktuałami lodówkę. Przeczytał, powiedział:

– No widzisz jakie masz mądre córeczki. Potem objął Iwonę, pogłaskał jak dorosłe dziecko po włosach i ze słowami:

– Dzielna dziewczyna jesteś – wyszedł z kuchni.

Miała ochotę zapalić papierosa, choć już dawno rzuciła palenie, miała ochotę dalej rozmawiać, żalić się, może nawet popłakać, ale nie było nikogo, kto mógłby ją wysłuchać.

Zarzuciła ciepły sweter na ramiona i wyszła przed dom, rozglądając się za dziewczynkami. Znowu poczuła niepokój w sercu, myśląc cóż to za pomysł przyszedł im do głowy i w którą stronę mogły się udać. Ulica była prawie pusta, z wyjątkiem dużego auta stojącego przed posesją graniczącą z domkiem wynajmowanym przez Jeremiego i Leonię. Jak głośno brązowe, reklamowe napisy i ryciny mebli znajdujące się na samochodzie, służył on do pomocy w przeprowadzkach. Żadnych osób kręcących się wokół auta nie było jednak widać, za to gdzieś z oddali dobiegało radosne szczekanie psa.

[7] Iwona, zgoda? (franc.)

[8] Europejskiego Porozumienia o Wolnym Handlu (EFTA)

[9] Na dzień dzisiejszy nie. Czuję się tu szczęśliwy, jak ryba w wodzie (franc.)

Wyprawa na pocztę

- Zobacz jak przyjemnie nazywa się ten mniejszy, czerwony!
- ANGELIKA – przeczytała Marika głośno sylabizując nazwę pasażerskiego statku, umieszczoną na burcie. W górze, na maszcie powiewała amerykańska flaga.
- Ciemnoskóry chłopiec wycierający szmatą schodki prowadzące do kajut pod pokładem, słysząc głosy dziewczynek, odwrócił się w ich stronę i spojrzął z zainteresowaniem.
- Hello – powiedział z uśmiechem. Marysia pomyślała, że jak przed klasówką z angielskiego stanęła przed kolejną próbą, o której przecież wiedziała, że musiała być zaliczona.
- Hello – odpowiedziała. Nastolatek wrzucił szmatę do stojącego wiaderka, wytarł ręce w kraciasty ręcznik wiszący na bramce do wejścia i przybliżył się do burty statku, pokazując w szerokim uśmiechu białe, błyszczące zęby.
- Co tu robicie?
- Spacerujemy. Jak ci na imię?
- Jerry, a tobie?
- Marysia pomyślała, że dźwięk jej imienia może wydać się mało amerykański i on wymówi je na pewno „Małyszka”.
- Mary – powiedziała i, wskazując na stojącą obok siostrę, dodała: – To jest Marika, a pies wabi się Sally.
- Zobaczyła wtedy kwaśną minę siostry, która szturchnęła ją łokciem mówiąc z cicha:
- Czy ja jestem niemową? Zaraz pójde do domu!
- Marysia odszepnęła jej szybko: – Sorry, mała.
- Marika, przyglądając się ciemnoskóremu chłopcu, przypomniała sobie kreskówkę, którą lubiły oglądać z Marysią na TV Chanel w domu. Tom i Jerry. Tylko nie pamiętała czy Jerry był stale atakowaną myszą, czy też tym czarnym, nieznośnym kotem?
- Jerry, który nic nie zrozumiał z poprzedniej reakcji Mariki zapytał:
- Skąd jesteście?
- Teraz obie roześmiały się, wykrzykując:
- Z daleka! Z Polski!
- Popatrzył na nie z zaciekawieniem. Podobały mu się, tylko trochę dziwnie mówiły po angielsku.
- Really?[10]
- A wiesz, gdzie to jest? – zawołała Marysia.
- A wiem – odkrzyknął, pokazując jej język. – Polonia, czasem mamy kurs na Polonię.
- Nie wierzę.
- Ojej – zawołał i ponownie machnąwszy ręką zniknął w wejściu na pokład. Za chwilę wrócił i podał Marysi kolorowy folder ze zdjęciami statku, wnętrza i kalendarzem rejsów.
- Widzicie? – uśmiechał się triumfująco. – Mój ojciec tu pracuje, a ja czasem pływam razem z nim.
- Dziewczynki oglądały z zaciekawieniem mały prospekt, a potem Marysia powiedziała:
- Musimy już wracać, mogę to zabrać?
- OK – powiedział i zapraszająco dodał: – Wpadnijcie jeszcze kiedyś, pokażę wam wnętrze.
- OK, bye, bye!
- Powędrowały szybko portową uliczką, wracając na skwer, a potem skręcając w tę właściwą alejkę, przy której stał budynek pocztowy, a tuż obok mieściła się straż pożarna.

– Miałyśmy najpierw wysłać list, a ty wolałaś iść oglądać statki – mówiła Marika z wyrzutem. – Będą się nas wypytywać gdzie byliśmy tak długo.

– No to co, opowiemy o stateczkach.

Dzień był zimny, rano słoneczny, ale od zatoki zaczęło porządnie zawiewać i gdy wchodziły do budynku pocztowego, orzeł z hałasem zatrzepotał skrzydłami.

– Dobrze, że ma uwiązane, bo mógłby naprawdę odlecieć – zaśmiała się Marysia podając młodej pani przy okienku list zaadresowany do cioci Patrycji i kilka kieszonkowych dolarów.

– Air mail, please – dodała.

Przy ich wyjściu z budynku pocztowego, ptaszysko znów machnęło skrzydłami.

– Chyba zacznie padać. Chodź, biegniemy. – I złapała Marikę za rękę. – Jeśli już wrócili, albo babcia zdążyła się obudzić, to będzie afera.

– Sally, go!

– Nie leć tak, mam pomysł. Marika zatrzymała się:

– Babcia kiedyś opowiadała, że dawniej wiadomości zanosiły gołębie pocztowe. Marysia spojrziała na siostrę z politowaniem:

– A skąd ty tutaj gołąbka weźmiesz? Tylko mewy nad zatoką widziałam.

Marika szła obok siostry i planowała dalej:

– Babcia mówiła też, że pewne dzieci przesłały kilka słów balonem...

– W jaki sposób?

– Ja napisałabym pisakiem na nadmuchanym balonie: tatusiu czekamy na ciebie i nasz adres. Wypuściłabym go w powietrze. Myślisz, że nie dojdzie? Babcia mówiła, że takie listy trafiają do nieba, a Oni już dalej je przekazują...

Marysia wzięła siostrzyczkę za rękę:

– Chodź, pomyślimy nad tym, gdy pogoda się poprawi. – I prowadząc drugą ręką niespokojną Sally na smyczy, pospieszyła w stronę domu.

Siedziałam pod rozłożystym platanem, na którym od kilku minut nieznany ptak wyśpiewywał mi jeszcze jedną historię. Wymyśloną czy prawdziwą, któż to może wiedzieć? Ogarniało mnie uczucie wewnętrznego spokoju, prawdziwego, psychi-cznego relaksu. Ten zapach, jaka odurzająca, aromatyczna terapia...

Skąd ja się tutaj wzięłam? Przedemną rozciągało się bezkresne, lawendowe pole. Na horyzoncie przybierało ono powoli barwę ciemnoniliową i stamtąd w moim kierunku, pośrodku jakby niedbale już wcześniej wytyczonej, wąskiej ścieżki nadchodziła postać... Jak ciemny wykrzyknik wśród lawendowego ukojenia! W miarę zbliżania się do mnie przybierał kształt kobiecej sylwetki. Jej długa granatowa suknia podkreślała szczupłość, splecione włosy były też długie i ciemne. Widok ten zakłócał równowagę lawendowego pola, wprowadzał niepokój w moje popołudnie. Nie widziałam jeszcze dokładnie rysów jej twarzy, ale czułam już obecność nieznajomej i to, że z daleka patrzy na mnie przenikliwym wzrokiem ciemnych oczu. Wstałam i zawołałam głośno:

– Madame, madame! Zamierzałam jej powiedzieć, żeby sobie stąd poszła, bo depcze naszą lawendę, którą przecież posadził dla mnie Jeremi, niszczy moją legendę o Prowansji... a ona zatrzymała się wykonując ręką gest, jakby chciała zaprotestować i coś powiedzieć. Nie zauważyłam, że już dawno umilkł ptak, a podmuchy wiatru, których przedtem nie odczuwałam spowodowały falowanie lawendowych roślin.

I wtedy usłyszałam nadchodzącą burzę. Nad moją głową neonowa błyskawica przecięła grafitowe niebo i spadły pierwsze krople deszczu. Madame odwróciła się bez słowa i zaczęła wolno oddalać. Pomyślałam, że teraz już na amen podepcze nam wilgotne lawendy i nie dowiem

się dlaczego szła w moim kierunku...

Powinnam wracać zanim przemoknę, dobrze byłoby osłonić się czymś przed deszczem i czując cienką miękkość pod palcami, naciągnęłam sobie koc z Kubusiem Puchatkiem na głowę.

– Co ty robisz, Cherie? – usłyszałam głos Jeremiego.

Otworzyłam oczy. Nie było lawendowego pola, nie padał deszcz, a mój Morelowy siedział obok mnie na brzegu kanapki w pokoju dziewczynek. Odetchnęłam z ulgą, podczas gdy on patrzył na mnie z niepokojem. Kocham tę troskę w jego oczach i nie chcąc go niczym martwić, uśmiechnęłam się.

– Przepraszam, wprost nieprzyzwoicie usnęłam i śniło mi się, że pada deszcz.

– Naprawdę pada, ciśnienie spadło, dlatego czułaś się zmęczona – powiedział. –

Posuniesz się trochę? Chciałbym też zaprzyjaźnić się z Puchatkiem...

– Dlaczego taka cisza w domu? Jesteśmy sami?

Powoli wracała mi świadomość minionego popołudnia, mojego braku odpowiedzialności, jaki wykazałam, gdy podczas nieobecności mojej córki i Jeremiego zamiast opiekować się wnuczkami, zasnęłam sobie beztrosko. Przypomniłam mi się sen i niepokój związany ze spotkaniem tajemniczej osoby, którą w myślach nazwałam „Madame” znów powrócił.

(...) Zapytałem czy wierzy w miłość od pierwszego wejrzenia.

Jasne, że wierzę – odpowiedziała. – Inne są niemożliwe.

Gabriel García Márquez „Samolot śpiącej królowej”

– Przyjechali!

Leonia odeszła od kuchennego okna z widokiem na ulicę, przy którym stała od momentu otrzymania od Jeremiego esemesa z lotniska, że samolot Jacquesa wylądował i obaj mężczyźni są już w drodze do Port Jefferson.

– Przyjechali! – powtórzyła głośniejszym głosem widząc auto Jeremiego zatrzymane przed domem i otworzyła szeroko wejściowe drzwi.

Za sobą usłyszała tupot zbiegających po schodach i napędzanych ciekawością dwóch par stóp.

Iwona stała w łazience przyległej do gościnnego pokoju i poprawiając makijaż myślała, że przecież nie pobiegnie jak nastolatka, razem z Mariką i Marysią na spotkanie kali-fornijskiego gościa. Co to, to nie. Żadnych nowych facetów w jej życiu!

Zeszła powoli do salonu, gdzie stała Leonia z Jeremim rozmawiając w świątecznym ożywieniu z przybyłym. Na odgłos jej kroków młody mężczyzna, który niewątpliwie był synem Jeremiego obrócił się z uśmiechem:

– Salut, Yvonne.

– Salut, Jacques.

Miał na sobie cienki pulower w jadowito-turkusowym kolorze, spod którego wystawały kołnierzyk i mankiety białej koszuli.

Otoczenie się intensywnymi kolorami wskazuje podobno na ukrywane wewnętrznych emocji – pomyślała. Czupryna kę-dzierzawych ciemnobrązowych włosów, jeansy, szczupła elegancja, malarski widok... Do całkowitego ogarnięcia postaci Jacquesa zabrakło jej dwóch informacji: czy on mówi po polsku i w jakiej dziedzinie nauki zrobił ostatnio swój doktorat? Rozmawiała z matką i Jeremim o indyku, groszku z marchewką, Robercie i narkotykach, a ta dość ważna kwestia uszła jej uwadze. I wówczas zobaczyła oparte o kanapę czarne, nieduże pudło, wskazujące na futerał do skrzypiec. Krótko mówiąc – artysta i nie dało się ukryć; syn Jeremiego robił wrażenie.

– To nasza mamusia – wyjaśniła siedząca na kanapie Marika.

– Tatuś jest jeszcze w Polsce, ale niedługo do nas przyjedzie – dodała Marysia.

– Widzę, że zapowiada się nam piękny dzień.

To Jeremi. Mistrz rodzinnych konwersacji, w których brały udział dziewczynki.

– Ile czasu potrzebuje jeszcze nasze ptaszysko w tym solarium? Pachnie już smakowicie!

– Myślę, że jest prawie gotowy, sałatki też czekają, może aperitif?

Leni uśmiechniętym spojrzeniem porównywała Jeremiego i jego syna. Oczywiście różnili się wiekiem i tak zwanym męskim stylem, ale było w nich coś, co wskazywało na przynależność do... No właśnie, po chwili odkryła. To urok i przynależność do prowansalskiego gniazda. Barwny jak u Van Gogha – Jacques, nasz kuchenny zapach ziół, smak czerwonego wina, jej Jeremi i słońce zagładające przez okno? Ich pierwsze wspólne, dziękczynne świętowanie.

From: leni@comcast.net

To: patrycjatom@wp.pl

Moja kochana Patrycjo!

Mam nadzieję, że nie pielęgnyjesz w sercu żalu, jaki spowodowało moje milczenie, a jeśli nawet uczucie bólu lub coś temu podobne zagnieździło się w Twoim sercu, postaram się szybko je uśmierzyć!

Witaj Skarbie! Tyle razy zbierałam się do pisania, ale nie wiem dlaczego tak jest, że gdy nasza codzienność układa się dość pomyślnie, nie mamy ochoty się z nią dzielić. Natomiast, gdy zaczynają do oczu napływać łzy szukamy szybko czyjzegoś rękawa, w który moglibyśmy się wyplakać i wytrzeć usmarkany nos, prawda?

Nie, nie jest tak źle, ale ostatnich niespodzianek mieliśmy tutaj moc. Pobyt Iwony i dziewczynek u nas przebiega w sympatycznym nastroju. Marika i Marysia stały się bardzo samodzielne, wybierając się nawet same z Sally na spacer do miasteczka, a fakt ten miał miejsce w ubiegłym tygodniu i przyprawił Iwonę o zdenerwowanie w najwyższym stopniu. Czułam się też winna, gdyż po południu po prostu sobie usnęłam, a one wymknęły mi się spod kontroli. O moim wypadku Iwona chyba Ci wspominała, więc nie będę się powtarzać. Czasem męczą mnie zawroty głowy, ale to przecież nic strasznego. Tak myślę.

Wczoraj przeżyliśmy po raz pierwszy razem Święto Dziękczynienia. Na tę rodzinną okazję przyleciał z Kalifornii syn Jeremiego. Właśnie przed chwilą Jeremi pojechał odwiedzić go na lotnisko. Iwona jeszcze śpi, a dziewczyny bawią się z psem na dworze, bo chociaż to już listopad, pogodę mamy bardzo przyjemną. Uroczystość zwana Thanksgiving jest tutaj sympatycznym biesiadowaniem przy stole, na którym króluje pieczony, nadziewany indyk. Tradycją jest też zupa dyniowa, którą zrobił Jeremi, bo o sposobie przyrządzenia jej nie miałyśmy pojęcia. Nawet dziewczynkom wszystko smakowało i żadna nie marudziła. W sumie był to bardzo nastrojowy dzień, bo przed przystąpieniem do jedzenia, stojąc dookoła stołu wzięliśmy się za ręce i każde z nas wypowiedziało za co jest wdzięcznym, czym cieszy się i za co dziękuje.

Jeremi powiedział, że wszyscy mamy w życiu sprawy, za które powinniśmy być wdzięczni – Bogu, losowi albo szczęśliwemu zbiegowi okoliczności – a które czasem traktujemy tak, jakby się nam słusznie należały. Stałam obok niego, a on trzymając moją rękę mówił, że jest wdzięczny losowi, że pozwolił mi przyjechać do NY i z nim pozostać, a także za rodzinę, która razem z nim dzisiaj w Port Jefferson świętuje. Prawdopodobnie miał na myśli moje dziewczyny i swojego syna, który stał po jego prawej stronie.

Przyszła kolej na mnie i byłam bardzo wzruszona. Tylko jednym zdaniem wyraziłam wdzięczność za to, że jesteśmy wszyscy razem i nadzieję, że będziemy mieć wiele takich spotkań w życiu.

Jeremi popatrzył w stronę Iwony, która miała łzy w oczach. Moja twarda, nieugięta córka łamiącym się głosem powiedziała, że dziękuje Bogu i nam za to przemiłe święto i pobyt w NY. A dziewczynki?

One wspólnie i na zmianę: za to, że jest fajnie razem tutaj być, a Marysia dodała, że ma nadzieję, że ten sos, który sami robiliśmy nie jest zbyt ostry i wszystko będzie nam smakować.

Na końcu Jacques – podziękował nam za zaproszenie do wspólnego świętowania, życząc każdemu szczęścia w życiu i opieki Bożej Opatrzności. Tak to właśnie wyraził, co mnie trochę zdziwiło, bo jego wypowiedź jakoś nie pasowała mi do młodego, modnie ubranego muzyka. Tak, tak, zapomniałam Ci napisać, że syn Jeremiego jest muzykiem wykształconym w klasie skrzypiec, pracującym na uczelni w San Francisco.

Przyznać muszę, że indor pysznie nam się upiekł i nawet Marysia – wegetarianka skusiła

się na jego kawałek z dodatkiem wielu owoców z nadzienia i gotowanych warzyw. Rozwiązał się również problem marchewki i groszku, którą Jacques ku zadowoleniu Iwony preferował samą i al dente. Deser a`la Yvonne, bo tak zostały nazwane gotowane w winie gruszki, które serwowała moja córka również smakował, a ze względu na zawartość w nim alkoholu, dziewczynki dostały lody. Byliśmy nasyceni tak bardzo, że szarlotka została na trochę później, a mieliśmy przecież w planie wyjazd do City, aby zobaczyć paradę. Nic z tego nie wyszło. Na zmianę planu Marika i Marysia trochę się krzywiły, ale Jeremi włączył TV, gdzie na szczęście akurat pokazywano obiecywaną im obiecaną paradę z okazji Święta Dziękczynienia. Podobno odbywa się ona tutaj od tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku. Oczywiście rodzaj postaci filmowych i bajkowych już się przez ten czas zmienił, ale wczoraj ulicami Manhattanu szły tłumy z gigantycznymi, kolorowymi balonami, przedstawiającymi te, które wszyscy znaliśmy doskonale: myszy Mickey i Mini, królewny, psy Pluto i Huckleberry, całe Muppet Show, nawet Spiderman i jakieś inne, których nie znaliśmy. Fajnie to wszystko wyglądało, ale tłok na ulicach był ogromny i szybko ucieszyliśmy się, że siedzimy sobie przytulnie w domu.

Po programie Iwona z Jeremim podali kawę, a Jacques wyjął swoje skrzypce i uraczył nas koncertem... Zagrał fragment z Zimy Vivaldiego i jeden ze znanych utworów Astora Piazzolli. Wzruszająco. Żałowałam, że Cię z nami nie ma, ale możesz przecież poszukać w Internecie i posłuchać, prawda? Gdy Jacques skończył, Marysia zapytała czy zna coś weselszego, a on uśmiechnął się i zagrał Greka Zorbę. Na zakończenie dziewczynki klaskały owacyjnie, a my, dorośli siedzieliśmy trochę zamyśleni... Miałabym Ci jeszcze wiele do napisania, ale właśnie słyszę, że zabawa na dworze skończyła się, więc powinnam zająć się moimi mądralami, bo Iwona z Jacquesem wybrali się na spacer po okolicy.

Przesyłam Ci wiele serdeczności i proszę, nie karz mnie milczeniem. Podziel się gdańskimi nowościami, ściskam Was oboje – Leni.

Najważniejsze spotkania odbywają się w duszy,
na długo przed tym, nim spotkają się ciała.

Paulo Coelho

– Yvonne, dojrzałość i doświadczenie to zalety, a nie wady.

To była jego odpowiedź na moją nieudolną próbę wyjaśnienia z jakiego powodu jestem samotną matką z dwoma córeczkami.

Spacerowaliśmy najpierw wokół miasteczka i próbowaliśmy czegoś o sobie nawzajem się dowiedzieć.

– Czy wierzysz w gwiazdy i przeznaczenie?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale teraz jestem gotów uwierzyć. Poznanie ciebie napawa mnie optymizmem na następne dni. Tylko, że ludzie potrafią być zbyt wymagający.

Wynurzenia młodego, niedawno poznanego, młodego mężczyzny zadziwiły mnie.

– Tak?

– Ludzie chcieliby być każdego dnia zakochani.

– A ty? Nie chciałbyś być?

Miał rzadko spotykany u mężczyzn bursztynowy kolor oczu i ten brązowy odcień włosów. Patrzałam na niego z przyjemnością.

– Chciałbym cię wozić łódką w środku nocy, po zatoce przy świetle księżyca... – I roześmiał się. Żałuję, że obecna pora roku temu nie sprzyja.

Pierwszy raz przegadałam z kimś prawie całą noc, a miał to być tylko niedługi spacer po kolacji. To było fascynujące słuchać go, gdy opowiadał o swojej muzyce... Vivaldi i Cztery pory roku. Jak cztery pory życia człowieka...

W której z nich my jesteśmy?

Astor Piazzolla, król tanga. Ze wzruszenia miałam ochotę popłakać, gdy po południu, po wypiciu razem z nami kawy, Jacques wziął do ręki skrzypce i zaczął grać „Noninę”^[11]. Znam ten utwór i bardzo go lubię. Pewnego roku byliśmy akurat z Robertem w Amsterdamie, gdy holenderski książę Wilhelm Aleksander brał ślub z Argentynką, Maximą. Koniecznie chciałam pójść zobaczyć, chociaż z daleka książęcą parę i ten stary Nieuwe Kerk z XV wieku, który palił się Holendrom już dwa razy, ale go szczęśliwie uratowali i odrestaurowali. Od kilkunastu lat w tym kościele odprawiane są tylko uroczystości koronacyjne, recitale uznanych artystów i koncerty organowe. Gra Jacquesa przypomniła mi tamten dzień... Robert wtedy nie miał ochoty na wyjście do miasta z pewnością jeszcze bardziej niż zwykle przez Oranję zatłoczonego i zasiedliśmy razem z jego znajomymi przed telewizorem oglądając transmisję ślubu książęcej pary i sążnięcie popijając piwo. Wtedy to słyszałam koncertowe wykonanie Adios Nonino w murach zabytkowego kościoła. Nowo poślubiona Maxima ocierała płynące ze wzruszenia łzy, a Wilhelm trzymał ją za rękę. Mogłam płakać razem z nią.

Tango to Astor Piazzolla napisał krótko po śmierci swojego ojca. Czemu Jacques wybrał właśnie ten utwór na dzisiejsze popołudnie? Nie mógł zagrać innego utworu w weselszym nastroju? Najchętniej zapytałabym go o to, ale nie chciałam być natrętna, ani ciekawska.

Czas upływał nam na rozmowie, syn Jeremiego opowiadał o godzinach spędzonych na

próbach koncertowych ze studentami i recitalach. Na moje pytanie o sukcesy, które z pewnością odniósł – odparł z uśmiechem: – Nie biorę udziału w wyścigach po zaszczyty, to daremne. Wystarczy mi satysfakcja płynąca z tego, czym się zajmuję.

– A wiesz, że Astor miał osiem lat, gdy dostał od swojego ojca bando neon i tak zaczęło się jego życie z muzyką?

Niestety, nie wiedziałam.

– A twoje kiedy?

– Moje trochę później. Mieliśmy w domu pianino, moja matka grała, więc najpierw przygoda z klawiszami, a skrzypce w szkole. Wymowa tanga granego solo na instrumencie, potrafi być tak samo porywająca jak zmysłowy taniec...

Pomyślałam, że obaj, ojciec i syn mają cechy, które mogą przyciągać kobiety: przystojni, pedagogicznie predysponowani, z umiejętnością przekazywania wiedzy i zafascynowania nią słuchacza.

A ja? Nie wiem dlaczego poczułam się pusta, jak wypatroszona z wartości, które dotychczas miałam: dom, rodzina, firma...

Milczałam, słuchając go, a on zapytał czy nie nudzi mnie swoim towarzystwem. Ach Boże, nudzi? Chciałam stać się w tym momencie kimś innym. Mądrą, odważną, interesującą, której żaden mężczyzna nie odważyłby się zdradzić.

Nad kryształową, gładką powierzchnią wody unosiły się poranne mgły niosące chłód. Nie przeszkadzało to budzącym się ptakom, które zaczynały nawzajem opowiadać swoje sny.

– Pójdziemy? – zapytał i podając mi obie ręce podniósł z desek pomostu, na którym siedzieliśmy. Potem strzepnął narzutę, którą przed wyjściem na spacer, zabrał z naszego garażu i jak kolorowy namiot zarzucił teraz nam obojgu na ramiona.

– Przytrzymasz z twojej strony? I stwierdzając, że zmarzłam, objął mnie ramieniem. Dopiero teraz zaczęłam prawie dygotać, ale moje wewnętrzne drżenie nie było skutkiem chłodnego poranka i nieprzespanej nocy. A może właśnie było? Z drugiej strony zatoki nieśmiało, różową luną zaczęło wschodzić słońce.

Skradaliśmy się w milczeniu od strony ogrodu, uśmiechając do siebie, a potem zostawiwszy w przedpokoju beztrzesko narzutę, rzeczowy dowód nocnej schadzki, jak najciszej pokonaliśmy schody na pięterko do naszych gościnnych pokoi.

Zatrzymując się przed moim, powiedział: – pośpij trochę, po lunchu mam samolot.

Staliśmy naprzeciw siebie, oboje średniego wzrostu, a on ujął moją twarz w obie dłonie. Nie widziałam jego oczu ani on moich. Nie zapaliliśmy światła, by Boże broń kogoś nie obudzić, tylko na końcu wąskiego korytarza świt wpadający przez małe, witrażowe okienko zaznaczał nasze sylwetki. Usta Jacquesa były miękkie i ciepłe, włosy jego niesfornych, dziwnie chłopięcych kędziorów opadły na moją, już zbyt długą grzywkę... Delikatność, czułość bez namiętności, która mogłaby teraz być zupełnie nie na miejscu. Ciepło emanujące od jego ramion w granatowym swetrze... i głębokie westchnienie.

– Merci Yvonne, á bientout[12] – szepnął odwracając się w stronę swoich drzwi i zamykając je po cichu za sobą.

Stałam kilka minut na korytarzu. W sercu grało mi kilka akordów z tanga Piazzolli, ten rzewny motyw jak refren powracający, akurat odpowiedni na pożegnanie... Zbyt odpowiedni. Coś skrzypnęło na schodach i zobaczyłam jak Sally powoli wędruje do mnie na górę. – Chodź, położymy się, tylko nie rób hałasu, bo dzieci śpią – powiedziałam do niej – i pozwól się przytulić piesku, bo chyba zaraz zwariuję.

Obudziłam się, gdy słońce stało wysoko na niebie. Przespałam pożegnanie z Jacquesem? Tak! Tylko mnie mogło się to przydarzyć! Dlaczego nikt mnie nie obudził??? Zbiegłam w piżamie po schodach do kuchni, powitało mnie szczekanie Sally. Dom był pusty. Na maszynie stał dzbanek z jeszcze dość ciepłą kawą, obok informacja pisana ręką matki – jesteśmy w mieście. Na okrągłym stole nakrycia z resztkami lunchu, okruchy pieczywa, kolorowe łyżeczki w dżemowych słoiczkach: morelowy, truskawkowy, borówkowy wskazywały na to, że do posiłku pomagały nakrywać moje dziewczynki. One lubiły celebrować - tak nazywała Marysia czynność układania na stole właściwych sztuczków i dodatkowych łyżeczek, widelczyków, i koniecznie odpowiednich serwetek. Na mnie czekało czyste nakrycie, a spod serwetki wychylał się narożnik niebieskiej kartki... Wróciłam do kuchni po kawę. Chciałam przedłużyć czas i oddalić moment, w którym wezmę karteczkę do ręki i przeczytam wiadomość od Jacquesa. Mogła być ważna, albo – świadczyć o niczym.

Nie chciałbym Cię stracić z oczu. Zadzwoń. J.

Stali w pomieszczeniu odlotów na lotnisku La Guardia w Queens. Jacques z podręcznym bagażem i skrzypcami w futerale i Jeremi, odprowadzający go w powrotną drogę

– Potrzywasz? Zapiszę ci numer telefonu do Marie-Claire. Powinieneś skontaktować się z nią po przylocie. Ona zawiezie cię do szpitala.

– Możemy przecież usiąść. Jeszcze nie zapowiadali. Którą linią lecisz?

– American Airlines. Około pięciu godzin.

Jeremi wziął neseser syna i obaj skierowali się w kierunku ławek. Tłoczno, jak chyba na wszystkich lotniskach świata i wcale właściwe miejsce na ich rozmowę przed pożegnaniem. Jacques podał mu kartkę z zapisanym numerem telefonu i adresem Marie-Claire, która była od lat zaprzyjaźniona z matką. Milczeli przez chwilę, po czym syn powiedział:

– W ubiegłym roku, po waszym kryzysie myślałem, że wiele udało się naprawić, rozpedzić chmury, zażegnać burzę zbierającą się nad naszą rodziną, a jednak nie potrafiliście się odnaleźć. Dlaczego?

Jeremi z westchnieniem wzruszył ramionami.

– Próbowaliśmy. Nasze małżeństwo miało wzloty i upadki. Tak bywa w wielu związkach. Przyjazd na Long Island miał być wyjściem na prostą. Mieszkaliśmy wtedy w Stony Brook przy Main Street. Wynajęłam jej galerię, taki Gifts, cards & souvenirs. Cieszyła się i wiele wskazywało na to, że polubi nasze nowe życie. Zaczęliśmy nawet spać ze sobą... Łudziłem się.

Pomyślał teraz o kilku z ich ostatnich zbliżeń, gdy wydawała się być nieobecna. Pozwalała mu na pieszczoty, ale tak naprawdę wcale jej z nim już nie było. Krótco przed dniem, gdy powiedziała mu, że odchodzi, płakała w jego ramionach...

Odwrócił się do syna:

– Nie zapomniała tego Oliwera – powiedział prawie ze złością – i nie zaaklimatyzowała się na tyle, by akceptować także i moje, nowe środowisko, chociaż wielu z Uni ją polubiło. Znasz swoją matkę. Potrafiła być czarująca, ale i gwałtowna w podejmowaniu decyzji...

Rozstaliśmy się, wróciła do Oliwera. Czy oni są dalej razem?

– Tak. Po operacji opiekował się nią.

Milczeli znów przez chwilę i Jeremi zapytał:

– Kiedy to się zaczęło?

– Niedawno, chyba z miesiąc temu, może trochę wcześniej. Skarżyła się na bóle głowy, ucisk pod czaszką. Prosiła, by Marie-Claire zadzwoniła do mnie. Po otrzymaniu wiadomości wzięłam urlop i poleciałem do nich.

Jacqueline i Marie-Claire. Dwie dziewczyny, przyjaciółki, z którymi spotykał się w czasie studiów. Uśmiechnął się... Dalekie wspomnienie Saint Tropez... jakiś koncert w Nicei... Był z nimi jeszcze Matthias z kursu architektury.

Wspaniałe lato w Antibes. Wędrówki, wieczory spędzane w ogrodzie przeciągające się do nocnych godzin, popołudnia nad rzeką, bo rano długo odsypiali. Ojciec już nie żył, a matka lubiła towarzystwo Jeremiego przyjaciół. Wnosili radość i młodość do ich prowansalskiego domu pachnącego ziołami i chlebem, który ciągle jeszcze sama piekła. Tamtego lata wybrał Jacqueline... A może to ona go wybrała, gdy pewnej upalnej nocy przyszła do pokoiku na poddaszu, w którym spał? Zawładnęła nim. Najpierw jego zmysłami i męskością... Zadecydowała o ich przyszłym życiu, gdy jesienią rósł w jej ciele maleńki chłopczyk i Jeremi przestał myśleć o Marie-Claire.

Popatrzył na syna, który milczał i czekał. To ojciec powinien wypytywać...

– Wybacz. Wyruszyłem w podróż w odwrotnym kierunku, jakieś trzydzieści lat wstecz.

Jacques kiwnął głową, co mogło wskazywać na wy-rozumiałość i Jeremi poczuł niewielką ulgę. W dalszym ciągu był oszołomiony wiadomością, z jaką wczoraj przyjechał Jacques. I tą męczącą grą – Thanksgiving przedstawieniem, w którym starali się być dobrymi aktorami. Przed rozpoczęciem pierwszego aktu uzgodnili, że nie podzielą się na razie z nikim jego scenariuszem. Inaczej wyobrażał sobie ten dzień... Wieczorem Jacques zaprosił Yvonne na spacer, a on miał ochotę upić się i wyplakać na Leonii ramieniu. Udało mu się jednak powstrzymać. Była taka szczęśliwa... Wspólnie układali jej wnuczki do snu i odmówił nawet razem wieczorną modlitwę, powtarzając dziecięcą wersję do Anioła Stróża, prosząc też o zdrowie dla wszystkich, których kochał. Przypomniała mu się matka, która modliła się z nim przed snem i pomyślał dlaczego teraz nie znajduje na to czasu. Odczuł potrzebę zmiany, jeszcze nie wiedział jaka powinna ona być, ale coś mówiło mu, że powinna nastąpić.

Później, w sypialni też nie znalazł okazji do rozmowy, bo Leni reasumując kilkoma słowami miniony i jej zdaniem wspaniały dzień, przytuliła się jak kotka do jego boku szybko zasypiając. Brakowało tylko mruczenia wskazującego na jej absolutne zadowolenie. Dzisiaj będzie musiał powiedzieć...

– Operacja nie dała pomyślnego rezultatu? Zapytał teraz syna myśląc o sobie, że jest durniem, bo było to przecież zrozumiałe, skoro stan żony określono jako ciężki. Pierwszy raz od wielu miesięcy pomyślał o Jackie, jak o żonie.

– Potwierdziła tylko wyniki poprzednich badań. Usunięto jeden guz. Są jeszcze inne. Kiedy do niej polecisz?

– Postaram się jak najszybciej. Urlop, zastępstwo w prowadzeniu zajęć, może Agata, Amber – myślał głośno. – Dam ci znać.

– Leni wie?

– Jeszcze nie.

Syn popatrzył na zegarek.

– Pół godziny do odlotu, zaraz zapowiedzą.

– Pożegnałeś się z Yvonne?

– Nie zdążyłem. Nie wypadało mi jej budzić. Zostawiłem jej wiadomość i moją wizytówkę pod serwetką przy jej nakryciu.

Powiedział to i rozjaśnił się w zamyśleniu. Miał uśmiech swojej matki, ale Jeremi nie chciał mu teraz powiedzieć... Wszystko stawało się coraz bardziej bolesne.

– Zobaczycie się jeszcze?

– Chciałbym, ale sam wiesz jak to jest. Życie potrafi być upartym dyrygentem. Ostatnio nie zwraca uwagi na nuty w moich partyturach.

- Nie mam pojęcia jak długo Yvonne z córkami ma zamiar jeszcze u nas pobycć...
- Mesdames, messieurs... – usłyszeli i zapowiedziano samolot Jacquesa.

Wstali obaj i Jeremi znów poczuł się zupełnie nie po męsku wzruszony. Uściskał mocno ramiona syna, a całując jego policzek pomyślał, że sam jest chyba niezłym naukowcem, ale ojcem niezbyt dobrym i to był pewnie jeden z powodów dla których ich życie tak bardzo się skomplikowało. Co ich jeszcze czeka?

- Trzymaj się Staruszk – odpowiedział zgadując jego myśli. – Au revoir, á bientout![13]
- Bon voyage![14]
- Merci beaucoup[15]

Jacques pieczołowicie ujął futerał z instrumentem i ciągnąc za sobą neseser skierował się w kierunku właściwego boksu odlotów do San Francisco. Przed zniknięciem za szklanymi drzwiami odwrócił się z uniesionym kciukiem prawej dłoni mającym dodać ojcu odwagi. Jeremi odpowiedział mu równie pożegnalnym gestem.

Żal. Towarzyszył mu w całej, prawie godzinnej powrotnej drodze z lotniska do Port Jefferson. Żal, do losu za to, że tak się z nimi obszedł nabierał momentami odcienia złości. Gdyby Jacqueline ich nie opuściła, wtedy może udałoby się proces jej choroby zahamować? Mieszkali przecież w Stanach, gdzie medycyna poradziła sobie z kilkoma przypadkami raka. Może kilkunastoma? Choć na jakiś czas oddaliliby widmo śmierci... Nad każdym z nas wisi miecz Damoklesa i czas wyroku jest nam niewiadomy... Jakże krucha potrafi być miłość i panowanie w czyimś sercu – myślał. Gdybyż ostatnie wydarzenia okazały się tylko snem, z którego mógłby wstać i westchnąć z ulgą, jakby to on był wskrzeszony z martwych... Jak postąpiłby wtedy?

Wracał do domu przygnębiony, a niedaleko domu przypomniał sobie usłyszane niedawno zdanie: – Radząc sobie z przeciwnościami losu poznajemy naszą wewnętrzną siłę... Czy to Leni mu powiedziała? A może Yvonne?

Siedziała przy komputerze, a gdy wszedł odwróciła się do niego z uśmiechem:

– Zobacz, jaką dostałam wiadomość! Otworzyła aktualną stronę mailowej poczty i przeczytała głośno:

From: bratekniebieski@wydawnictwo.wp.pl

To: leni@comcast.net

Szanowna Pani,

w odpowiedzi na Pani propozycję wydawniczą prosimy o przysłanie nam proponowanych tekstów do weryfikacji.

Pozdrawiamy,

w imieniu redakcji

Liliana Ważka

– Ważka?

– Nazwisko redaktorki, libellule[16]. Miłe, prawda? W szkole miałam koleżankę, która nazywała się Motyl – roześmiała się.

– Wysłałaś im coś nowego? Pytał nie umiejąc dzielić jej entuzjazmu. Obawiał się, że ona to zaraz zauważy, ale wypadało mu przynajmniej wysłuchać nowości, którymi tak radośnie go zasypywała. – Jeszcze nie wysłałam, zapytałam tylko, czy byliby zainteresowani publikowaniem literatury dla dzieci. To nowe, rozwijające się wydawnictwo i jak widzisz, odpowiedź przyszła w

miarę pozytywna.

– A co z książką, którą chciałaś pisać? Jeśli dobrze pamiętam powstawała jakaś Wiza do Prowansji?

Uśmiechnęła się.

– Dobrze pamiętasz, ona powstaje, strona za stroną, bohaterowie już żyją na jawie, a trochę w moim sercu. Kiedyś ją dokończę i podaruję ci ...

Od początku ich znajomości i niezmiennie potrafiła go zachwycić swoją fantazją.

– Jaki gatunek dziecięcej literatury masz na myśli? Co chciałabyś preferować małym czytelnikom?

Widział, że sam zaczyna przeciągać rozmowę. Ucieka od wiadomości, którą zmuszony jest przekazać. Odwleka moment, w którym powie jej, że wyjeżdża. Opowie wszystko, ale przecież nie tutaj przy komputerze. Zaraz usiądą oboje na kanapie, może powinien najpierw zrobić jej kawę. To dobrze, że nikogo więcej nie ma w domu. Iwona z córkami najprawdopodobniej wyruszyła do City – dziś są przeceny w sklepach. Można coś nabyć korzystnie... Ach, do diabła, co obchodzą go przeceny, gdy Jacqueline umiera.

– Mam na myśli unowocześnione wersje niektórych baśni. Któregoś wieczoru opowiadałam Marice na dobranoc o królowej śniegu. Znasz? – Kiwnął potakująco głową. W oryginale baśń Andersena jest długa i trochę smutna, więc opowiedziałam jej moją wersję. Bez diabłów niosących lustro do nieba i jego okrucichów w oczach ludzi, które ukazują im świat zły i brzydki. Dziewczynkom moja opowieść bardzo się podobała, a gdy obie zasnęły szybko tę nową treść zapisałam. Potem pomyślałam o innych bajkach i baśniach, którymi karmiono nas w dzieciństwie, a my z kolei „straszyliśmy” nasze dzieci. Czy nie sądzisz, że wysyłanie dwojga pociech do lasu było przestępstwem? Albo dziewczynka w czerwonej czapeczce z butlą wina w odwiedzinach do chorej babci, wysłana samotną drogą przez las!? A może ta babcia była alkoholiczką? Jaką obrzydliwą fantazję mieli ówcześni autorzy! Pamiętasz, że leśniczy potrafił biednemu wilkowi rozciąć brzuch i wyjąć z niego żywą babcie? Masakra! O opiece nad zwierzętami, pielęgnacji i dokarmianiu ich nikt wtedy jeszcze nie słyszał. Jeremi przytaknął ponownie.

– Niektóre bajki były dziwaczne, albo smutne. Baba Jaga chciała upiec dziecko w piecu, a Małgosia ratując braciszka, wsadziła przy jego pomocy niedobrą staruszkę do pieca. Katastrofa!

– No widzisz i pomyślałam sobie, że mogę spróbować te okropności niwelować, a teksty złagodzić i unowocześnić. Co myślisz o tym? Na początek wyślę im moją wersję Królowej Śniegu oraz Jasia i Małgosi. Baba Jaga zamieszka w Towarzystwie opieki nad starszymi ludźmi i tam będzie zajmowała się wypiekaniem smacznych pierniczek dla dzieci w przedszkolu. Treść obu bajek mam już gotową. Czemu nic nie mówisz? Jacques pojechał?

– To będzie dobry pomysł, Cherie. Tak, odleciał. Napijesz się kawy?

– Oui, chętnie.

Dzbanek napełniał się powoli. Jeremi pomyślał, że szukanie w kredensie ciasteczek i serwowanie ich w takiej chwili byłoby zupełnie faux pas[17]. Nalał kawę do filiżanek i postawił na stole.

– Écoutez-moi,[18] Leni!

Podeszła, by usiąść obok na kanapie, dodała trochę śmietanki do kawy, a potem spojrzała na niego bacznie. Coś niepokojącego było w tonie głosu Jeremiego. Coś obcego, czego dotychczas nie знаła.

– Cherie, muszę wyjechać.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem i wydało się jej, że w pokoju pociemniało, choć minęło właśnie południe. Czekwała, myśląc, a cóż to za niespodzianka, dokąd to się mój monsieur

wybiera? Może ze swoją armée aż do Japonii? Miała nawet ochotę uśmiechnąć się, ale ton głosu Jeremiego powstrzymał ją. Coś jej przypominał, ale jeszcze nie wiedziała co... Jakiś mężczyzna z podobnie wzruszeniem ściśniętym gardłem już do niej mówił, że... O Boże, tylko nie to! Co też mi przychodzi do głowy!

– U Jacqueline zdiagnozowano raka podstawy czaszki. Już jest po operacji. Chcę do niej pojechać.

Sięgnęła po filiżankę, popiła łyk kawy a odstawiając ją niezamierzenie głośno, wylała resztę na talerzyk i serwetkę. Ręce jej drżały, on mówił dalej: – Jacques już tam był, stan jest ciężki.

– Tam, to znaczy gdzie?

– W Nicei.

Wstał, przyniósł ściereczkę, wytarł rozlaną kawę i w czystej filiżance podał Leni drugą. Milczała, głaszcząc Sally, która położyła się przy jego nogach. Jessie też taka była. Psy wyczuwające nastroje.

– Tak, musisz jechać. Kiedy była operacja?

– Niedawno, kilka dni temu.

Pokiwała głową. Obecna chwila nie była właściwym momentem, by opowiedzieć mu o Madame idącej do niej przez lawendowe pole. O Jacqueline, która próbowała jej przekazać wiadomość?... Utwierdzała się w przekonaniu, że postacią, którą wtedy widziała była Madame.

Jeremi objął ją ramieniem i Leonia przytuliła się do jego boku. Niewiele mieli teraz do powiedzenia. Z ogrodu dobiegało beztróskie pogwizdywanie szpaka, który nie wiedział o niczym, a ona poczuła się znów bardzo samotna.

[11] Iwona ma na myśli utwór Astora Piazzolli - Adios Nonino

[12] Dziękuję Iwono, do zobaczenia (franc.)

[13] Do widzenia, do zobaczenia wkrótce (franc.)

[14] Dobrej podróży (franc.)

[15] Wielkie dzięki (franc.)

[16] Wazka (franc.)

[17] Nie na miejscu (franc.)

[18] Posłuchaj mnie (franc.)

Są wiadomości radosne, które potrafią rozjaśnić nam niebo,
inne spadają jak kamienie na serce i wstrzymują nasz oddech...

Ranek, bardzo wczesny ranek, a w komórce Leonii sygnał przyjętego przez nią esemesa. Odtula się powoli od pleców Jeremiego, po omacku bierze do ręki ten techniczny wynalazek, który potrafi czasem zakłócić najbardziej ważne momenty w naszym życiu, odbiera pocztę konstatając ze zdziwieniem, że to Patrycja „zrujnowała się” na wysłanie z Polski do Nowego Jorku esemesa.

I czyta: Dostałam list od dziewczynki, Tomasz zainstalował mi nareszcie skype, jeśli możesz dodaj mnie do kontaktów – gracia patrycja51. Buziaki.

Uśmiechnęła się, bo podany zestaw imion przypominał jej opowiadanie przyjaciółki o dzieciństwie, gdy bardzo chciała być księżniczką, zmuszając do zabawy w koronację o dwa lata młodszego brata księżniczki. Oczywiście ona była jasnie mianowaną, przyjmując imię Gracji-Patrycji.

List od dziewczynki? I teraz, świtem bladym musi mnie o nim informować? Równy oddech Jeremiego wskazywał na to, że zasnął ponownie, więc wstała, założyła na piżamę leżącą na fotelu bluzę od dresu i jak najciszej wyszła z sypialni. W salonie zauważyła, że tak bardzo wcześnie wcale nie jest, bo nad zatoką snują się już rozległe poranne mgły. Usiadła w narożniku pokoju przy biurku i otworzyła laptop, ten sam, który dostała od Jennifer za opiekę nad jej mieszkaniem i Charlim – minionego lata.

Dodała do kontaktów – grację patrycję51 – i czekając na potwierdzenie przyjęcia skypowego adresu pomyślała o pewnym popołudniu... Przeoczyły coś, co uszło ich uwadze, jej i Iwony! Tego dnia, gdy razem z Jeremim planowały menu na wczorajsze święto, Marika i Marysia pisały list do cici Patrycji...

O czym? Miała nadzieję za chwilę dowiedzieć się od Pat i wszystko wskazywało na to, że sprawa była ważna, w przeciwnym razie przyjaciółka nie wyciągałaby jej esemesem z łóżka.

Połączenia jednak jeszcze nie było. Leni przykryła się kocem i leżąc na kanapie obserwowała pierwsze blaski wschodzącego nad zatoką słońca.

Wspomnienia są jedynym rajem,
z którego nie można nas wygnać

Jean Paul Friedrich Richter

– Idź już, proszę. Nie utrudniaj mi, bo się zapłacę.
– Leni, spróbujmy nadać tej sytuacji trochę wdzięku – powiedział w zamyśleniu,
przytulając mnie.

Miałam ochotę głośno szlochać wtulona w jego szyję, ale nie chcąc brudzić mu
kołnierzyka tuszem do rzęs, powiedziałam:

– Kto kocha, nie porzuca. To był tytuł filmu, meksykańskiego kiedyś serialu – myślałam.
Nie, brzmiał inaczej: – Kto kocha nie zabija... Jaki głupi zwrot, ale już wstydząc się mojego
bezsensownego gadania, brnęłam dalej:

– Myślałam, że jestem kimś ważnym dla ciebie... Jeremi odsunął mnie na długość ramion
i spojrzał z lekkim zdziwieniem: – Czy ty nie wiesz, że jesteś najważniejszą kobietą w moim
obecnym życiu? Akcent na obecnym. To powinno mnie uspokoić, ale nie zadziałało tak, jakby
Jeremi sobie tego życzył. Jane odwrócona do nas tyłem wertowała jedną z kolorowych gazet,
którą zdjęła ze stojaka. Pożegnaniom towarzyszą często zdania banalne, wynikające niepewności
i niewiedzy co spotka nas za parę godzin, co stanie się z nim, z nami. Ale Jeremi nigdy dotąd nie
był banalny. Widziałam, że sytuacja w której się znalazł przerasta go i męczy prawie do utraty
tchu, bo przecież wszystko miało być inaczej, a ja mu wcale nie pomagam. Można byłoby
powiedzieć jeszcze coś w stylu: obiecaj mi, że... albo: wracaj szybko, bo... zwroty jak zaklęcia,
które później mogą leżeć kamieniami na sercu, gdyż dotrzymać się ich nijak nie uda.

– Pardon – powiedziałam oswobodziwszy się z jego ramion i patrząc w oczy, które
kochałam nad życie powiedziałam dzielnie: – Wiem, musisz pojechać i zostać tam tak długo, jak
będzie to konieczne.

Dziwne, bo wypowiedziawszy to zdanie poczułam się dumna z siebie samej i
odetchnęłam prawie z ulgą. Ile mnie ono kosztowało, Bóg jedyny wie – no i może Steffi. Jeremi
objął mnie ponownie i tak sobie staliśmy, we dwoje w dojrzałym wieku zakochani do utraty tchu.
Niespodziewanie rozbiło się na wiele cząsteczek lustro marzeń, które nieśli aniołowie do nieba,
jak prośbę o aprobatę pokornego podania, o wieloletnie szczęście i miłość...

– Attention, attention, mes dames, messieurs... [19]

Jane zapłaciła za gazetę, którą oglądała kilka minut i pewnie z grubsza zdążyła już
przeczytać, a zajęcie to było przecież tylko pretekstem, by nam nie przeszkadzać w pożegnalnej
ceremonii. Jak mi później przyznała – obawiała się o mnie i myślała, że będzie gorzej. Podobno
jestem dzielna. Jane może tak powiedzieć, jej wolno, bo ona towarzyszyła mi w tych potokach
łez po stracie Wiktora...

[19] Uwaga, uwaga, panie, panowie (franc.)

Uważała, iż w czasie deszczu należy podlewać rośliny domowe,
ponieważ one „wiedzą”, że pada, i jest im smutno.

Jonathan Carroll „Białe jabłka”

Dzwonek, który założył Jeremi był widocznie zbyt cichy, bo nie usłyszałam go, dopiero po chwili dotarło do mnie stukanie kołatką w drzwi. Byłam sama i od czasu wyjazdu Jeremiego niechętnie otwierałam komuś, kto uprzednio nie zaanonsował się u mnie.

Na progu stała starsza pani, której wiek trudno było na pierwszy rzut oka określić. Z nieśmiałym uśmiechem zapytała:

– Czy mogłabym skorzystać z telefonu? I zaraz dodała z nieznacznym skinięciem głowy:
– Jestem Rachel Thompson. Moja córka Allisson i ja wprowadzamy się do domu obok państwa. Przepraszam, że przeszkadzam, ale przy tym rozgardiaszu nie mogę znaleźć mojej komórki, a chciałabym koniecznie skontaktować się z córką. Pojechała do City.

Pierwsze wrażenie było ciepłe i sympatyczne. Miała siwe, ładnie ułożone włosy i niebieskie oczy wzbudzające zaufanie. Wyciągnęłam do niej rękę, zapraszając do wejścia: – Leonia Morelly – skłamałam. Dodanie do mojego imienia nazwiska „Morelowego”, które i tak widniało na porcelanowej tabliczce umieszczonej na drzwiach wejściowych sprawiło mi przyjemność. L.J. Morelly. Jak ładnie brzmi... Czy zostanę kiedyś panią Morelly?

Rachel Thompson stała dalej w przedpokoju, a ja rozglądałam się za moją komórką, bo Jeremi uważał, że stacjonarny telefon wcale nie jest nam potrzebny i dlatego często szukaliśmy tych małych, złośliwych komunikatorów, które lubiły się nam zapodziewać. Znalazłam mój, a tylko dlatego, że zadzwoniła Iwona pytając czy nie potrzebujemy czegoś do kolacji.

– Moja córka też jest w mieście – uśmiechnęłam się podając starszej pani telefon.

Połączyła się z numerem, który znała o dziwo na pamięć, mówiła przez chwilę szybko i dla mnie niezrozumiale, a potem oddając komórkę, powiedziała: – Thanks, miło mi było panią poznać, pani Morelly. Uciekam, bo zanosi się na deszcz i muszę zadbać o moje kwiaty. Spojrzałam zaciekawiona, a ona dodała z uśmiechem: – w czasie deszczu należy podlewać rośliny domowe, ponieważ one „wiedzą”, że pada, i jest im smutno. Gdy już urządzimy się na nowym, zaprosimy państwa do siebie na herbatę. Good night – i pospieszyła do wyjścia.

– Good night, pani Thompson – powiedziałam i wtedy, zamykając za nią drzwi poczułam dziwny niepokój. Bo jak to się stało, że nie zauważyłam od razu i nie zdziwiłam się, że Rachel Thompson rozmawiała ze mną po polsku?

Iwona wróciła z miasta z dziewczynkami, które porozbierały się z kolorowych peleryn, dały mi po buziaku i mówiąc, że są bardzo zajęte pobiegły na górę. Już z połowy schodów, Marysia zawołała:

– Co będzie na kolację?

– Sałatka z tuńczyka i jajecznica. A dlaczego pytasz?

– Bo chcę się mentalnie przygotować – odrzyknęła i już jej nie było. Iwona uśmiechnęła się:

– Skąd jej się biorą podobne konkluzje, a ja przygotowując owe dania zaczęłam opowiadać jej o wizycie starszej pani.

– Co rusz jakieś nowości, a dziś nawet wizyta z za płotu – mówiła moja córka wyjmując grzanki z toster. Dziwne to wszystko. Jeremi odezwał się?

– Nic, oprócz wczorajszego esemesa, że zalecał szczęśliwie.

Popatrzyła na mnie uważnie i pytająco. – Masz na twarzy wypisane rozczarowanie, mamo. Chwilę ciszy przerwał toster i grzanka, która wyskoczyła aż na podłogę.

– Iwona – powiedziałam. Jeremi urzeczywistnia moje wyobrażenia o dobrym związku kobiety i mężczyzny. Dzieje się tak prawie od dnia naszego poznania. Zaprzyjaźnił się z twoimi dziewczynkami.

– I ze mną.

– A twój artysta?

– Też zalecał i miło wspomina.

– Posiekaj szczypiorek – powiedziałam.

– A dalej?

– Nie wiem. Powiedział kiedyś, że każdy powinien mieć swoją misję w życiu. Ona jest trudna do odkrycia, ale czasami się udaje.

– Co miał na myśli?

Złapałam się za głowę: – Jezus Maria, nie pytaj mnie, nie wiem! Pojechał do Jacqueline, która jest chora. Powiedział, że są wydarzenia w życiu, które musi przemyśleć z nadzieją, że uda mu się rozwiązać zamotane w nich problemy, chociaż très difficile.[20]

– Nie zaproponował, żebyś z nim pojechała?

– Chyba ani mnie, ani jemu taka alternatywa w tamtym momencie nie przyszła do głowy.

– Kiedy?

– Gdy dowiedział się od Jacquesa, że Madame jest chora.

Wyraz jak pseudonim przyjął się w moich rozmowach z córką. I wtedy Iwona powiedziała coś prawie przerażającego: – Będę musiała wracać do kraju ... a nóż, który trzymałam w ręce zsunął się z pomidora i skaleczył mój wskazujący palec.

– Proszę cię, jeszcze nie. Nie możesz mnie teraz zostawić.

– Kiedyś będę musiała. Gdzie masz plaster?

– W jednej z małych szufladek, chyba w tej po prawej.

Opatrzyła mi przecięcie, powiedziała do mnie, żebym usiadła, a ona dokończy sałatkę. Później, jakby nic się nie stało zawołała swoje córki na kolację, a ja siedziałam przytłoczona różnaitością ostatnich wydarzeń, które mnie spotykają.

– Smakuje?

– Oczywiście – przytaknęły obie.

– Spécialités françaises Duc de Cœur Chinois a la crème, pâtissière. – Marysia czytała głośno napis z kolorowego opakowania. – Co to znaczy?

Iwona smarowała słodką bułeczkę masłem.

– Właśnie to, co mam w ręce, ale dokładnie nie mam pojęcia. Francuska nazwa pieczywa, coś słodkiego.

– Wujek Jeremi by wiedział. Kiedy on wróci?

– Nie wiem. Jedzcie, proszę.

Dziobałam bez większego zaangażowania moją porcję jajecznicy, nałożoną przez Iwonę na talerzyk.

– Musimy porozmawiać – zwróciłam się półgłosem do córki. – Wczoraj dostałam mail od Patrycji, a jeszcze przed odlotem Jeremiego nawiązałyśmy kontakt na skype. Chyba mamy

problem.

- Kto ma? My dwie, czy ty z Patrycją?
- Chyba wszystkie trzy.

Nie powinnam poruszać tego tematu przy dziewczynkach, ale wydawało mi się, że ich uwaga była skupiona nie tylko na jedzeniu, ale i na kreskówce - dobranocce. Ponieważ zrobiło się już późno, Iwona włączyła im mały telewizorek, który stał na komodzie w kuchni. Gdy był Jeremi nigdy tego nie robiłyśmy. Jego obecność pochłaniała uwagę dziewczynek i opowiadania, które czasem snuł przy jedzeniu powodowały, że kolacja znikła w przyspieszonym tempie. W przeciwnym razie, nie byłoby na przykład opowieści o rakach z zatoki, o których lubiły słuchać najbardziej. Teoria, że nie rozmawia się przy jedzeniu jest absolutnie fałszywa. Wręcz przeciwnie, można prowadzić kulturalne rozmowy z dziećmi – twierdził Jeremi, jednakże nie mówi się z pełną buzią. Teraz wymienione przeze mnie słowa: Patrycja, mail, problem złowione jednym uszkiem przez Marysię, spowodowały niezauważalne w jej mniemaniu szturchnięcie łokciem siostrzyczki z dodatkiem szeptu: dostała...

- Dobrze – Iwona skinęła potakująco głową. Później, mamó.

Dziewczynki były ułożone do spania, a ja czekałam na Iwonę, siedząc przy kominku. Wesoło buzujący teraz ogień Iwona rozpałała już przed kolacją. Dotychczas Jeremi lubił tę czynność mówiąc, że kominek wprowadza nie tylko praktyczne ciepło, lecz przytulność i czułość. Taki był Jeremi, za którym teraz do bólu tęskniłam. Był? Czemu myślę o nim w czasie przeszłym? Iwona przyszła z dwoma kubkami parującej herbaty.

- Napijesz się? Zielona. Zapachniało grejpfrutem i skinęłam głową z wdzięcznością.
- Więc, jakie to fascynujące wiadomości masz od cioci Patrycji?
- Nasze mądrale napisały i wysłały do Patrycji list, właściwie dwa listy. Jeden

adresowany jest do niej, drugi do Roberta.

- Coś takiego!

– Tak i Patrycja jest bardzo zaniepokojona, ponieważ prosiły ją, znaczy się Marysia, bo to ona pisała, żeby Pati ten drugi list wysłała do tatusia, bo ciocia na pewno wie dokąd on pojechał.

- A o czym napisały w tym dla Roberta?

– Znasz Partycję, popłakała się czytając. Marysia pisała, że tęsknią za nim, bo tak długo nie wraca i proszą, żeby do nich przyjechał. W Ameryce jest fajnie i wujek Jeremi też jest fajny, a dla taty miejsce w domku na pewno się znajdzie, a tym bardziej, że w kalendarzu z Kubusiem Puchatkiem widziały, że niedługo nadejdą święta, które tutaj nazywają się Christmas. List do Roberta ozdobiony jest rysunkami i wycinkami z kalendarza z zaznaczeniem daty, do kiedy powinien przyjechać, bo one bardzo czekają. Skończyłam relacjonować, nasze herbaty stygły, a Iwona siedziała zamyślona.

- Co zrobimy?

Westchnęła głęboko.

– Wiedziałam, że one długo tak spokojnie, bez znaku życia od Roberta nie będą czekać, ale zabolalo mnie teraz, że nie zapytały nas; mnie albo ciebie, tylko napisały do Patrycji.

Zawiodłam kiedyś ich zaufanie?

– Niekoniecznie. One próbują być samodzielne, szczególnie Marysia chce sama coś załatwić. Do Patrycji napisała, że przyjazd tatusia do nas ma być niespodzianką dla ciebie.

– Tak, chyba, żeby zwiał z więzienia. Może opracujemy jakiś plan? Nawet z Alcatraz się kiedyś udało.

- Uśmiechnęłyśmy się krzywo do siebie.

– Co radzi Patrycja?
– Porozmawiać poważnie z dziewczynkami i wyjaśnić problem.
– Nic prostszego, bułka z masłem. Pogadamy jutro, bo sprawa niecierpiąca zwłoki, nawet terminy są już określone. Objęła mnie i pocałowała w policzek:
– Idziemy spać, to nam dobrze zrobi, a do przytulenia weź sobie Sally. Pies słysząc swoje imię, podniósł się i poma-szerował za nami najpierw do kuchni, aby napić się przed snem wody, a gdzieś na górze bardzo cichutko dwie piżamowe dziewczynki zamknęły za sobą drzwi gościnnego pokoju.

Z pierwszego zaśnięcia wyrwało mnie stłumione warczenie Sally. Niecałkiem jeszcze przytomna otworzyłam oczy i zobaczyłam Steffi siedzącą w rogu mojego, szerokiego łóżka, po stronie Jeremiego. Próbując dojsć do siebie, uspokoiłam psa – rozważając, że rano pewnie znów nie będę pewna czy ona odwiedziła mnie naprawdę, czy tak jak przed kilkoma miesiącami w mieszkaniu Jane wyda mi się snem. Usiadłam na łóżku i westchnęłam.

– Sorry – powiedziała – że o tej porze, ale nie miałam korzystniejszej okazji. Machnęłam ręką z rezygnacją i rozejrzałam się za butelką wody mineralnej, która powinna stać blisko łóżka. Jeremi zawsze dbał o to, na wszelki wypadek, gdyby któremuś z nas w nocy zachciało się pić. Niestety, nie było ani jednej.

– Przemilczałam to – powiedziała trochę poufnie, ale ja już wcześniej wiedziałam, że on sam pojedzie do Prowansji. Byłam świadkiem rozmowy Jeremiego z Jacquesem, podczas jego pobytu u was na Święcie Dziękczynienia.

– Podśluchiwałaś? Gdzie?

Steffi uśmiechnęła się i machnęła ręką:

– W garażu. I widząc moją zdziwioną minę, dodała:

– Garaże to prawie jak męskie kluby. Faceci dłubiąc w swoich cackach wymieniają nie tylko części wozów, ale, także opinie o dziewczynach. Po prostu plotkują i tyle.

– Madame nie jest „dziewczyną”. Co jeszcze wiesz?

Steffi spowaźniała. – Trudno jest mi przewidzieć wszystko i dokładnie, ale są sygnały, które odbieram i wtedy mogę ci to i owo powiedzieć lub przestrzec.

Nie wymagaj jednak zbyt wiele ode mnie.

Pomyślałam, że ona mnie kiedyś dobieje tym swoim „prawie” jasnowiedztwem, pojawianiem się i znikaniem, ale zamiast jej to ze złością powiedzieć – rozplakałam się. Wtedy Steffi zrobiła coś, za czym od dawna tęskniłam; podeszła i objęła mnie. Znów owiał mnie jej delikatny, waniliowy zapach i poczułam, jakby właśnie zaczął, z natychmiastowym skutkiem, działać na mnie Asertin, albo Tonisol, jeden z tych medykamentów na uspokojenie, którymi faszerałam się w kraju po wyjeździe Wiktora. Czyżby Steffi umiała przekazywać pozytywne fluidy? Poczułam przecież wyraźnie przypływ energii na przetrwanie... Chciałam zapytać ją czy wie, co zdarzy się nam w najbliższych dniach. Czy Madam wyzdrowieje? A jeśli tak, to co będzie ze mną i Jeremim, ale odwaga opuściła mnie. Zasypiałam...

Dwie pary dziecięcych oczu wpatrywały się w matkę uparcie. Podczas całej rozmowy Marysia kręciła zwisający kosmyk włosów, a Marikę zaczęła męczyć czkawka. Leonia poszła do kuchni i przyniosła jej ciepłe kakao. Marysia w ogóle odmówiła dziś zjedzenia śniadania.

– Co to jest to miejsce odosobnienia, o którym mówisz? – zapytała Iwony.

– Specjalny dom, w którym odbywa się karę. To tak, jakbyście wy zrobiły coś bardzo

złego, a ja zamknęłabym was za karę w drugim pokoju, na klucz.

– A co złego tatuś zrobił?

– Sprzedawał komuś coś zakazanego. Bardzo szkodliwe le-karstwa.

– Co ty mamuś mówisz, coś ci się chyba pokręciło. Lekarstwa leczą gorączkę, chorobę, nie mogą szkodliwe – perorowała Marysia, a Marika potakiwała jej główką.

Leonii ścisnęło się serce. Usiadła obok młodszej wnuczki, otoczyła ramieniem i powiedziała:

– Są też takie, które szkodzą, gdy weźmie się ich za dużo. Wtedy kręci się w głowie i ludzie mają brzydkie sny.

– No to po co biorą? – zawołała Marika.

– Bo od tego są już chorzy. Nazywa się to uzależnieniem.

– Czemu tatuś takie świństwo sprzedawał? – Marysia zeskoczyła gwałtownie z kanapy i stanęła przed Iwoną patrząc z wyrzutem i złością.

– Córeczko, nie wiedziałam o tym, a on chciał zarobić więcej pieniążków. To było złe i wiem, że tatuś teraz żałuje, ale za takie postępowanie trzeba zostać ukaranym. Wyciągnęła rękę, wzięła Marysię na kolana, a dziewczynka przytuliła się do niej. Napięcie powoli mijało, ale smutek jak jesienna pajęczyna zawisł w powietrzu.

– Długo będzie musiał siedzieć zamknięty w tamtym pokoju? – zapytała Marika.

– Dość długo, na Christmas nie zdąży przyjechać.

– Babciu, ty wiedziałaś czym się tata zajmuje? – Marysia z poważną miną zaczęła przeprowadzać śledztwo.

– Nie, nie wiedziałam.

– Mamo, a dlaczego nas okłamałaś? Zeszła z kolan matki i ponownie patrzyła na nią badawczo. – Powiedziałaś nam, że wyjechał w daleką podróż!

– Nie chciałam was martwić. Myślałam, że to zbyt trudne dla dzieci do zrozumienia.

Marysia wzruszyła ramionami i ponownie, u matki na kolanach, niczym zupełnie dorosła powiedziała cicho:

– Rozczarował mnie.

– Mnie też – dodała Marika. Balony już nie pomogą.

Iwona spojrzała pytająco nad głowę Marysi na Leonie, a ta dała jej mimiką twarzy znak, że wie, o czym mówi młodsza wnuczka. Kilka dni temu podczas odkurzania w gościnnym pokoju, Leonia znalazła za tapczanem niewysłany balon z napisem wykonanym pisakiem i dziecięcą ręką:

tatusiu czekamy na ciebie w porcie jefersona!!!

Gdyby był teraz z nimi Jeremi, czy potrafiłby rozjaśnić ich smutnie rozpoczęty dzień? Myśląc tak, Leonia zaproponowała wspólny spacer z możliwością odwiedzenia nowo otwartego marketu, gdzie już można podziwiać świąteczne dekoracje. Być może, pewności nie miała, ale warto byłoby sprawdzić, prawda? Zgodziły się bez większego entuzjazmu.

Prośba o radę...

Patrycja nie była jej krewną, na przykład kuzynką ze strony ojca lub matki, ale często bywa tak, że w swoim dzieciństwie, przyjaciółki matek nazywa się „ciociami” i później tak już zostaje na długie lata. Iwona myślała czasem, że Patrycja potrafi bardziej zrozumieć i sprawiedliwiej ocenić motyw jej postępowania niż własna matka. A może tak się Iwonie tylko wydawało?

Wywołać skype czy wysłać maila? Czas jest odpowiedni na skypa, tutaj noc, w Gdańsku dzień, ale czy będzie ktoś w domu? Nie wiedziała na ile Patrycja jest zorientowana w zaistniałej sytuacji, oprócz nieszczęsnych, koresponden-cyjnych planów jej dziewczynek. Bardziej potrzebowała rozmowy z kimś i rady, ale żaden z mężczyzn, na których wydawało się, że może w ostatnim czasie liczyć – nie dawał znaku życia. Jak matka to znosi? W głębi serca podziwiała ją. Kobieca duma, wyrozumiałość i ambicja kazały Leonii czekać na wiadomość od Jeremiego. Za to jego postępowanie było trudne do zrozumienia.

Postanowiła zostawić krótką wiadomość na skypie. Tak będzie łatwiej – dla gracji-patrycji 51. Przeczyta gdy otworzy komputer, a resztę już mailowo.

U nas night, u Was morning, a więc hi, Ciociu i cała Wasza reszto! Wybacz, ale muszę, tak jak przed kilkoma miesiącami po powrocie z Remscheid, gdy dzieliłam się z Tobą nowościami, radosnymi i dziwnymi; tak i teraz nie mogę się powstrzymać. Nie wiem, na ile mama skłonna była o ostatnich wydarzeniach napisać Ci lub powiedzieć, ale wszystko zagmatwało się mało prawdopodobnie i muszę coś z tym zrobić. Po pierwsze; wczoraj wyjaśniłyśmy Marice i Marysi (na ile się to oczywiście dało) sytuację Roberta. Nie była to miła rozmowa i jak znam moje córki, do tego tematu jeszcze nieraz powrócimy. To, że Jeremi wyjechał do swojej bardzo chorej żony, do Prowansji – to na pewno wiesz. Mama udaje dzielną, ambitną i nie narzucającą się w zaistniałej sytuacji... Czeka na wiadomość z jego strony i wiem, że jest jej bardzo trudno. Jeszcze raz uwierzyła facetowi, a z drugiej strony oceanu – cisza. Tego też nie rozumiem, ale uzbijamy się w cierpliwość. Mojego zasobu nie ma już co prawda zbyt wiele, bo urlop, który wzięłam na pobyt w Long Island dobiega końca i jestem w przysłowiowej kropce.

Jak mogę teraz Leonię zostawić samą w wielkim, niewia-domym galimatiasie? Z okazji Święta Dziękczynienia (to pewnie wiesz od mamy) przyjechał do nas syn Jeremiego. Bardzo interesujący facet. Znasz to uczucie? Poznajesz kogoś, spędzasz z nim kilkanaście godzin w towarzystwie, potem z zainteresowaniem wałęsasz się z nim do świtu – nad zatoką przy księżycu, słuchasz jego opowiadań, a on Twoich... noc rzuca swój czar... i wydaje Ci się, że mogłabyś z nim spędzić resztę życia... ale on następnego dnia już odlatuje, a ty przesyypiasz godzinę pożegnania! Wyobrażasz sobie coś takiego? Jak w filmie, zostawia Ci wizytówkę z kilkoma słowami, że było miło i będziemy w kontakcie i do zobaczenia; takie niezobowiązujące dyrdymałki.

Wiem, co powiesz Ciociu: oni obaj mają zmartwienie związane z chorobą matki i żony. (No tak, żony, bo rozwodu Jeremi nie ma). Wszystko rozumiem, ale może by tak chociaż słowo do tej, której obiecywał lawendowe ogrody, co? Nic, poza tym, że zalecał szczęśliwie. No tak, ale gdyby było inaczej, podaliby w TV. Strach pomyśleć, co będzie, jeśli Jacqueline wyzdrowieje... Przepraszam, posuwam się za daleko.

Wysłała część wiadomości i nadsluchiwała przez moment, gdyż wydawało się jej, że słyszy ciche kroki na schodach. Nie, to z pewnością wiatr za oknem kołysał gałęziami i resztą liści. Granatowy kolor nieba ustępował grafitowej szarości. Dziwne – rozejrzała się po pokoju.

Zapachniało waniliowo. Matka wczoraj kupiła małe drzewko bonsai, które przecież nie kwitnie. A może ten żółty storczyk, czy odświeżacz powietrza w kuchni? Bardzo przyjemnie... zapytam ją o to rano... i wróciła do pisania maila.

Steffi siedziała za nią na kwiecistej, „apricotowej” kanapie i uśmiechała się, myśląc: – Pisz kochana, pisz, to cię trochę uspokoi. Może i twoje serce napelni nadzieją?

Poradź mi Ciociu, czy mogę, a może powinnam sama skontaktować się z Jacquesem i po prostu zapytać (niby to pełna troski) jak się wszyscy troje mają? Myślę, że mama nie weźmie mi za złe, że się Ciebie poradziłam, ani też, że do Jacquesa się zwróciłam; jeśli Ty będziesz uważała moje postępowanie za stosowne. Czy rozpoczęliście z Tomaszem przygotowania świąteczne? Nie chce mi się wierzyć, że mamy już początek grudnia i czas adwentowy. Wczoraj, próbując poprawić sobie humor, łązęgowałyśmy trochę po marketach. Chciałam kupić jakieś dekoracje do domu, bo oni żadnych nie mają, ale mama uparła się, że nic nie chce, bo poczeka z tym na Jeremiego. Muszę napisać jeszcze do mojej firmy z prośbą o przedłużenie urlopu i dziewczyny zapisać do jakiegoś przedszkola, ponieważ tak dłużej być nie może, a później zobaczymy co nam los przyniesie. Wracam do łóżka, a Was pozdrawiam i uściski przesyłam z daleka – Iwona.

PS. Mamy dwie nowe sąsiadki z burym kotem i jutro jesteśmy zaproszone na pierwszą towarzysko-zapoznawczą herbatkę. Sally chyba będzie musiała zostać w domu. Pa!

Herbatka u pani Thompson...

Drzwi otworzyła nam młoda kobieta o ciemnych, prostych włosach i brzoskwiniowej karnacji. Najprawdopodobniej była w wieku Iwony. Ubrana w kolorowe poncho, sprawiała na pierwszy rzut oka przyjemne wrażenie. Spojrzała z przyjaznym zainteresowaniem na naszą babską grupę i skinęła zapraszająco ręką;

– Hello, please come in. I'm Allisson Madero.

Nastąpiła wymiana powitalnych grzeczności oraz naszych imion. Nazwisk oszczędziłyśmy sobie, a ja nie chciałam ponownie kusić losu nazywając siebie panią Morelly. Nie byłam też pewna jak mogą zareagować na moje kłamstwo dziewczynki i wołałam oszczędzić sobie spojrzenia pełnego politowania, które z pewnością Iwona rzuciłaby w moim kierunku. Z głębi mieszkania dały się słyszeć kroki, a potem pytanie: – czy mamy już gości?

– Yes.

Barwna, wesoła kotara zasłaniająca boczne drzwi poruszyła się i Rachel Thompson zjawiła się w salonie, do którego zaprosiła nas Allisson.

– Jak miło, że dajecie poznać się w pełnym komplecie i okazałości – witała nas serdecznie. Siadajcie, proszę! Za nią zjawił się duży, szaro popielaty, kot. Stał obok starszej pani i patrzył na nas żółtymi, fosforyzującymi oczami. Osobnik niezwykle podobny do tych czczonych przed wiekami przez starożytnych Egipcjan

– To jest Felix – przedstawiła kota Allisson, inteligentny indywidualista – dodała z uśmiechem. Felix podszedł do Mariki i otarł się niespodziewanie o jej nogi, a gdy ona pisnęła, stracił zainteresowanie gośćmi.

Usiadł na małym, wyściełanym foteliku stojącym przy kominku i nie odezwał się do końca wieczoru. Dzisiaj nie było nam dane poznać stopnia jego kociego IQ. Marysia podała pani Thompson paczuszkę z kruchymi ciasteczkami, które kupiła razem z matką podczas przedpołudniowych zakupów. Starsza pani wpadła w zachwyt:

– Ach, Allisson, rozpakuj, zaraz podamy herbatę. Czy macie jakiś rodzaj, który szczególnie preferujecie?

Wiedziałam, że dziewczynki lubią owocową, Iwona poprosiła Earl Grey, mnie szczerze mówiąc było wszystko jedno, ale przystałam również na Earl Greya. Allisson i Rachel piły jakąś inną, pachnącą goździkami i cynamonem. Zapach rozniósł się wśród nas, był zapowiedzią adwentu i pożałowałam, że jej nie spróbowałam. Może zdarzy nam się następna okazja?

– Jak się paniom tutaj mieszka? – zapytałam aranżując herbaciano-ciasteczkową pogawędkę.

– Ach, całkiem miło, obie próbujemy poznać otoczenie i zaklimatyzować się – odpowiedziała pani Thompson. Ludzie powinni starać się adaptować do zmian, jakie narzuca im życie – westchnęła. W przeciwnym razie zostaje się w tyle, a fakt ten jest jeszcze bardziej bolesny. Zauważyła nasze pytające spojrzenia i kontynuowała: – Polecono nam to miejsce obok was do zamieszkania, jako spokojne i przyjazne. Żyłam piętnaście lat w Nowym Meksyku. Tam też urodziła się Allisson i umarł mój mąż.

Allisson powiedziała do Rachel coś w niezrozumiałym języku, który angielskim z pewnością nie był, a ja przy-pomniałam sobie dzień, gdy starsza pani przysłała z prośbą o możliwość skorzystania z naszego telefonu. Rozmawiała wtedy z córką podobnie dziwnie. Zastanawiałam się czy zapytać o gatunek języka, którym się porozumiewają, ale Rachel wyprzedziła mnie spiesząc z wyjaśnieniem.

– Mój mąż, Elias Madero był pół Indianinem. To znaczy jego matka była Amerykanką, a

ojciec Indianinem. Nazywa się nas Amerindians czyli Amerindianie.

Zauważyłam półotwarte w zdziwieniu buzie moich wnuczek. Już wiedziałam, że za chwilę one wyprzedzą mnie i oby nie lawiną pytań. Konwersacyjnych wyścigów nie było, ale Marysia zwróciła się, jak to ona potrafi gdy zechce, z uprzejmym uśmiechem do pani Thompson:

– Czy pani mąż był wodzem i nosił pióropusz? Należał może do plemienia Apaczów?

No tak, oglądanie z babcią ulubionego westernu o Winnetou nie poszło na marne. Obie panie uśmiechnęły się, Iwona powiedziała:

– Marysiu, nie bądź ciekawska, ale starsza pani zaraz wyjaśniła:

– Czas, gdy biali ludzie walczyli z Indianami dawno minął. Pozostając bolesną historią indiańskich plemion, o których pewnie słyszałaś lub czytałaś, prawda? Na szczęście my tego nie przeżyliśmy, ale dziadek mojego męża, tak! Po II wojnie światowej mój mąż pracował w największej i najstarszej ze współczesnych organizacji indiańskich w USA, która skupiała przedstawicieli z około 255 indiańskich plemion. National Congress of American Indians, angielski skrót to NCAI. Nie zdążyłam nic zapytać, bo inteligencja Marysi znów była szybsza ode mnie:

– Mieszkaliście w rezerwacie? Sorry, że tak pytam, ale o tym też słyszałam.

Allisson uśmiechnęła się do Iwony, mówiąc: – Genialne masz to dziecko, a pani Thompson zakończyła temat: – nie, kochanie, my nie mieszkaliśmy w rezerwacie i ich istnieniu właśnie członkowie kongresu się bardzo przeciwstawiali. To trudny temat moje dzieci, opowiem wam innym razem.

– To dobrze, że pani mąż o to walczył. Szkoda, że umarł – dodała swoje trzy grosze Marika.

– Tak, my też żalujemy.

Allisson wstała i zwróciła się do dziewczynek z propozycją:

– Może włączę wam film na video? Biały delfin Um?

– Taaak! Ojej, w całości czy odcinkach? – aplauz był głośny i pełen zachwytu.

– W całości, prawie sto dwadzieścia minut.

– Może podzielimy, bo dwie godziny, to sporo czasu dla nich. W tym wieku nie uda się dzieciom skupić tak długo uwagi. Iwona podeszła do Allisson, która trzymała w ręce DVD. – W jakiej wersji? Angielskiej czy francuskiej? – zapytała.

Córki zgodnie wybrały francuską, a Iwona roześmiała się:

– Gdyby to słyszał Jeremi czułby się z pewnością usatysfakcjonowany. Też lubię wybrany przez ciebie film – zwróciła się do Allisson – przygody delfina w odcinkach były kiedyś dobranocką w polskiej TV. Nie mieliśmy wtedy jeszcze dzieci, ale przecież to nie przeszkoda, aby lubić takie filmy, prawda? Allisson przytaknęła z uśmiechem wracając z nią do herbacianego stolika.

– Oczywiście, miłe wspomnienia należy troskliwie pielęgnować. Jeszcze herbatki? Ach, zapomniałam! Allisson! Przynieś naszą nalewkę z płatków róży. Musicie koniecznie jej skosztować, chociaż po naparsteczku.

Córka Rachel udała się do kuchni, a ja z uśmiechem skierowanym do starszej pani pomyślałam, że obie tworzą bardzo sympatyczny duet. Ciepłe w obejściu z nami sąsiadkami, których przecież wcale dotąd nie znały i że teraz, przy kolejnej cup of tea, bez towarzystwa wnuczek mogę nareszcie zapytać o coś co mnie nurtowało, ale nie miało nic z Indianami wspólnego.

– Pani Thompson...

– Proszę mi mówić Rejczel – powiedziała starsza pani biorąc ciasteczko.

Tak, chciałam o coś zapytać, ale zaraz, zaraz, cóż to było? W tym momencie uszło

całkowicie mojej uwadze, bo zauważyłam coś smutnego, co dotychczas udało się pani Thompson skrętnie ukryć. Jej zniekształcone dłonie. Musiały kiedyś być piękne, bo świadczyły o tym podługne, migdałowego kształtu paznokcie, mimo kalectwa pomalowane starannie lakierem o ciepłym, koralowym kolorze. Jak mogłam wcześniej nie zauważyć, że Rachel trzyma obiema dłońmi filiżankę, podnosząc ją do ust, a herbatę serwuje nam jej córka?

Rachel zauważając moją konsternację, zareagowała wyrozumiałym uśmiechem.

– Zmartwiłaś się? Niepotrzebnie. Jest bardzo miło z wami, a ze mną nie tak bardzo źle, jak na to wygląda. Chroniczne zapalenie stawów od przeszło trzydziestu lat – wyjaśniła. Zaatakowało mnie krótko po urodzeniu Allisson. Tak, miała wtedy trzy latka. W stanie, w którym wtedy mieszkaliśmy przed wojną, lekarze byli dość bezradni, a lekarstwa mało skuteczne. Poza tym musiałam przecież pracować, a choróbko dalej poczynało sobie ze mną, co chciało.

– Czym się zajmowałaś?

Wolałam zmienić temat, który prawie mnie zszokował.

– Prowadziłam szkółkę dla dzieci w małej miejscowości. Dużo czytałam. Mąż przywoził mi książki. Lubiłam Anne Rivers Siddons i jej amerykańskie historie. A znasz Trzynastą opowieść Diane Setterfield?

Pokręciłam przecząco głową.

– Jeśli chcesz, pożyczę ci. Bardzo zajmująca, nie mogłam się od niej oderwać. Tak się zaczytałam, że nawet mleko mi wykopiało – roześmiała się. – Coś ci pokażę. Pani Thompson wstała z nieznanym trudem. Z szuflady rzeźbionej komody stojącej w jadalnej części pokoju wyjęła notes mający safianową oprawę z różanymi motywami. – Czytając, lubię notować aforyzmy, zdania, które przykuwają moją uwagę, prawie fascynują. W każdej książce powinny się takie znaleźć. Tak mówił mój ojciec, który w przedwojennej szkółce był nauczycielem. Chyba odziedzyczyłam tę skłonność po nim, bo zapisywał je, nazywając sentencjami. A ja z Trzynastej opowieści wynotowałam...

Otworzyła notes na stronie zaznaczonej bordową wstążeczką: – Człowiek tak się przyzwyczaja do własnych okropności, że zapomina jakie wrażenie muszą robić na innych[21] – przeczytała. To słowa głównej bohaterki, panny Winter... I jeszcze jedno zdanie: Opowiadanie historii to tylko sposób wypełniania czasu odkąd wszystko się skończyło.

Iwona, która ukradkiem wytarła łzy napływające jej do oczu zauważyła stojącą bez ruchu w drzwiach Allison. Taca z dzbankiem świeżo zaparzonej herbaty, małe kieliszki i podobnie kryształowa karafka z różaną nalewką drżały w rękach młodej kobiety.

– Pozwól, pomogę. Rozstawiły razem poczęstunek, pani Thompson włożyła notes do szuflady i usiadła ponownie przy stole.

– Za miłą znajomość, spróbujcie.

Rozsmakowały się w różanym eliksirze.

– Doskonale. Nie tylko smakuje, ale i pachnie krzakami dzikiej róży – powiedziałam myśląc, że już o nic dzisiaj nie zapytam, bo zbyt wiele niepokojących myśli nie pozwala mi się dłużej skupić i jednocześnie tak bardzo brakuje mi Jeremiego. ale Rachel Thompson uparcie wróciła do historii panny Winter, dodając:

– Wtedy też zaczęłam pisać, bo to naprawdę jest dobre wyjście, gdy się jest samotnym. Opowiadanie historii prawdziwych bądź to wymyślonych jest dobrym sposobem na wypełnienie swojego czasu, odkąd wszystko się kończy – zacytowała ponownie. Musiała zauważyć zdziwienie w na-szych oczach, bo uśmiechnęła się i poprawiła: – No, może prawie wszystko. Gdy żył Elias często i chętnie podró-zowaliśmy. Znać historię z Guadalupy?

– Mamo, może już wystarczy na dziś, dobrze? Allisson przerwała jej troskliwie, a ja pospieszyłam z pomocą.

– To było wspaniałe popołudnie, droga Rachelo. Wierzę, że następnym razem spotkamy się u nas i dokończymy opowieści. A do tego czasu przeczytam polecaną przez panią książkę. Mogę prosić o pożyczenie?

Moment zakończenia wizyty był jak najbardziej właściwy, bo Marika podeszła do Iwony i przeciągając się jak kotek, szepnęła: – Już dosyć, tak długo. Zaczęłyśmy się więc powoli żegnać, dziękując jeszcze raz za zaproszenie i z książką Diany Setterfield pod pachą oraz delfinem na płytce do dalszego obejrzenia wróciłyśmy do domu, gdzie czekała niespokojna Sally. Czas przedwieczornego spaceru z nią już dawno minął.

– Pójdę z psem – powiedziałam do Iwony, która zamyślona skinęła głową.

Wieczorem ulica była już prawie pusta, a chłodne podmuchy wiatru od zatoki i wirujące w jego porywach liście zapowiadały zmianę pogody. Zdarzało się to bardzo często przed pełnią księżyca, który częściowo schowany za chmurami ukazywał swoją ostatnią kwadrę. Jaka pogoda przy pełni, taka przez następne dwa tygodnie – mawiała moja babcia. Może niedługo spadnie też i śnieg? Z pubu, który mijaliśmy dobiegały dźwięki afroamerykańskiej muzyki. Już ją kiedyś słyszałam, chyba na farmie u Agaty. To był Youssou Ndour i jego płyta Dakar Kingston. Dziwne, nie wiadomo czemu pomyślałam teraz o Wiktorze, jego synku i ciemnoskórej kobiecie, z którą mnie zdradził. A gdybym wtedy z nimi została, jak potoczyłoby się dalej nasze życie? Byłabym babysiter dla Toma, a Wiktor spałby raz ze mną raz z Gladys? Skończyłoby się to nożem w czyichś plecach z namiętności i zazdrości? Ha, może by sztukę w hamletowskim stylu o tym napisać? Tragikomiczne myśli chodziły mi po głowie. Chcąc zebrać wyczerpujący materiał do pisania, musiałabym do niego zadzwonić... Dawniej potrafił mnie zainspirować i to absolutnie.

Dziwne... Dla Jeremiego i o nas nie napisałam dotąd nic, żadnego wiersza. Jeremi łagodność, zachwyty i wyciszenie, jak w miłosnym akcie... Przyływy i odpływy, poczucie bez-pieczństwa.

I nagle wszystkiego, czym żyłam w ciągu ostatnich kilku miesięcy – zabrakło.

Skręciłyśmy w stronę nadbrzeża. Właściwie to Sally ciągnęła mnie w kierunku przystani, gdzie stacjonował Seawolf Jeremiego i jego armée, jak lubił mawiać. Czyżby Sally też tęskniła za Morelowym? Statek stał samotny, posmutniały i robił trochę przygnębiające wrażenie. Podeszłyśmy bliżej i zauważyłam w jednej z kabin światło. A więc Seawolf nie był całkiem osamotniony?

Jak w odpowiedzi na moje myśli Sally szepnęła z cicha, a zza jednego z masztów wyjrzała do nas sylwetka Johna, przyjaciela i życiowego partnera Melissy. Oboje mieszkali z Agatą i jej mężem na farmie.

– Hello – ucieszyłam się. – What you doing here?[22]

Podszedł bliżej i zauważyłam na jego twarzy również radość, jakby spotkał kogoś z rodziny.

– Mam parę spraw do przygotowania. Wypływamy jutro na trzy dni.

– Bez Jeremiego?

– Takie dostaliśmy polecenie. Przedłużył sobie jeszcze o kilka dni urlop. Wczoraj dzwonił do Agaty.

Kiwnęłam głową ze zrozumieniem, jakby to dla mnie żadną nowiną nie było, powiedziałam z uśmiechem, że muszę wracać, bo już późno i życzę powodzenia. Pociągnęłam Sally, która węszyła w nadbrzeżnej trawie i udałyśmy się w powrotną drogę. Na niebie ukazało się już kilka gwiazd i spoglądając na nie wzięłam głęboki oddech. W gardle czułam kluchę. A więc Jeremi dzwonił z Prowansji do Agaty i wydał polecenie odbycia kilku dni praktyki bez niego. Przedłużył swój urlop... Matko Boska, a czemu nie zadzwonił do mnie, dlaczego ja nic o

tym nie wiem? Do dziś myślałam, ba, nawet byłam pewna, że nie zadziwimy się nawzajem już niczym przykrym, bo kto kocha, przecież nie zabija, a on, może nieświadomie właśnie rozpoczął proces niszczenia. Robał zazdrości i nieufności drążył już w moim sercu bolesne dziury. Moje rozczarowanie popłynęło słonymi smugami po twarzy. Zaczęłam biec, jeszcze tylko uliczka w lewo i rzucę się mojej córce na szyję. Zamienimy się rolami, mam nadzieję, że jej nie odrzuci i razem zastanowimy się, jak to mogło się stać.

W domu panowała cisza i tylko mała, paląca się w kuchni lampa w stylu Tiffaniego rzucała rozproszone, kolorowe refleksy. Na stole leżała Trzynasta opowieść i wiadomość zostawiona dla mnie przez Iwonę;

Mamo, idziemy spać, dobranoc, a Ty zagłdnij proszę do Diany Setterfield.

Wcale nie miałam teraz ochoty na czytanie, ale otworzyłam książkę na pierwszej stronie i zmartwiałam. Była wydana w języku polskim.

[20] To jest bardzo trudne (franc.)

[21] Diane Setterfield Trzynasta opowieść, wyd. Amber Warszawa 2006

[22] Co ty robisz tutaj (ang.)

Witamina B i czekolada...

A jednak czytałam tę dziwną książkę do trzeciej w nocy. Czytałam historię panny Winter poleconą mi przez panią Thompson, a gdy moje oczy zaczęły łzawić, odłożyłam ją i gasząc światło postanowiłam zaraz jutro, delikatnie, aczkolwiek stanowczo porozmawiać z Rachel Thompson. Najlepiej bez świadków.

Zanim to jednak nastąpiło, Marysia z Marią obudziły mnie gwałtownie, informując, że jest już po dziesiątej i dawno powinnam wstać, bo obie z mamą są po śniadaniu, i właśnie przyszła Allisson. Najprawdopodobniej za chwilę wyjdą wszystkie razem do miasta. Dostałam jeszcze po buziaku i już ich nie było. Wszystko wskazywało na to, że Iwona zdecydowała zostawić mnie samą z naszą tajemniczą sąsiadką. Poczekalam aż na dole zapanuje cisza i zesłam na dół. Przez kuchenne okno widziałam odjeżdżające auto Jeremiego, którego używała teraz Iwona. Zrobiłam sobie kawę i rozplakałam się. Nieprzespana noc i następujące od wczoraj wydarzenia wydawały się być ponad moje siły. Pomyślałam o Jane, z którą kontakt zaniedbałam w ostatnich dniach. Jane, ratującą mnie z psychicznego dołka po Wiktorze i towa-rzyszącą mi w drodze na lotnisko z Jeremim, przed jego odlotem do Prowansji.

– Jesteś? – zapytałam głupio, gdy odebrała mój telefon.

– A ty katar masz? – zrewanżowała się.

Pociągnęłam jeszcze raz nosem i posłałam jej uśmiech na odległość. Starając się mówić krótko i węzłowato streściłam wydarzenia oraz związane z nimi emocje ostatnich dni.

– Skąd w tobie tyle niepewności i brak wiary? – zapytała. Tak mało go znasz? Widocznie on ma powody, by nie serwować ci przez telefon z drugiej strony świata płaskich formułek i konwencjonalnych tłumaczeń. Czekaj cierpliwie, wszystko się wyjaśni, jeszcze kilka dni – powiedziała jasnowidząco. – Nie mogę teraz do ciebie przyjechać, bo Frank złapał anginę i to gorsze niż katar u dziecka. Daj mi znać, gdy będziesz miała wiadomość z Nicei, a z tą Rachelową sobie spokojnie pogadaj. Masz witaminę B w domu? No to bierz podwójną dawkę przez kilka dni, uspokaja nerwy.

Cmoknęła jeszcze dwa razy do słuchawki i wyłączyła się. Znalazłam kilka tabletek vit.B, połknęłam razem z paroma łykami cytrynowej herbaty i położyłam się pod kocem na kanapie w salonie, w oczekiwaniu na ich zbawienne działanie. Sally wskoczyła do mnie, podotykała zimnym nosem moją rękę, liznęła parę razy i z wszystko rozumiejącym westchnieniem, niczym kiedyś Jessie, zwinęła się w kłębek.

Mętlik, który miałam w głowie powoli ustępował zmęczeniu i dopiero popołudniowy dźwięk telefonu przywołał mnie do świadomości. W dalszym ciągu byłam w domu sama, a w komórce śpiewał Frank Sinatra Strangers in the night, bo jego piosenka była moim sygnałem wywoławczym. Jeremi lubił go bardziej od Nat King Coola i Unforgettable, przy której się poznawaliśmy. Jeszcze kilka taktów i odebrałam telefon. Słyszając głos pani Thompson nawet się nie zdziwiłam. Wiedziałam, że powinniśmy się spotkać, a ona ubiegła mnie zapraszając na filiżankę gorącej czekolady lub kakao.

Wszystko szło jak z płatka. Jego matka tak mówiła, gdy był jeszcze chłopcem. Znaczyło to łatwo, pomyślnie, według planu, bez zakłóceń z lądowaniem w Nicei. To dobrze, że wybrał nocny lot bez przesiadek. Co prawda nie był całkowicie wypoczęty, chociaż od wczoraj zmuszał się do niemyślenia i do nierozważania dni, które nieuchronnie nadejdą. Odebrał swój neseser z kręcącej się jak na każdym lotnisku karuzeli i zobaczył Marie-Claire. Stała w holu przylotów, więc już nie musiał dzwonić do niej, czekać i tracić czas.

Marie-Claire, przyjaciółka Jacqueline i jego sympatia sprzed lat...

Podeszła i objęli się gestem powitania.

– Jacques sprawdził czas przylotu twojego samolotu i zadzwonił, wyciągając mnie prawie z łóżka – uśmiechnęła się nieznacznie. – Kawa, może chcesz coś zjeść?

– Później. Gdzie ona jest?

– U św. Rocha.

To był szpital, w którym przed kilku laty odeszła matka Jeremiego.

Pielęgniarka wprowadziła mnie do separatki i zostawiła samego. Jacqueline leżała wyprostowana z zamkniętymi oczami. Przypominała mumię z głową opatuloną bandażem, efektem operacyjnego działania... Staralem się jak najciszej usiąść na krześle przy jej szpitalnym łóżku i nie wiem dlaczego przypomniał mi się nasz poślubny tydzień spędzony w Turcji. W obawie przed słońcem od którego czerń jej włosów mogła spłowieć, wiązała chusteczkę na głowie, biały turban w drobne, niebieskie wzory - oczy proroka, który przed złem ustrzec miał i zesłać złote szczęścia smugi... Tak wtedy mówiła, śmiejąc się.

Biel kości słoniowej opleciona sznurami... to jeszcze przewody prowadzące do respiratorów. Żona, której wkrótce przestanę być mężem...

– Jackie – pochyliłem się mówiąc szeptem, bo bałem się ją przestraszyć. Powieki Jacqueline zatrzepotały, ręka wysunęła się powoli spod pledu powleczonego jasnoniebiesko. Ująłem jej dłoń i poczułem palce lekko zaciskające się na mojej dłoni.

– C'est toi?[23] – spytała ledwie słyszalnie, a ja nagle w obawie, że może przecież nie poznać mojego głosu i pomyśleć, że to Oliver siedzi przy niej, szybko dodałem moje imię.

– Remi, c'est bien[24] – i tylko tyle. Jej oczy pozostały zamknięte. Jacques miał więcej szczęścia, ja przyjechałem za późno. Skinąłem na pielęgniarkę, która zagładnęła do pokoju.

– Czy ona jest przytomna? – Momentami, ale przeważnie śpi – odpowiedziała. W drzwiach stanęła Marie-Claire. Pielęgniarka sprawdzała czynność aparatury. Trzymałem dalej ciepłą dłoń Jackie, która nie wysyłała mi już żadnego sygnału.

– Śpi? – Kiwnąłem głową i poprosiłem, żeby pobyła trochę ze mną.

– Odplynęła – szepnęła Marie-Claire, przystawiając sobie krzesło z drugiej strony łóżka.

– Szkoda, że nie możemy wiedzieć czy ona nas słyszy. Czy jej się coś śni? A może w takim stanie błądzi się we wspomnieniach, wraca do dzieciństwa? Albo przypomina najmiłsze momenty swojego życia...

– Byle nie te najgorsze – powiedziałem. One powinny już być zapomniane. Odpuszczenie nastąpi później... Rozmawiała przedtem z Jacquesem?

– Niewiele, ale patrzyła i próbowała się uśmiechnąć. Czulem ucisk w gardle i bałem się rozplakać.

– Chcesz jeszcze z nią posiedzieć?

Zaprzeciłem kiwnięciem głowy. Pochyliłem się nad Jacqueline i pocałowałem ją delikatnie w policzek. Nie reagowała. Gdyby wyjąć jej te rurki z nosa, może połaskotana otworzyłaby oczy? Dwoma palcami pogładziłem jej policzek, czekaliśmy chwilę, ale Jackie była nieobecna. Przykryłem jej dłoń narożnikiem niebieskiego prześcieradła, ściskanie w moim gardle nie ustępowało... Wyszliśmy na korytarz, a miejsce przy Jacqueline zajęła dyżurująca pielęgniarka. Na nocną zmianę przychodziła siostra zakonna.

– Jutro przyleci Jacques – powiedziała Marie-Claire. Co chciałbyś teraz robić? Wytarłem nos, ale niespodziewane łzy płynęły dalej. Miałem ochotę głośno płakać, jak wtedy, gdy byłem jeszcze chłopcem i usunięto mi pierwszy ząb, który był powodem całonocnej bezsenności, a matka, już po zabiegu trzymała ręką mój obolały policzek. Skąd wzięło mi się teraz podobne porównanie, naprawdę nie wiedziałem. Staliśmy na korytarzu oparci o framugę szpitalnego okna. Marie-Claire objęła mnie i przytuliła, ale nie było w tym nic, a nic erotycznego. Próba pocieszenia, jak siostrzany gest dawnej przyjaciółki. Tego właśnie potrzebowałem. Nic więcej.

– Chciałbym pojechać do Antibes – odpowiedziałem na jej pytanie, a ona przytaknęła mi ze zrozumieniem.

[23] To ty? (franc.)

[24] To dobrze (franc.)

Tajemnice i zagadki...

Z książką pod pachą zapukałam do sąsiedzkich, wejściowych drzwi. Nie byłam zdenerwowana, wypełniało mnie zaciekawienie, któremu przypisywałam pocziwe działanie witaminy B.

Pani Thompson stanęła w drzwiach w towarzystwie Felixa, który obrzucił mnie badawczym spojrzeniem i obróciwszy się na pięcie, wycofał w głąb mieszkania. Rachel zrobiła zapraszający gest ręką. Dzisiejszy dzień był wyjątkowo chłodny i starsza pani miała ramiona okryte wełnianym, kolorowym poncho, niezaprzeczalnie świadczącym o jej meksykańskiej przynależności.

– Kakao czy czekolada? – zaproponowała z uśmiechem. – Nasze dziewczęta jeszcze nie wróciły?

Powiedziała to tak, jakbyśmy znały się od dawna i poszła do kuchni zrobić kakao, o które poprosiłam. Usiadłam przy stole, na tym samym miejscu z naszego pierwszego wieczoru i zastanawiałam się jak rozpocząć z nią rozmowę o tym, co mnie od początku intrygowało, ale z dziewczęcą nieomal przebiegłością była szybsza. Postawiła na stole dwa duże kubki gorącego kakao i tackę z kokosowymi rurkami, o których zaraz pomyślałam, że taki zestaw może mnie zemdląć i powiedziała po angielsku:

– Kupiłam ją – tu wskazała na Trzynastą opowieść, w polskiej księgarni w Green Point. Znasz tę dzielnicę?

O nieba, miałabym nie znać! Przecież tam leżą, wystawione na sprzedaż moje książki. A może już ich nie ma i mam trochę kasy do odebrania? Nie zdradzając jednak mojej znajomości z polską dzielnicą, kiwnęłam tylko potakująco głową, a Rachel ciągnęła dalej: – Znam trochę twój ojczysty język i nie chciałabym go zapomnieć. Wiesz, jak to przysłowie mówi; język nieużywany jest językiem martwym. Pij proszę, bo wystygnie. Kakao, czekolada zawierają sporo magnezu, a dzięki niemu nasze organizmy mogą lepiej funkcjonować. Szczególnie, gdy się trochę pisze.

Ile ona wie o mnie, o nas... a może ma tylko siebie na myśli? Na tym etapie rozmowy postanowiłam trzymać na wodzy ciekawość, która zaczęła mnie rozpierać i zapytałam:

– Mówiła pani, że...

– Rejczel – poprosiła z uśmiechem – mówmy sobie po imieniu i gestem wznoszącym toast podniosła kubek w górę.

– OK. Kto polecił wam domek obok nas do zamieszkania? Na tyle zainteresowania mogłam sobie przecież pozwolić.

– Ach, szukałyśmy przyjemnego lokum do wynajęcia i trafiłyśmy na pośrednictwo mieszczące się przy East Broadway. Pracująca tam pani poleciła Allisson i mnie ten adres.

– Bardzo sympatyczny zbieg okoliczności.

– Też tak uważam. Później, gdy poznałyśmy was, pomyślałam, że agentka jest trochę podobna do twojej córki? Ten sam typ urody.

Stwierdziłam głośno, że sobowtóry chodzą po świecie, ale ziarenko podejrzania zaczęło już kiełkować w mojej głowie. Czyżbym miała rację? Niech no ja dorwę znów Steffi w moje ręce... Rozmowę przerwał nam odgłos kroków za oknem, a za chwilę „nasze dziewczęta” weszły do pokoju.

– Hej, hej – witały nas radośnie.

– Nareszcie! Gdzie się tak długo podziewałyście? – zapytałyśmy z Rachel prawie równocześnie.

I zanim otrzymałyśmy wyjaśniającą odpowiedź, pani Thompson ruszyła do kuchni po

następne, zgodnie z życzeniem kubki kakao, a za nią Allisson. Marysia z Mariką już zadomowione, udały się do drugiego pokoju na poszukiwanie kota, a Iwona usiadła obok mnie.

– Allisson namówiła mnie, by poszukać tu przedszkola i zorientować się jaka byłaby możliwość zapisania do niego Mariki.

– I jest?

– Yes – roześmiała się – nawet niedaleko.

– Opłaty?

– Też są, musimy to przekalkulować.

– A Marysia?

– Odwiedziłyśmy podstawową szkołę muzyczną dla dzieci w jej wieku.

– Muzyczną? Co ona na to?

– Zastanawia się.

Obejrzałam się na pianino stojące we wnętrzu pokoju Allisson i poczułam niepokój.

Ostatnie wydarzenia nabrały jeszcze większego tempa.

Z kuchni dobiegały przyciszone zdania, jakie wymieniały ze sobą matka i córka, a po chwili obie panie usiadły razem z nami.

– Opowiedziałas mamie o naszej dzisiejszej wycieczce i planach? – Allisson była wyraźnie zadowolona z minionego dnia, spędzonego w towarzystwie mojej córki i wnuczek.

– Nie o wszystkim. Musimy to spokojnie przemyśleć.

Rachel robiła wrażenie doskonale zorientowanej o przebiegu ich dnia i uśmiechała się.

– Oczywiście, decyzja należy do was, ja mogę tylko pomysłowi naszej sąsiadki przyklasnąć.

Marysia z Mariką zniechęcone zachowaniem kota, który wabiony wszystkimi znanymi im zakłęciami nie chciał za nic wyjść spod kanapy, wypily swoje kubeczki kakao i chciały pójść do domu. Nic dziwnego, małe serduszka znów były mnóstwem wrażeń. I jak poprzednio zaczęłyśmy życzyć sobie przyjemnego wieczoru, a ścienny zegar wybił akurat dzwięć godzinę osiemnastą.

– Ależ piękny – nie omieszkała pochwalić go Marysia. Zegar miał cyferblat z rzymskimi cyframi, dekoracyjne wskazówki i jak to w tych rodzajach czasomierzy bywa, dwa miedziane ciężarki na łańcuchach i wahadło niczym połączoną pełnię księżyca w mniejszym formacie.

– Miło mi, że ci się podoba. Kolekcjonuję zegary, bo w każdym pomieszczeniu mogę śledzić upływanie mojego czasu. Inne pokażę wam przy następnym spotkaniu – powiedziała pani Thompson z tajemniczym uśmiechem.

– Ależ jestem zmęczona, wy też? Iwona objęła obie córki za ramiona i przytuliła. – Co myślicie o moim projekcie? – I nie czekając na ich odpowiedź, zwróciła się do mnie: – Nasze odwiedziny u ciebie mamą przeciągnęły się z niespodziewanych powodów, a one nie mogą tak dłużej leniuchować bez zajęć szkolnych i przedszkolnych. Z językiem obcym poradzą sobie, a Allisson zaproponowała Marysi udostępnienie pianina, choć na trochę, do powrotu Jeremiego.

Moje wnuczki milczały, spoglądając na siebie, to znów na nas bez słowa, więc Iwona zdecydowała:

– Maszerujcie lepiej na górę, załóżcie już piżamy, umyćcie ręce i buzie, a gdy będzie kolacja zawołamy was, OK? Resztę mycia dokończymy po jedzeniu, a rozmowę jutro. Z ważnymi pomysłami trzeba się najpierw przespać.

Gdybym poszła z nimi do gościnnego pokoju, przyspieszyłabym rozbieranie dziewczynek, pomogłabym w zakładaniu piżam i rozplataniu włosów... A gdybym tylko z czystej ciekawości stanęła za drzwiami ich pokoju, usłyszałabym cichy dialog:

– Gdzie masz kalendarz z Kubusiem Puchatkiem?

– Tu. Ciocia Patrycja też mnie rozczarowała.

– Tak. Nic nam nie odpisała.

– Daj ten prospekt od Jerrego! Gdzie jest?

– O Kermit! Dziewiąty grudnia, to już jutro!

– Myślisz, że się będzie cieszył?

– Jasne, jeszcze jak! Zobaczysz!

– Schowaj wszystko pod łóżko, idziemy do łazienki.

– Brzuszek mnie trochę boli...

– Nie martw się, to dobry pomysł, jestem z tobą.

Z kuchni usłyszały wołanie Iwony: – Marysia, Marika, chodźcie na kolację!

Antibes...

Miasteczko, w którym się urodził, gdzie upłynęło jego dzieciństwo i pierwsze szkolne lata, wraz z upływającym czasem urosło do miana kurortu – prawie przedmieścia, położonego niedaleko słynnego Cannes.

Zaraz po ich wyjściu ze szpitala, Marie-Claire zarezerwowała telefonicznie pokój w hotelu De La Gare, niedaleko dworca. Jeremi preferował wprawdzie mniejsze pensjonaty, ale chętnie przyjął jej uprzejmość i chęć niesienia mu pomocy. Poszli do niedalekiej Boulangerie-Patisserie[25], w której jak w wielu francuskich piekarniach można wypić kawę i zjeść petit-dejeneur[26].

Czuł się zmęczony, rozstrojony długim lotem i spotkaniem z Jacqueline. Czy spotkaniem można nazwać kilkanaście minut spędzonych w szpitalu przy jej łóżku; jednostronnym widzeniem wypełnionym nieuleczoną przykrością? Teraz pił kawę z Marie-Claire, jadł beznamiętnie ciepłego croissanta z masłem i różaną konfiturą, którą z pewnością zachwyciłaby się Leni...

– Jak długo chcesz zostać?

Wzruszył jedynie ramionami. Wstał i nie pytając przyjaciółki, czy chce soku, kupił dwa pomarańczowe i przyniósł do stolika.

– A czy mogę przewidzieć co mnie tutaj jeszcze czeka?

To nie był odpowiedni czas na rozmowę, zwierzenia... Może by i nawet chciał opowiedzieć jej o Leni, Yvonne, dziewczynkach, ale w zaistniałej sytuacji cokolwiek dotyczyło teraz opowieści o ostatnich, nowojorskich latach byłoby nietaktem. W głębi serca czuł się winny i uczucie to jeszcze bardziej go deprymowało. Dokończył chłodną już kawę.

– Merci beaucoup, Marie... pójde już.

– Twój neseser w moim samochodzie.

Tak... Mój neseser w twoim samochodzie... i nic więcej. Ciekawe, czy ona myślała o mnie później jak o mężczyźnie, z którym mogłaby być, gdyby on nie wybrał tej drugiej? Nie dała znaku, nie próbowała walczyć... Czy moje życie z Marie-Clarie ułożyłoby się pomyślniej? A może mielibyśmy więcej dzieci, radosnych dziewczynek, takich jak Marysia lub Marika, a wierność byłaby priorytetem w naszym związku? Nigdy się tego nie dowiem.

Poczułem, że tęsknię za czymś, co pozostawiłem daleko. MTW – miłość, tolerancja, wierność. Nawet uśmiechnąłem się do niej, wstając:

– Daj mi proszę znać, gdy przyleci Jacques i uściskałem ją z życzeniem pomyślnego dnia.

Małe hotele i knajpki są jak francuskie piosenki. Mają własny nastrój, zapach, atmosferę, której nie da się w Port Jefferson powtórzyć... myślał wysiadając z pociągu w Juan-les-Pins, miasteczku należącym do gminy Antibes. Nazwa De La Gare wskazywała, że hotel powinien mieścić się niedaleko dworca. Marie-Claire mówiła, że właściciel oferuje niedrogie zakwaterowanie, niedaleko plaży. O tej porze roku, na początku grudnia Jeremi nie uważał tego za żaden plus. No, chyba, że niespodziewanie miałby ochotę pobiegać. Znalazł go bez trudu, zameldował się, a w barze kupił paczkę niebieskich Gauloises i poszedł do pokoju na piętrze. Hotel liczył tylko jedenaście pokoi i jego był ostatni, na końcu korytarza z widokiem na niedaleką zatokę Lazurowego Wybrzeża. Dlaczego kupił papierosy? Przecież kilka lat temu przestał palić, po dniu w którym odezwały się jego dawne kłopoty z ciśnieniem i ucisk w klatce piersiowej, ale dziś, w samo-tności, która go dziwnie i niespodziewanie dopadła powrócił do

dawnych przyzwyczajęń. Pokój był dwuosobowy, przyjemny. Z małej lodówki, która przysługuje hotelowemu gościowi wybrał niedużą butelkę czerwonego wina, otworzył i spróbował. Nowo otwarte, powinno odetchnąć, jak ja – pomyślał kładąc się na łóżku.

Z zamkniętymi oczami śledził pokaz slajdów, które podsuwała mu pamięć. Przesuwały się obrazy z ostatnich, kilkunastu przeżytych godzin. Pożegnanie na lotnisku... smutna, ale dzielna Leni, Jane – ciepłym uśmiechem i uściskiem dłoni dodająca mu odwagi... mglisty ranek w Nicei i Marie-Clarie. Jako ostatnia – Jacqueline... Podniósł się, nalał sobie wina, zapalił papierosa i zakrztusiwszy się nim, odłożył. To było do przewidzenia – pomyślał. Uchylił okno i położył się ponownie. Jeszcze jeden łyk wina, zaciągnięcie się dymem... Co powiedziałaabyś na to, Leni? Dlaczego nie pomyślałem, aby zabrać cię ze sobą? Czy zgodziłabyś się odbyć ze mną tę smutną podróż? Gdzieś z holu, może z głośnika przy barze, dobiegała muzyka, która po chwili zabrzmiała piosenką...

Podniósł się na łokciu i zgasił resztę papierosa – nagle przestał mu smakować.

Trudno byłoby nie poznać. To śpiewała ulubienica jego matki – Edith Piaf.

Non, rien de rien

Non, je ne regrette rien

Ni le bien qu'on m'a fait

Ni le mal tout ça m'est bien égal

Non, rien de rien

Non, je ne regrette rien

C'est payé, balayé, oublié

Je me fous du passé...

Nie, nic a nic

nie, nie żałuję niczego

ani dobra, które mi uczyniono

ani zła, już jest mi wszystko jedno

nie, nic a nic

nie, nie żałuję niczego

to spłacone, zamiecione, zapomniane

nie obchodzi mnie przeszłość...

Non, rien de rien

Non, je ne regrette rien

Car ma vie, car mes joies

Aujourd'hui, ça commence avec toi!

Nie, nic a nic

nie, nie żałuję niczego

bo moje życie, moje radości

dziś zaczynają się od ciebie.

Słuchał głosu Piaf z typową dla niej chrypką i uśmiechał się. Jego matka miała ładny, czysty głos i znała słowa tej dramatycznej piosenki. Bywało, że przygotowując coś w kuchni nuciła ją, a ojciec pytał czy matka śpiewa dla niego oraz jaką to przeszłość ma na myśli. Jeremi był jeszcze chłopcem, ale pamięta, że Juliette Morelly wtedy zaśmiała się, pocałowała ojca i powiedziała, że ten utwór na szczęście dotyczy życia Edith Piaf, a nie jej. Po śmierci ojca, matka Jeremiego nigdy już piosenek Piaf nie nuciła.

Zdjął pulower, zrzucił na podłogę buty, jeansy i jak kiedyś, gdy był jeszcze nastolatkiem

przykrył się całym kocem na głowę. Żeby nikt nie widział, że płacze.

Obudził go odgłos gwałtownego uruchamiania motocykla przed hotelem. Wstał i wyrztał przez okno. Dobrze, że narobiło się przez to trochę hałasu, bo podczas jego snu nadeszło południe i przypomniał sobie o jeszcze jednej ważnej przecież wizycie, którą miał zaplanowaną, a którą powinien dzisiaj odbyć. Spotkać się z Véronique. Córka przyjaciółki jego matki, której po śmierci Josefine Leraïne powierzyli opiekę nad jego rodzinnym domem. Nie chciał go sprzedawać, Jacques także nie protestował. Obaj chcieli zachować ich dom pełen wspomnień, chociaż pieniężny zastrzyk byłby przez syna chętnie widziany. Rozpoczął studia i każdy frank wtedy się dla nich liczył. Jacqueline nie wypowiadała się, jej było wszystko jedno. Jeszcze z Long Island zadzwonił do Véronique, anonsując swoje odwiedziny i powód przylotu do Prowansji. Współczuła mu, ale na ile była zorientowana w zaistniałej sytuacji? Nie miał także pojęcia czy była z kimś, czy też mieszkała w ich domu sama? Zanim Jacqueline ostatecznie od niego odeszła, opowiadała o filmowych zainteresowaniach Véronique, udanych krótkometrażówkach, kręconych w Antibes i okolicy z niejakim Simonem – reklamówkach dla pewnego biura podróży. Jakiego, Jacqueline nie wiedziała, ale minionego lata otrzymała od Simona propozycję podjęcia współpracy z nimi. Choroba pokrzy-żowała wszystkie plany...

Tak rozmyślając, brał prysznic, suszył włosy i zbierał siły – odświeżając się po pierwszym, trudnym dniu, a wszystko co miało jeszcze nastąpić było wielką niewiadomą.

W sklepie z sovenirami, znajdującym się obok hotelu kupił butelkę bordeaux i pojechał autobusem w kierunku starej, peryferyjnej ulicy, którą znał nieomal od sześćdziesięciu lat.

[25] Piekarnia z ciastkarnią (franc.)

[26] Pierwsze śniadanie (franc.)

Najważniejsze jest, by gdzieś istniało to,
czym się żyło: i zwyczaje, i święta.

I dom pełen wspomnień.

Najważniejsze jest, by żyć dla powrotu.

Antoine de Saint-Exupéry

Są ludzie, obiekty, przedmioty, o których myśli się, że czas jest dla nich wyjątkowo łaskawy. Dotyka niezauważalnie, nie pozostawiając po sobie śladu zniszczenia. A jeśli już, to bardzo nieznacznie. Z takim to uczuciem Jeremi stanął przed swoim rodzinnym domem w Antibes... tym, jaki pozostał mu w pamięci. Wiejski, taki prowansalski z poddaszem i trochę przyniszczoną farbą fasady w kolorze ochry. Łaciate ślady pomarańczowego koloru nad oknami wskazywały na niedawne, może w porze lata, odnawianie. Drewniane okiennice trzymały się dzielnie. Brakowało jednego cyprysu, który rósł po lewej stronie, zaraz za wejściową furtką do ogrodu i jeśli dobrze pamiętał, po prawej stronie w głębi było też kiedyś drzewo platanu. A zresztą nawet jeśli rosło, to miało już prawo ze starości zakończyć swój żywot. Jak wygląda ogród, zobaczę później – postanowił i zadzwonił do wejściowych drzwi.

– Salut, bonjour Remi!

Véronique Leraïne powitała go z radością i zaprosiła do wnętrza, które też było mile znajome. Jakie to dziwne. Zupełnie nie pamiętał, kiedy gościł tutaj ostatni raz, nie potrafił określić dnia ani okazji, ale wszedł z wrażeniem, że w tym momencie dla niego czas się zatrzymał. Może stanął w miejscu tylko na kilka chwil, bo przecież daleki lot, jaki Jeremi odbył związany był z innym wydarzeniem. Czy powinien teraz rozmawiać z Véronique o Jacqueline? Wszystko w odpo-wiednim czasie – pomyślał, wręczając przyniesione wino córce przyjaciółki jego matki. Po chwili siedząc w dawnym, zwanym przez ojca żartobliwie la grande chambre[27], poddał się całkowicie nastrojowi słuchając nowin z rodzinnego miasteczka.

Véronique Leraïne dzieliła się nimi z entuzjazmem:

– A wiesz, że na ulicę Grimaldiego przyprowadził się nowy mieszkaniec Antibes.

Podobno jest malarzem i pochodzi z Polski. Spotkaliśmy się dwa razy w piekarni. Cóż za cudak!

– Zaprzyjaźniliście się? – Jeremi odpowiedział uśmiechem.

– Może nie aż tak, ale jak na obcego jest bardzo komunikatywny. Przywiózł żubrówkę, trochę spróbowaliśmy tego polskiego trunku u niego. Wynajmuje pokój u doktora Santany i chciałby to pomieszczenie przeznaczyć na swoją pracownię. Doktor już się obawia. Wiadomo, starsi ludzie nie lubią zmian. A ja lubię – miał ochotę powiedzieć, ale nie przerywał jej opowiadania.

– Zaprosiłam go do siebie kiedyś w sobotę.

– Przyjaźnisz się dalej z Simonem?

– Tak, on też przyszedł i spędziliśmy w czwórkę bajeczny wieczór. A w następną sobotę gotowaliśmy razem i upiekliśmy mięso według przepisu Michaela.

– Ma na imię Michał?

– Tak, podobno pochodzi z okolic Krakowa.

Nie wiadomo dlaczego w okolicy serca igła zazdrości dała mu znać o sobie. Zapragnął być znów radosny i mieć bajeczne wieczory, jak oni tutaj. Gotować wspólnie nieznane potrawy, które okazałyby się rewelacyjnymi pysznościami, popijać wino, śmiać się i opowiadać, nawet bzdurzyć i plotkować, kochać się... byle znów zaistniało jego MTW...

Smakowało mu wytrawne porto, którym Véronique ponownie napełniła jego szklaneczkę. Rozparł się w skórzanym fotelu przykrytym owczą skórą i obserwował ją, słuchając. Mogła podobać się mężczyznom; pełna temperamentu kobieta, kilka lat młodsza od niego z resztkami złotawej opalenizny minionego lata na twarzy i głębokim dekolcie czarnej, trykotowej bluzki. Umiejąca opowiadać i śmiać się tak serdecznie. Niezależna, bez pragnień założenia rodziny i związania się z kimkolwiek. Wolna jak ptak. Poczul się tym odkryciem dziwnie podniecony, a Véronique opowiadała dalej:

- Ależ on umie dobrze gotować!
- Który z nich? – zaśmiał się. – Michael czy Simon?
- Misza, oczywiście. Wiesz co robiliśmy? – prawie wykrzyknęła. Roladę z piersi kurczaka moczoną w żubrówce! Nadziewaną śliwkami kalifornijskimi i owocami żurawiny.
- O! Zaraz będę głodny!
- Zrobię kanapki, tylko ci zdradzę ten bajeczny przepis.

Pierś kurza musi być oczywiście duża i rozcięta tak, by można było z niej zwinąć roladę. Mięso moczone w wodce – najlepiej w żubrówce; suszone śliwki kalifornijskie i żurawiny w niej również zamarynować. Owoce i kilka kawałeczków masła położyć na mięsie, jeszcze posmarować trochę sosem imbirowym Tao-Tao. Zawinąć wszystko nitką w roladę i piec w piekarniku pod przykryciem w 180 do 200 st. C, chyba około półtorej godziny. Ach, zapomniałam dodać, że mięso trzeba oczywiście trochę posolić. Po ostygnięciu odwinąć nitkę i roladę pokroić. Można też zamrozić w folii aluminiowej i odgrzewać z sosem od pieczenia i masłem.

Véronique skończyła opowiadać i wstała.

- Zmieniłam decyzję, zrobię ci coś pysznego, wypada mi przecież zaprosić cię na kolację
- powiedziała z kokieteryjnym uśmiechem udając się do kuchni.

Pomyślał, że koniecznie musi spróbować tak przyrządzonego mięsa, o którym ona niesamowicie sugestywnie opowiadała. Ale skąd wziąć jakąś tam żubrówkę?

Kuchnia wyglądała niemal dokładnie jak za dawnych lat, gdy królowała w niej jego matka. Stół, komody z drewna, które zachowały swój dobry stan, bez śladów przemijania... W oknie białe firanki z haftem, które są z pewnością nowe – pomyślał. Pod drewnianym pułapem wisiały wiązki majeranku, rozmarynu i mięty, oczywiście z tegorocznego zbioru. Zielona bazylija, a w glinianym wazonie na komodzie pachniał bukiet lawendy. Véronique podtrzymywała tradycję domu, który nieformalnie odziedziczyła i ogarnęło go uczucie wdzięczności. Stanął za nią, mieszając coś na patelni.

- Co przygotowujesz ?
 - Robię dla ciebie smażone ziemniaki z ziołami i kawałki łososia sauté. Może być?
- I odwróciła się do niego, stojąc tak blisko, że poczuł zapach jej ciała, przytłumiony perfumami, których nie znał i potrawą, którą dla nich robiła; zestaw zaskakująco śmieszny, aczkolwiek pociągający. Ona odłożyła drewnianą łyżkę do przewracania ziemniaków i objęła ramionami jego szyję:

- Zostaniesz do jutra?

To też było do przewidzenia - pomyślał. Pocałowała go w policzek, nie patrząc mu jednak

w oczy, a gdy nic nie odpowiadał, odwróciła się do kuchenki i skwierczących na tłuszczu, już zrumienionych ziemniaków.

To prawda, czuł się podniecony przebywaniem w tym domu w ukochanej Prowansji, ale teraz jego uczucia miały inny wymiar.

Dość dawno nie kochał się z Leni... Ich nastroje przed podróżą nie sprzyjały zbliżeniom, a dziś? Mon Dieu[28], przespać się z Véronique, lub Marie-Claire tylko z męskiej potrzeby? Zanurzyć się we wspomnieniach, oddać nastrojowi chwili... szukając uśmierzenia stresu towarzyszącego ostatnim dniom? Czy tego na prawdę chciał?

Stała odwrócona do niego tyłem, krojąc obiecanego łososia na kawałki, a on pochylił się, odgarnął jej włosy z karku i pocałował. Zanim zdążyła zareagować, powiedział:

– Non, Véronique, nie zostanę, ale zabiorę ze sobą wspomnienie tego miłego wieczoru i receptę na kurze piersi.

Obróciła się do niego, pogroziła mu drewnianą łyżką i oboje roześmiali się. On, figlarnie, jak psotny chłopak lubiący robić dziewczynom kawały, ona – miał wrażenie, trochę wymuszenie, ale tylko troszkę. Chyba jednak miała na niego ochotę.

Jedzenie było gotowe. Pomógł jej nakryć do stołu i siedząc razem pod lampą rzucającą pomarańczowe światło, jedli dobrze przyprawioną ziołami rybę z ziemniakami i sałatkę z kilku zielonych liści rucoli skropionych koperkowym dresingiem. Popijając na zakończenie kolacji czerwone wino, Véronique powiedziała:– Jacques przyleci dziś wieczorem, dzwonił do mnie zanim przyszedłeś. Chce zanocować.

– Très bien[29] – powiedział, pomyślawszy, że tylko tego brakowało by jego syn go u niej zastał.

– Myślałam, że może zostanieie do Świąt ...

To zdanie prawie go zdeprymowało, ale z innego punktu widzenia. Prawie zapomniał, że do Bożego Narodzenia zostały im dwa tygodnie. Im, znaczy wszystkim, z którymi był związany: rodziną znajdującą się tutaj i tam, za oceanem; podczas gdy on od kilku dni żyje w takim cholernym zawieszaniu, jak między niebem i ziemią, życiem a śmiercią. Ten czas przypomniał mu jego skok ze spadochronem, który kiedyś w młodości uparł się odbyć, a gdy wyskoczył z samolotu czuł, że pod kombinezonem poci się ze strachu... Spadochron mógł się przecież nie otworzyć.

– Przyznam ci się, że zapomniałem o zbliżających się Świątach, ale Leni na pewno o nich pamięta.

Wypowiedział zdanie, które dziwnie go uspokoiło, a Véronique spojrzała z zaciekawiona, co wskazało, że ona nic nie wie o szczegółach jego obecnego życia.

– Studentka?

Uśmiechnął się: – Nie, pisarka z Polski. Mieszkamy razem w Port Jefferson. Nie czuł potrzeby, aby opowiadać więcej o Yvonne i dziewczynkach.

Klasnęła w dłonie:

– No popatrz, Polaków można naprawdę spotkać na całym świecie.

– Oui, oui, właśnie dla niej chciałbym zabrać twoją kulinarną receptę. – Wstał i pomógł jej sprzątnąć ze stołu. – Napisz mi ją proszę, zagłędę tymczasem jeszcze na strych.

Pokoje na poddaszu pachniały lawendą i kurzem. Z każdego kąta, wychodziły mu na spotkanie wspomnienia... Niektóre uśmiechały się do niego radośnie, inne znów siedziały pod ścianą z opuszczonymi głowami. O szafę w zamyśleniu oparła się gitara. Pewnego lata, w tym pokoju nocowały Jacqueline i Marie-Claire. Dziś pojedyncze tapczany przykryte były

kolorowymi, patchworkowymi kapami, szytymi przez jego matkę. Cud, że to wszystko jeszcze się nie podarło, w praniu nie rozlazło, tyle lat – myślał głaszcząc kolorowe kwadraty i trójkąty. Ich stan wskazywał na cierpliwą pielęgnację – najpierw matki, później córki z rodziny Leraïne. Tylko lustro nad komodą z białym, marmurowym blatem, kiedyś pełniące funkcję umywalni, pokryły plamy antycznej szarości.

Lustro, lusterko powiedz przecie, kto jest najpiękniejszy na świecie? A lustro zasnuło się czarodziejską mgłą i usłyszał:

– Véronique jest piękna, ale Leonia jeszcze piękniejsza, ta, która w Port Jefferson mieszka...

– Przecież wiem – mruknął – naprawdę dziecinnieję. Otworzył szufladkę komody, znalazł szmatkę przetrął kurzem pokrywaną kiedyś kryształową powierzchnię lustra i czar przysnął. Porcelanowa misa, w której się myli, dzbanek do przynoszenia wody z kuchni na piętro były w doskonałym stanie.

Drugi pokój zajmowali go razem z Mattheo pewnego lata, a ono tak bardzo utkwilo Jeremiemu w pamięci. Stały tu kartony pełne porcelany. Kiedyś tak cenionej przez jego rodziców, z zaszczytnym miejscem w salonie i kuchni... od kilku lat stała zbędna.

Ożywie was, przywróć – mówił do siebie cicho, przekładając stare kawałki gazety służące za opakowanie talerzom, serwisowi do kawy, sosjerce w kobaltowe kwiaty, dzbanuszkowi do śmietanki. Ten ostatni postanowił zabrać dla Leonii, przypuszczając, że jej się spodoba. Z innego kartonu wybrał jeszcze kilka książek dla dzieci, historyjek bogato ilustrowanych. Już prawie zapomniał o czym opowiadały. Niektóre z nich dostał w prezencie pod choinkę. – Jak dobrze, że one znają mój język – znów mówił do siebie myśląc o Marysi i Marice.

Wyjrzał przez okno. Ogród uszykował się już do zimowego snu. Niewiele było do zobaczenia, gdyż pociemniało i zaczął siąpić deszcz. Z zawiniątkiem pod pachą zszedł na dół i poprosił Véronique o zamówienie mu taksówki. Wymienili jeszcze kilka mało znaczących, pożegnalnych zdań, z których najważniejszym było to, że pozostaną w kontakcie oraz, że jedno z drzew oliwkowych w ogrodzie trzeba będzie usunąć, bo mróz ubiegłej zimy okazał się dla niego mało łaskawy.

– Na szczęście tylko jedno. Dobrze, na wiosnę – obiecał. Gdy zajechała przed dom taksówka, uściskał Véronique na pożegnanie. Wyszedł, ale wrócił za chwilę po tę kurczakową receptę, którą przepisała dla niego i położyła na stole, a on zapomniał zabrać.

Był roztargniony i wzruszony. Deszcz rozpadał się na dobre.

W hotelowym pokoju było ciepło, nawet dość przytulnie. Rozpakował przyniesione przedmioty i przyglądał się im jeszcze przez chwilę w zamyśleniu.

Cichły emocje dnia, który też układał się do snu. Proces ożywiania i przywracania do terażniejszości został rozpoczęty.

Nalał sobie wina oraz odpędził precz chęć ponownego zapalenia gauloisa i zadzwonił do innego świata, do innej zatoki, gdzie stał „jego okręt” i byli ci, którzy powinni na początku grudnia odbyć kilka dni badań morskich żyjątek według ustalonego wcześniej, przez Jeremiego, planu. Krótko rozmawiał z Agatą, a potem z szuflady wyjął kopertę i listowy papier, przybory do korespondencji, które prawie każdy hotel udostępnia swoim gościom.

Krople deszczu bębniły o szyby...

Spoglądał z uśmiechem na dziecięcą książeczkę... dzbanuszek w kobaltowe kwiatki i zaczął układać list do Leonii...

Dziewiątego grudnia, rano...

– Ależ mamy dzisiaj pizamowo-szlafrokowe śniadanie – śmiała się Iwona. Siedziały przy kuchennym stole – tego ranka nikomu nie chciało się dokładniej ubierać. Za oknem było mglisto i mimo dziesiątej godziny słońcu nie udało przebić się przez chmury, by mrugnąć choć jednym okiem do mieszkańców Port Jefferson.

– Pani Thompson mówiła wczoraj, że najprawdopodobniej niedługo spadnie śnieg. Ból stawów bardzo jej dokuczał – oznajmiła Marysia biorąc z koszyczka jeszcze jedną, słodką bułeczkę i smarując ją masłem.

– Widzę, że smakują ci te nowe chinois – słodkie wynalazki – zauważyła Leni.

Marysia kiwnęła głową spoglądając na leżącą na kolanach jej pierwszą bułeczkę, z nadzieją, że babcia siedząca obok niej tego manewru nie zauważyła. Za to Marika poparła głośno siostrę: – Tak, są pyszne babciu, poproszę też jeszcze jedną.

– Wszystko wskazuje na to, że zima naprawdę nas tutaj zastanie, a na nią wcale nie jesteśmy przygotowani. Po śniadaniu ubierzemy się i powinniśmy pojechać do City zrobić większe zakupy. Potrzebujecie cieplejszych butów i kurteczek. Mogą być w marketach przeceny, przedświątecznie kokietujące klientów – planowała głośno Iwona, ale nikt z pozostałych jej propozycją jakoś się nie ucieszył.

– Obiecałam pani Thompson, że wpadnę do niej po śniadaniu. Mogłybyśmy wybrać się na zakupy po południu? – zapytała Leni. Wiem, że dziś nie ma Allisson w domu, może Rachel potrzebuje cokolwiek z miasta?

– A gdzie jest Allisson?

– Podobno pojechała w celach służbowych do City. Rozmowy dotyczące zatrudnienia nowego pracownika, podpisywanie umowy w jego imieniu, coś w tym stylu, Rachel nie wiedziała dokładnie. Wyjaśnwszy niezbyt dokładnie nieobecność córki pani Thompson w domu, Leni wstała od stołu:

– Ok, moje drogie, dziękujemy, wstajemy i ubieramy się. Gdy wrócę, możemy pojechać do miasta, d'accord? – zapytała wesoło.

– Wczoraj wieczorem dostałam esemesa od Jacquesa. Iwona wyjęła komórkę z kieszeni bluzy. Poszukała w niej wiadomości i podała Leonii, a ona przeczytała cicho: Yvonne, une mouche minute à Nice, Maman à l'hôpital, salue, à bientôt, Jacques[30].

– Bien, przynajmniej do ciebie ktoś pisze – stwierdziła z wyraźną przykrością w głosie.

– To ja zaczęłam, Patrycja mi poradziła.

– Dużo dzieje się poza moimi plecami.

Marysia widząc, że zanosi się na niezbyt przyjemną wymianę zdań między mamą, a babcią, pociągnęła za łokieć Marikę i wycofały się w kierunku drzwi. Wchodząc po schodach, usłyszały wołanie Iwony:

– Ubierajcie się!

Marysia odpowiedziała:

– Oui, oui – a do siostry z uśmiechem: – No co, jak po francusku, to po francusku. Chodź, zbieramy się. Wyciągaj tę bułkę z kieszeni, bo ci się masło roztopi. Musimy wszystko zapakować.

Iwona wstała i objęła Leonie.

– Nie gniewaj się, proszę. Przed kilkoma dniami wysłałam mail do Patrycji, w którym opisałam krótko zaistniałą sytuację i zapytałam: jeśli Jeremi milczy, czy wypada mi skontaktować się z Jacquesem. I oto mamy odpowiedź.

– Ok, zobaczymy jak nam się sprawy dalej potoczą. Dziękuję za troskę o mój stan ducha.

Leni uśmiechnęła się z przymusem i pocałowała córkę. – Idę uszykować się, a potem wychodzę do Racheli. Czym się właściwie zajmuje jej córka? – Pracuje w jakimś markecie zdrowych, ziołowych kosmetyków, Healthy NY herbal cosmetics, organic cosmetics.

Dziewiątego grudnia, w południe...

– Jakże miło, że pamiętałaś o naszym spotkaniu!

Pani Thompson przyjęła mnie jak zwykle radośnie. Jej obandażowany, prawy nadgarstek wyglądał na niedawno założony. Usiadłyśmy razem na kanapie, ale za chwilę gospodyni wstała:

– Napijesz się kawy czy herbaty?

– Szczerze mówiąc, chętnie kawy. Rozpoczął się jakiś ciężki dzień i ciągnie jak guma do zucia. Uśmiechnęła się: – Mój podobnie, będzie zmiana pogody. Pomachała do mnie zawiniętą dłonią i poszłyśmy razem do kuchni, bo zaoferowałam jej pomoc w przygotowaniu kawy. – Dolej amaretto, rozpieścimy trochę nasze zmysły.

Przyznam, że tą propozycją rozbawiła mnie. Zaniósłam nasze kawy z migdałowym dodatkiem do pokoju.

– Gdzie Allisson? – zapytałam, chcąc potwierdzić informację otrzymaną od Iwony.

– Pojechała do szefa pozałatwiać kilka spraw. Trochę to potrwa – i wyprzedzając moje dalsze indagowania, dodała: – moja córka pracuje w City, w Farmacji na Upper East Side, a ponieważ spojrzełam zaciekawiona, stała się bardziej rozmowna.

– To wielki sklep ze zdrową żywnością. Farmacja na Upper East Side. Elm Heath ma praktycznie wszystko, czego potrzebujesz: od witamin, do szamponów i podstawowych artykułów spożywczych. Mają także They also serve fresh juices and smoothies, czyli soki i koktajle robione ze świeżych produktów oraz spektrum dań gotowych. W dziale kosmetyków są peelingi, kremy, balsamy, zestawy do makijażu i paznokci. Wybór tak duży, że może śmiało rywalizować z Sephorą. Zobacz tutaj mam prospekt o ich działalności. Podała mi obszerną, kolorową ulotkę i umilkła.

Wnętrza tego sklepu były naprawdę imponujące. Prospekt zawierał chyba z dziesięć zdjęć poszczególnych działów, także aptecznych i perfumeryjnych. Rachel siedziała zamyślona, patrząc w okno i niespodziewanie powiedziała:

– Ona nie może tak intensywnie pracować, jak dotąd. Urodziła się z wadą serca...

– Allisson?

Kiwnęła głową. Odłożyłam prospekt i coś mi, jak to się kolokwialnie mówi, zaczęło świtać w głowie, ale jeszcze nie byłam pewna. To tylko niteczka przypuszczeń lub podejrzeń. OK, nie powiem nic więcej, spokojnie poczekam co jeszcze los rzuci mi pod nogi.

Niespodziewanie Rachel Thompson zapytała:

– Masz jakieś hobby, Leonio?

Zastanowiłam się. Czy pisanie stało moim hobby? Chyba nie. Od pewnego czasu uważałam je za powołanie i lubiłam to, co robię. Satisfakcjonowały mnie maile moich czytelników, a pozytywne recenzje krytyków literackich uważałam za nobilitujące nagrody. Cóż może być piękniejszego dla autorki? Mój ostatni tomik wierszy, który przed wyjazdem do nas przygotowała do wydania Iwona, też został przyjęty pozytywnie. Nie umiem o niczym innym pisać, jak o miłości i życiu w zgodzie z prawami natury. Życie wśród przyrody uzmysławia nam, jak bardzo jesteśmy z nią dożgonnie związani.

Kilka wierszy poświęciłam dziewczynkom Iwony, jeden, po odejściu mojego psa, inne – lirycznym podmiotom, nawet męskiego rodzaju, które kiedyś istniały w moim życiu...

Chyba niepostrzeżenie dla siebie samej zaczęłam głośno rozwijać zadany mi przez Rachel temat, a gdy przerwałam, ona ponownie zapytała:

– Pisziesz wiersze, a czy zastanawiałaś się kiedyś czym jest poezja, Leonio?

Zanim zebrałam myśli, by dać sensowną odpowiedź, zaczęła cytować słowa Jerzego Ł. Sylwiana, na które kiedyś, jeszcze w kraju zwróciła moją uwagę Patrycja:

– Poezja jest aktem odwagi, mową niemych słów, krzykiem symboli, porażką znaczeń, snem metafor, chwilą natchnienia...

– Wiem Rachelo, to piękne i wiarygodne. Trzeba mieć w sobie dużo odwagi, aby pozwolić słowom złożyć się w erotyki, które są jak miłosne fotografie robione przy świetle księżycy. Jak spowiedź, modlitwa, wspomnienie hiszpańskiego tańca z uko-chanym... prośba o miłość, a nawet błaganie o zachowanie siebie samej w pamięci – powiedziałam i niespodziewanie zacytowałam mój wiersz:

Odwołani odchodzimy
nie zdążymy kwiatów podlać
i nakarmić kota...
bez listu pożegnalnego,
maila, esemesa
odchodzimy
z kluczem na szyi
do bramy wieczności...
A jeśli tak -
wtedy dla mnie znicza nie zapalaj
wspomnień pachnących kadzidełko snuj
miast chryzantem pierzastych
jesienną różę mgłą otul
szronem rannym
zamyśleniem posrebrz
– w nich będę.

Rachel Thompson klasnęła w dłonie:

– Piękne, jak dla mnie napisane! Leni, gdy powtórzysz edycję tomiku, nie zapomnij mojej skromnej osobie zadedykować ten wiersz, proszę!

Oczywiście, obiecałam jej.

Iwona weszła po schodach na piętro domu, wołając:

– Gdzie jesteście?

Odpowiedź brzmiała na dwa głosy:

– W łazience, załatwiamy się.

– OK. Położę się w dużym pokoju na kanapie. Boli mnie trochę głowa. Poczekamy na babcię i pojedziemy do miasta – mówiła, schodząc na dół.

Gdyby zajrzała do pokoju, który zajmowała z córeczkami, zobaczyłaby leżące na tapczanie dwa spakowane jak na wycieczkę plecaczki...

– Warto jest zaufać instynktowi, przeczuciom i pierwszym wrażeniom, jakie odbieramy w ważnych sytuacjach życiowych. Ja zawsze wierzyłam w nie. Nawet przesłaniem z zaświatów – mówiła w tym samym czasie pani Thompson, pijąc w towarzystwie Leonii drugą filiżankę kawy.

Mama spała na kanapie przykryta pledem, a obok niej, na dywanie zwinięta w kłębek

Sally. Dziewczynki przemknęły przez przedpokój i tylko pies podniósł głowę spojrzawszy w ich stronę, a one jak najciszej zamknęły za sobą wejściowe drzwi domu.

– Pospieszmy się – Marysia wzięła siostrę za rękę – bo odpłynie bez nas.

– Ale wrócimy tutaj jeszcze? – Marika nie była w stu procentach pewna słuszności eskapady, jaką wymyśliła starsza siostra.

– Jasne, że wrócimy. Tylko odwiedzimy go i wrócimy.

Jeszcze jedna uliczka w stronę portu przy zatoce i już będą u celu.

– Jest, widzisz? Stoi!

Biały statek stał w porcie, a przed trapem do wejścia mężczyzna mający marynarską czapkę na głowie, a ramiona okryte żółtą peleryną, bo właśnie zaczął siąpić deszcz. Dziewczynki podbiegły bliżej i zatrzymały się zdezorientowane. Duży, czarny napis na burcie głosił: Pierre Mason.

– To nie ten! Tamten nazywał się ANGELIKA i miał czer-woną nazwę. Gdzie on jest? – zdenerwowała się Marysia. Podeszła do marynarza przy wejściu:

– Przepraszam, gdzie jest statek, co ma odpłynąć do Polonii i nazywa się Angelika?

Wyjęła otrzymany od Jerrego prospekt, i podała mu plan odjazdów. Ciemnoskóry marynarz spojrział i uśmiechając się do dziewczynki wskazał palcem datę: – Sorry, trochę tu niewyraźny druk od zagięcia w tym miejscu, ale statek, o który miss pyta odpłynął wczoraj, ósemkę z dziewiątką można łatwo pomylić.

Marysia nie dawała za wygraną:

– A ten Pierre Mason dokąd płynie?

– Do Panamy. A panienki same chciały popłynąć?

– Nie, zaraz przyjdzie mama i zadecyduje – zawołała Marika łapiąc siostrę za rękę.

– Chodź, odsuń się, bo on tak dziwnie patrzy – mówiła ciągnąc ją w stronę stojącej opodal ławki.

Usiadły zrezygnowane. Wszystko wskazywało na to, że tak przebiegle zaplanowana podróż dzisiaj się nie powiedzie. Wraz z drobnym deszczem zaczął prószyć śnieg, a „ten głupi statek” powoli odbijał od brzegu. Tak mogły właśnie płynąć, gdyby Marysia dobrze przeczytała dzień odjazdu statku... Śnieg padał coraz bardziej, zrobiło się zimniej, a Marika zaczęła płakać.

– Co teraz zrobimy, no co, ty mądrało?! Wrócimy do domu i powiemy mamie, że chcieliśmy uciec???

Marysia siedziała ze spuszczoną głową nie mogąc uwierzyć, że jej plan nie powiódł się, ale Marika już za chwilę przysunęła się do niej bliżej i wskazała ręką na wąską promenadę wiodącą wzdłuż zatoki:

– Zobacz... kto to?

Kobieca postać zbliżała się wolnym krokiem do dziewczynek. Swoim wyglądem przypominała trochę rysunek królowej śniegu w ich książce z baśniami, którą dostały w ubiegłym roku od babci Leni. Jej futro nie było jednak grube i puchate, lecz pierzaste i zwiewne w kolorze bladoniebieskim. Na długich blond włosach miała podobnej barwy czapkę, na której osiadły już liczne płatki śniegu.

– Czy to Królowa Śniegu?

– Coś ty, pieszo? Nie ma sań ani reniferów – burknęła Marysia po cichu i objęła siostrzyczkę obronnym gestem za ramiona.

Kobieca postać przyglądała się dziewczynkom z uśmiechem.

– Czy pani jest Królową Śniegu? – zapytała Marysia.

W odpowiedzi nieznajoma zaprzeczyła ruchem głowy.

– Więc kim? – indagowała dalej Marysia, która lubiła jasność sytuacji. Bladoniebieska

nareszcie przemówiła:

– Powiedzmy, że jestem nowojorską, zimową wróżką.

– I chodzi pani pieszo? Bez sań albo samochodu?

– Kiedy chcę, potrafię latać...

Ona buja – pomyślała Marysia i już chciała jej to powiedzieć, że kłamać nie wolno, bo tylko ptaki, samoloty i rakiety potrafią latać, ale nie zdążyła, bo Bładoniebieska roześmiała się dźwięcznie:

– Nie kłamię, mogę wam później zademonstrować, ale teraz chodźmy stąd. Jest zimno i pada coraz bardziej.

Tak było naprawdę i zajęte pojawieniem się nieznajomej, przestały zważać na stale pogarszającą się pogodę.

– A co wy tutaj w porcie robicie? – zapytała biorąc je za ręce. Delikatny, ciepły dotyk przypominający rękę mamy rozczulił Marikę i spowodował, że znów zaczęła płakać.

– Chciałyśmy pojechać i odwiedzić przed świętami naszego tatę w Polsce, ale statek już wczoraj odpłynął...

– Mój Boże, skąd taki pomysł? – zawołała Bładoniebieska przyspieszając kroku.

– Mojej siostry... szlochala Marika. Nieznajoma spojrzała z dezaprobatą na milczącą Marysię. Stały przed małym pubem, którego wewnątrz z zewnątrz wyglądało na ciepłe i przytulne.

Tak też było. Usiadły razem na drewnianej ławie przy stole i Bładoniebieska zamówiła dwie malinowe herbaty. Na drewnianym blacie, w zielonym szkle w kształcie kuli, paliła się świeca, od której pachniało wokół waniliowo i przyjemnie. Marysi przypominał się pewien fragment filmu, w którym wróżka przepowiadała ze szklanej kuli przyszłość i poczuła się spokojniejsza. Może nadeszła okazja, żeby się czegoś od Bładoniebieskiej dowiedzieć?

– I co teraz będzie?

Nieznajoma odpowiedziała jednak pytaniem:

– Czy uważacie, że był to rozsądny plan? Ucieczka z domu i wasza samodzielna podróż? Obie pokiwały przecząco głowami.

Ponownie dotknęła ich rączek leżących na stole. Czy to malinowa herbata, czy miłe dłonie Bładoniebieskiej emanowały ciepłem i nadzieją na pomyślne zakończenie dzisiejszego dnia?

– Nawet nie wyobrażacie sobie ile przygód i nieszczęść czyhało na was w czasie tej drogi... Na szczęście zdążyłam przybyć, aby temu zapobiec.

Marika i Marysia milczały, a wróżka mówiła dalej: – Nie pomyślałyście jaką olbrzymią przykrość sprawiłybyście swojej mamie i babci? Jaką wzbudziłybyście w nich obawę o wasze zdrowie i życie? Zaginięcie dziecka jest dla matki ogromną tragedią...

– A tatuś? – zapytały prawie równocześnie. – Tęsknimy za nim! Może nam pani powiedzieć, co z nim będzie?

Bładoniebieska zamyśliła się. Za chwilę mówiła powoli i bez uśmiechu:

– Nie zawsze spełniają się ludzkie marzenia i nawet wróżki nie mają na to wpływu... Wasz tatuś popełnił dużo błędów i musiał zostać ukarany.

– Wiemy o tym – szepnęła Marika.

– Ale jedno mogę wam obiecać. Kiedyś spotkacie się z nim, a na razie piszcie do niego dużo listów. On też za wami tęskni i łatwiej będzie mu znieść ten czas odosobnienia.

Wróżka pochyliła się i zdmuchnęła świecę, z której uniósł się pachnący dym, a potem wstała i objęła obie dziewczynki za ramiona:

– Chodźcie, odprowadzę was do domu.

– Boję się – szepnęła Marysia spoglądając jej w oczy.

Kobieta uśmiechnęła się pocieszająco:

– Jakoś to będzie. Wracamy. Mama z pewnością już się wyspała, a i Sally za wami tęskni. Gdy zapukano do drzwi ...

– Ależ my tutaj nie mieszkamy! – zawołała Marysia zdziwiona, gdy Bładoniebieska razem z nimi zatrzymała się przed drzwiami pani Thompson.

– Ciii – wróżka położyła jej palec na ustach. – Tak będzie dla nas wszystkich najrozsądniej.

– Zobacz proszę, moja droga kto chce nas o tej porze odwiedzić. Śnieg pada, a mnie bolą wszystkie kości. Prorokowałam zmianę pogody i rzeczywiście, miałam rację – powiedziała pani Thompson.

Wstałam z nadzieją, że to Allisson, być może zbyt obciążona zakupami i dlatego sama nie może otworzyć. Jeśli to ona, wtedy będę mogła sobie pójść i zostawić starszą panią pod opieką córki. Tak wiele dziś zostało powiedziane, a przecież ja też z moimi dziewczynkami biorąc pod uwagę jedną dużą i dwie małe, miałam plany na dzisiejsze popołudnie.

Otworzyłam drzwi i zdębiałam, a po chwili aż mnie skręciło ze złości. Steffi! Elegancka, już zimowo wystrojona i moje dwie, trochę jakby wylęknione wnuczki. Czyż nie prosiłam, żeby im się nie pokazywała i nie straszyla?

Zanim jednak zdążyłam nieprzemyślanie wybuchnąć, moja siostra z pogodnym uśmiechem powiedziała:

– Właśnie spotkałyśmy się. Podobno wybieracie się do miasta na zakupy? One są już gotowe, tylko nie wiem, czy nie za lekko się ubrały?

Z pokoju Rachel Thompson pytała głośno: – Leni, kto przyszedł? – A Marysia pomyślała, że wróżki naprawdę wszystko wiedzą, bo o tym, że miały jechać do City przecież w pubie wcale nie rozmawiały. Wyciągnęłam obie ręce do dziewczynek, a za mną usłyszałam szelest kroków pani Thompson i jej radosny okrzyk:

– Ach, to pani! Jak miło, proszę wejść!

W podobnych chwilach podniecenia - moje mrówki były już gotowe do pospacerowania mi po plecach. Wszystko wskazywało na to, że tylko ja – nic a nic nie wiem co się tutaj dzieje.

Steffi skierowała do przodu w moim kierunku dziewczynki, ale w dalszym ciągu stała w przedpokoju. Wyglądała niebiańsko pięknie i zauważyłam, że moje wnuczki patrzą na nią z podziwem.

– Chciałam tylko zapytać, jak się paniom tu mieszka? – zwróciła się do Racheli Thompson. – Czy zastałam Allisson?

Marika otworzyła buzię, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie zdążyła, bo starsza pani wpadła w zachwyty:

– To był doskonały pomysł, miss Stello! Mieszka nam się ogromnie sympatycznie – i objęła moje ramię. Z podniecenia dostała nawet wypieków na twarzy.

– Chciałyśmy osobiście z córką podziękować, ale nie mogłyśmy znaleźć pani biura, przy tej ulicy, gdzie byliśmy ostatnio.

Acha, pomyślałam sobie: Czary mary, hokus pokus, miss Stella znów w akcji! Pośrednictwo wynajmu domków i mieszkań! Patrzyłam na nią z nieukrywaną dezaprobatą, ona za to – łagodnie z uśmiechem, a zwracając się do pani Thompson, wyjaśniła:

– No tak, zostaliśmy przeniesieni, działamy teraz pod innym adresem. Jeśli nie ma Allisson, odwiedzę panie innym razem. Bye, bye, dziewczynki – i mrugnęła porozumiewawczo

do moich wnuczek, które pomachały rączkami i rzuciły się do kuchennego okna. Wychodziło podobnie jak i w naszym domu – na ulicę.

– Zobaczymy czy polecą – szepnęła Marika.

– „O Kermit”, tak śnieg sypie, że nic nie widać – usłyszałam zmartwiony głos Marysi.

– A co chciałyście zobaczyć, moje drogie?

Stałam za nimi, bo musiałam się przecież czegoś w końcu dowiedzieć, a w wielu wypadkach najłatwiej jest zasięgnąć języka u dzieci.

– Chodziło nam o pogodę – powiedziała wymijająco starsza, ale Marice na dzień dzisiejszy wystarczyło już przeżyć i kręcenia. Przytuliła się do mnie i szepnęła: – To była nowojorska wróżka...

Wszystko wskazywało na to, że powinnam się poddać i pozwolić wprowadzić w krainę baśni i czarów. Może w ten sposób zdobędę dodatkowy materiał do następnej książki dla dzieci?

Miss Thompson mówiła dziś, że warto jest zaufać przeczuciom w ważnych sytuacjach życiowych, a nawet przesłaniom z zaświatów.

Powinnam więc na osobności spotkać się z moją siostrą, czy też odbyć szczerą rozmowę z moimi wnuczkami? Chyba jeszcze przed wyjazdem Jeremiego, Steffi przestrzegła mnie, że one coś kombinują. Powiedziała, by na nie uważać... A Iwona i ja? Chyba obie zaniedbałyśmy opiekę nad nimi. Było mi okropnie przykro. Gdy tak rozmyślałam, one cały czas stały obok mnie przy oknie i wypatrywały...

– Wracamy do domu? – objęłam ich ramiona przykryte w dalszym ciągu plecaczkami.

Co się naprawdę wydarzyło?

Pokiwały na zgodę głowami bez odrobiny entuzjazmu, a miss Thompson powiedziała:

– Idźcie już, idźcie. Poradzę sobie, a pojutrze zapraszamy na małe przyjęcie. Moja córka ma urodziny. Zapomniałam zaprosić miss Stellę, ale być może jutro się z nią zobaczą?

Dobry Boże, niesamowite dni nadchodzą – myślałam wprowadzając moje wnuczki do przedpokoju naszego domu.

From: leni@comcast.net

To: patrycjatom@wp.pl

Kochana moja,

jest noc i mogłabym włączyć skype, bo tak chętnie usłyszałabym Twój głos i porozmawiała z Wami jak dawniej, ale nie chcę zakłócać snu moich dziewcząt, które w trójkę jak opuszczone kocięta, przytulone do siebie regenerują pod względem fizycznym i psychicznym swoje siły. My dwie, Iwona i ja, wiedziałyśmy przecież, że „tatusiowy” temat kiedyś powróci, ale nikt nie przypuszczał, że w tak dramatyczny sposób. Byłyśmy o krok od tragedii i muszę Ci się koniecznie zwierzyć.

Moje genialne wnuczki uknuły potajemnie przedświąteczny plan odwiedzenia taty w kraju! Wyobrażasz sobie? Oczywiście kierowniczką tej eskapady była Marysia: dwa spakowane plecaczki, dwie bułki z masłem, folder statku, który podobno płynie do Polonii, bo tak ich poinformował jeden ciemnoskóry nastolatek z obsługi... Jak nam opowiadały, początkowo miały zamiar wziąć też Sally, bo Marysia twierdziła, dzieciom wybierającym się na wyprawę często towarzyszy pies, ale ostatecznie doszły do wniosku, że fakt ten przysporzyłby im zbyt wiele kłopotu. Sally mogłaby dostać na przykład morskiej choroby (o sobie dzielne podróżniczki nie pomyślały), no i dla psa nie miały zorganizowanego jedzenia.

Co byłoby, gdyby naprawdę popłynęły tym statkiem niewiadomo dokąd? Słabo nam się robiło, gdy słuchałyśmy ich opowiadania, a potem wszystkie jak bobry zalewałyśmy się łzami,

tłumacząc im możliwe skutki takiego dziecięcego przedsięwzięcia.

Pewnie jesteś teraz ciekawa, dlaczego nie odbiły od brzegu i ich „wycieczka” się nie powiodła? Otóż, chyba nie jeden, ale dwa Anioły czuwały nad nimi, bo Marysia pomyliła daty. Wybrany rejs był w planie z poprzedniego dnia, a stojącymi w porcie, zdezorientowanymi i zmarzniętymi dziewczynkami zainteresowała się pewna kobieta, która odprowadziła je do domu. Przypisać muszę, że w ostatnim czasie spotyka nas wiele zaskakujących sytuacji. Bywa, że nawet z zakresu metafizyki, a temat ten mógłby wypełnić nie jeden mail do Ciebie, ale całą nowelę.

Zbliżają się święta, od Jeremiego nie dostałam żadnej, konkretnej wiadomości. Dzięki Twojej radzie, Iwona skontaktowała się z Jacquesem. Przesłał esemesa, w którym zawiadamiał ją, że musi lecieć do Nicei, bo matka jest w szpitalu. Z tego powodu jest tam też przecież Jeremi, więc dla nas nic nowego. Jane uspokaja mnie, że powinnam uzbroić się w cierpliwość. Powiedziała nawet, że za mało jest we mnie wiary, brakuje nadziei i dlatego ogarnia mnie strach przed przemijaniem. Mój Boże, ależ chcę, bardzo chcę wierzyć w naszą miłość i przez-naczenie... Tylko jakoś braknie mi sił i najbliższe dni widzę, może nie zupełnie czarno, ale grafitowo, jak nasze niebo w Jefferson. Jakiż to kontrast z zaśnieżonym ogrodem... Tak, od wczoraj popadauje sobie u nas śnieg, a Jane powiedziała, że moje obawy o przyszłość powinny być mobilizujące. Nie pozostaje nic innego, jak wziąć się w garść i cieszyć każdą chwilą, a najbardziej tym, że dziewczynki wróciły całe i zdrowe. Czy Iwona pisała Ci, że na ostatnie kilkanaście dni grudnia udało jej się zapisać Marikę do przedszkola, tutaj w Jefferson niedaleko nas? Pomaga jej Allisson, córka pani Thompson. Znajomość z tymi paniami jest jeszcze jedną historią przynoszącą nam sporo niespodzianek. Zdziwiającym jest również fakt, że Marysia zdecydowała się rozpocząć tutaj naukę w najmłodszej klasie primary school[31] szkoły muzycznej, a Allisson udostępni jej swoje pianino do ćwiczeń. Nadejdzie jednak dzień, w którym Iwona z dziewczynkami będzie musiała wrócić do kraju, ale moja wyobraźnia tak daleko nie sięga. Nawet zabraniam jej wybiegać tak daleko!

Na jutro jesteśmy zaproszone na urodziny do Allisson. Ileż dałabym za to, by móc pójść do nich z Jeremim, moim Morelowym, jak nazywa go w dalszym ciągu Jane, słuchać jego głosu, widzieć jego szare oczy, uśmiech. Pati, jak ja strasznie za nim tęsknię... A jeśli on już nie wróci do Stony Brook?

Pamiętasz, mówiłaś mi kiedyś, że ks. Jan Twardowski napisał: „W życiu musi być dobrze i niedobrze. Bo jak jest tylko dobrze, to jest niedobrze.”

Zagmatwana filozofia. Od czasu wyjazdu Jeremiego nie jest dobrze i niech się nareszcie odmieni!

Boję się nadchodzących świąt Bożego Narodzenia, które przecież powinny być rodzinne, a my...? Ty i Tomasz pewnie pięknie już wszystko zaplanowaliście, prawda?

Czekam więc na same dobre wieści i pozdrawiam naj-serdeczniej. Dziewczynki chcą napisać listy do Roberta. Coś dla niego, świątecznego trzeba byłoby dodatkowo zorganizować, ale Iwona z pewnością napisze jeszcze i Was o to poprosi.

Po dzisiejszym dniu pełnym łez i wrażeń czas nareszcie odpocząć. Pa, całuję, Leni.

[27] Duży pokój (franc.)

[28] Mój Boże (franc.)

[29] Bardzo dobrze (franc.)

[30] Iwona, zaraz odlatuję do Nicei, mama w szpitalu, pozdrawiam, do następnego razu, Jacques (franc.)

[31] Szkoła podstawowa (ang.)

Gdy się miało szczęście, które się nie trafia:
czyjeś ciało i ziemię całą,
a zostanie tylko fotografia,
to – to jest bardzo mało...
Maria Pawlikowska-Jasnorzewska „Fotografia”

– Mamo, wstajemy! – Zawołała Iwona wchodząc do pokoju matki.
– Mamusiu! Podeszła bliżej łóżka i pochyliła się nad leżącą.
Leonia spała po stronie Jeremiego oddychając głęboko i przytulając pod głową jego piżamę.
Biedna mama – pomyślała. Chyba ponownie zaatakuję Jacquesa, by dowiedzieć się co oni planują. Tak dłużej być nie może.
– Mamo – pogłaskała Leonie po splątanych włosach.
Powinna pójść do fryzjera, po wyjeździe Morelowego zupełnie się zaniedbała, muszę wziąć ją do galopu.
– Jesteśmy już gotowe! – Marysia z Mariką, ubrane i w nienajgorszych humorach wpadły do sypialni.
– Cooo, Jeremi przyjechał? – zapytała Marika z radosnym uśmiechem.
Obudzona wołaniem wnuczki Leonia odpędzając resztki snu, usiadła na łóżku.
Wczorajsze przeżycia i nocne pisanie dały jej się we znaki. Boże, nigdy tak długo nie spała! Lubiała nadany jej w redakcji przydomek „skowronka” podczas gdy inni, jak typowe sowy pracowali po nocach i chodzili spać o świcie.
– Dlaczego tak myślisz?
– No bo babcia trzyma piżamę Jeremiego. Roześmiały się wszystkie.
– A ty, co przytulasz do spania?
– Ja mam białego misia – zwierzyła się Marysia. – A ja tego rudego kotka, którego mama kupiła na lotnisku – Marika usiadła na łóżku obok Leonii.
– No właśnie. A ja zrobiłam sobie z Jeremiego piżamy przytulankę – uśmiechnęła się Leni.
– Ale gdy przyjedzie, to mu ją oddasz?
– Z pewnością.
– Mamo, mam plan na dzisiejszy dzień. Iwona postanowiła przejąć ster funkcjonowania rodziny w swoje ręce. – Jemy śniadanie i pędzimy do City. Wczoraj nam nie wyszło, zakupy są konieczne, a zima stoi u drzwi. Poza tym powinnyśmy wyszukać jakiś upominek dla Allisson na jutrzejszy wieczór. Hop, hop, już nie mazgaimy się dłużej!
Leonie skinęła potakująco głową, a one z ponagłającymi ją gestami opuściły sypialnię.
Nie po raz pierwszy podziwiałam moją dzielną, samotną córkę. Była silniejsza ode mnie i pewnego dnia powinna zostać przez los nagrodzona. Tak rozmyślając, podniosłam poduszkę Jeremiego, którą miałam pod głową. Jego zdjęcie, które tam przechowywałam miało już zmarszczki czasu. Dni i godzin oczekiwania z kobiecej, infantylnej tęsknoty...

U Marshallsa[32] był tłok jak diabli. Zaczęło się już przedświąteczne szaleństwo zakupów, a bajeczne dekoracje prawie zapierały dech w piersi. Właściciele w każdym calu starali się komercyjnie przypominać swoim klientom, że wielkimi krokami nadchodzi Christmas time!

– Może chciałabyś pójść do fryzjera, mammo?

Iwona zatrzymała się z nami przy wejściu do windy.

– Pojedziesz sama na III piętro, a ja z dziewczynkami rozejrzemy się po stojakach i regałach. Masz komórkę, daj nam znać, gdy będziesz gotowa i umówimy się, by nie zginąć w tłumie.

Potraktowała mnie jak dziecko. Jakbym to ja niedawno przyleciała do NY, a nie ona. Przyznać muszę, że było to bardzo miłe. Już dawno nikt się o mnie nie troszczył, nie opiekował. Nikt, oprócz Jeremiego.

Dobrze, niech się stanie. Nabrałam nagle ochoty na skorzystanie z propozycji Iwony i zmiany mojego image. Chyba każdej kobiecie w mojej sytuacji pomogą i humor poprawią: dobry fryzjer, kosmetyczka i koniecznie nowy ciuch. Tak przynajmniej twierdzą psychologowie piszący swoje artykuły do magazynów dla sfrustrowanych Amerykanek. Obok artykułu znajduje się zawsze barwna reklama nowych farb do włosów, pudru, który jest w stanie pokryć wszystkie niedoskonałości cery i tuszu do rzęs, dzięki któremu można oczarować spojrzeniem.

Zażyczę sobie fryzurę afro, zawsze chciałam mieć podobne włosy – burzę loków na głowie. Może trochę farby trzeba byłoby położyć, bo tu i ówdzie pokazują mi się srebrne nitki. A może zostawić je? Będzie bardziej interesująco?

Po dwóch godzinach, jak nowa Leni, całkiem zadowolona ze swojego wyglądu skontaktowałam się z Iwoną i umówiłam z nimi w dziale bielizny na parterze. Czekają na mnie trochę obciążone kolorowymi, papierowymi i foliowymi torbami.

– Babcia, „o Kermit”! – Powitała mnie swoim powie-dzonkiem z Muppetów zachwycona Marysia. – Ojejku, to ty? – dodała Marika.

– Wyglądasz superowo – pochwaliła mnie moja córka. Czulałam się zupełnie podobnie.

– Dziękuję wam. Jeszcze chcę kupić miły moherowy sweterek. Powinien mieć niewielką zawartość wełny, bo inaczej mnie zagryzie. – zażartowałam.

– Zaraz coś znajdziemy. Tylko zaniosę do auta torby z naszymi ciuchami, a wy poczekajcie tutaj na mnie.

– Dostałyśmy zimowe kurtki i fajne kozaki – chwaliły się na wyścigi dziewczynki. – I mama dla siebie też kupiła buty i sweter, a na Święta...

Marysia trąciła Marikę w bok: – Ciii, miałyśmy nie mówić.

– Znowu jakieś tajemnice? – roześmiałam się.

– Ach, takie małe niespodzianki.

– Nigdy nie byłam przeciwna miłym niespodziankom. A dla Allisson już coś wybrałyście?

– Jeszcze nie, mama mówiła, że razem kupimy, jak tylko babcia wróci.

Stałyśmy przy okazałej choince, ubranej bogato, błyszcząco i pstrokato. Takie są nowojorskie ozdoby – zawrotnie kolorowe. Wszędzie wiszące, podświetlane girlandy z gwiazdek, gwiazdeczek, srebrnych reniferów i kolorowych koników na biegunach. Tradycyjnie i głośno, jak chyba co rok o tej porze śpiewała Mariah Carey: All I want for Christmas is You[33]. Podobne mamy życzenia. Ona chciałaby na święta to samo, co ja.

– Zobaczcie, co tu widzę! – zawołałam do dziewczynek, które podziwiałały drzewko, obchodząc je dookoła. W białym, ozdobionym oczywiście sztucznymi, świerkowymi gałązkami

koszu, leżały torebki z obrazkami i zabawnymi napisami:

Waniliowe płatki Królowej Śniegu,
Przyprawa do pierników Baby Jagi
Kolorowa posypka Królowy Śnieżki,
Sitronenpepper firmy Hindu..

– O Babciu, jakie to wspaniałe, kupimy?

Wybierałyśmy właśnie po dwie z każdego rodzaju, gdy wróciła Iwona.

– Weźcie jeszcze dodatkowo dla pani Thompson i idziemy dalej: poszukać dla ciebie mamę tego sweterka, a dla Allisson, może coś żywego?

– Co masz na myśli?

– Widziałam na parterze Flowers – piękny, duży kiosk z kwiatami.

– Już myślałam, że jakieś zwierzątko – roześmiała się Marysia.

– Czy możemy w Nowym Jorku, w tym roku napisać listy do Świętego Mikołaja?

– Jasne, że tak. Nic nie stoi na przeszkodzie – mrugnęłam porozumiewawczo do Iwony.

– To ja poproszę Świętego Mikołaja – kontynuowała Marika, żeby mi przyniósł chomika, bo jeśli tata nie może przyjechać, TO MOŻE CHOCIAŻ CHOMIK...

[32] Marshalls – duży market w NY

[33] Wszystko czego chcę na Święta, to ty (ang.)

Kupiłyśmy dwie doniczki – jedną dla Allisson, drugą dla Racheli żeby, jak radziła Marysia starszej pani nie było smutno, że nic nie dostanie. Zdecydowałyśmy się na bardzo ładne, sporej wielkości zielone okazy: dla Allisson drzewko bonsai, przynoszące podobno szczęście – ozdobione już świątecznie srebrnym łańcuszkiem z dzwoneczkami, a dla Rachel paproć, która w mieszkaniu jonizuje pozytywnie. Sprzedawczyni dodała nam do paproci srebrnego aniolka na patyku.

Następnego popołudnia, gdy z prezentami w rękach już miałyśmy zadzwonić do drzwi, te jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki nagle się otworzyły.

W drzwiach stała Allisson – etnicznie, a zarazem uroczyście ubrana, jakby swoim wyglądem chciała częściowo podkreślić indiańskie pochodzenie. Jej rozpuszczone, czarne włosy przytrzymała kolorowa opaska obejmująca czoło, podobnie jak widywało się u filmowych squaw. Kolorowe poncho w czarnych, rdzawych i żółtych kolorach było piękne. Dodatkowo na szyi drewniany, rzeźbiony amulet z dodatkiem piórek, wraz z plecionymi, barwnymi bransoletkami na przegubach – dopełniał stroju. Uśmiechając się radośnie zaprosiła nas do wnętrza. Wyglądała jak młoda, indiańska dziewczyna, a była przecież tylko kilka lat starsza od Iwony. Odniosłam wrażenie, że zapowiada się nam bardzo przyjemny, prawie egzotyczny wieczór.

– Częstujcie się, proszę. Przygotowałyśmy coś oryginalnego, czego chyba jeszcze nie próbowaliście – zapraszała lady Thompson. – Nie wiedziałyśmy czy lubicie pikantnie, więc nie przyprawiałyśmy zbyt ostro chili, no i ze względu na dziewczynki – dodała Allisson – ale tutaj jest ugotowany przez mamę ostry sos, możecie dodawać do woli.

Na środku stołu, na podgrzewaczu stała w ceramicznym garnku, z drewnianą chochlą w środku, owa egzotyczna potrawa. Zaglądając do środka, zapytałam:

– Cóż to, indiańska zupa?

– To łagodny gulasz kukurydziany zwany posole. Gotujemy go z suszonej kukurydzy i mięsa wieprzowego z kością, z niewielką ilością chili. Oczywiście dodajemy trochę warzyw i różnych ziół. Gulasz ten należy do moich najbardziej ulubionych potraw na świecie. Gdy żył Elias, mój mąż, robiliśmy go niemal na każde święta i inne, „nadzwyczajne” dni – wyjaśniała z uśmiechem starsza pani. – „Nadzwyczajne”, jak dzisiaj.

Zupa parowała i Allisson widząc, że biorę z obawą chochelkę do ręki, dodała:

– Nie oparzysz się, jest bambusowa więc się nie nagrzewa – i sama zaczęła serwować nam posole do ceramicznych misek.

– Ja poproszę tylko troszkę – ubezpieczała się na wszelki wypadek Marika. Kto wie, gulasz może przecież okazać się paskudny. Marysia poszła za jej przykładem, z wrażenia zapominając, że kiedyś postanawiała do śmierci pozostać wegetarianką.

Gdy wszystkie zostałyśmy już obdarowane apetycznie pachnącą potrawą, pani Thompson podała każdej z nas koszyczek z chlebem:

– Kosztujcie, to dobry, pożywny sotobalough. Trzeba łąmywać kawałki i maczać w gulaszowej zupie. Taki jest nasz zwyczaj.

Chleb był pyszny, słodkawy, o twardej skórce i miękkim środku. Łamałyśmy, maczałyśmy i miałam wrażenie, że zaraz będzie słycać nasze siorbanie i mlaskanie, bo tak nam smakowało. Po chwili dziewczynki zapytały czy mogą dostać dokładkę.

Zwabiony zapachem zjawił się Felix. Usiadł na swoim miejscu przy kominku i przyglądał się nam z zainteresowaniem.

– On też lubi tę zupę? – zapytała Marysia wylizując resztki z miseczki.

– Tak, ale nie karmimy go przy stole, Felix jada w kuchni. Zaraz mu dam – i Allisson wstała wołając kota, który pobiegł za panią truchcikiem.

– Zrobiliśmy jeszcze dla was kilka placków tortilli. Bez tego nie może obejść się żaden obiad lub kolacja.

– Bardzo to miłe, ale może spróbujemy trochę później? – Iwona pomagała już sprzątać ze stołu. – Oczywiście, i do tortilli pieczone banany polejemy sobie miodem, OK? – uśmiechała się pani Thompson proponując nam słodki, pożywny deser, podczas gdy my byliśmy już nasycone jak bąki, które odbyły wycieczkę po kwiecistej łące.

– Oczywiście – zgodziła się starsza pani. Z pewnością jednak napijemy się teraz kawy, prawda? Dla Mariki i Marysi mamy sok, gruszkowo-jabłkowy, OK?

Tak, to było bardzo OK. Rozsiadliśmy się na kanapach. Felix wrócił z kuchni i o dziwo, ulokował się między dziewczynkami, a Allisson z Iwoną podały kawę i szklanki z sokiem. Pomyślałam, że jest bardzo nastrojowo, prawie romantycznie: kawa pachniała, ogień traskała na kominku, a stojące na komodzie dwa mosiężne świeczniki z czerwonymi świecami rzucały przyjemny blask.

– A gdzie to podziewa się twój „Morelowy Książę”? – zapytała Rachel zwracając się do mnie, siedzącej samotnie w fotelu – co raz szczelniej, otulonej nostalgicznym nastrojem. Nie podejrzewałam jej o tego rodzaju wysublimowany dowcip.

Uśmiechnęłam się:

– Podróżuje po Europie.

– Nie pozwól się rozczarować i nie pozbadź nadziei – powiedziała, dodając zagadkowo – jak ja...

– Mamo – córka zwróciła się do niej proszącym tonem. – Musimy porozmawiać o czymś innym.

– Wcale nie zapomniałam. Przyniesiesz czerwone wino z piwnicy? Będzie miało właściwą temperaturę.

Sprawa, o której obie panie chciały z nami porozmawiać musiała być dość ważna, bo Allisson zamiast kieliszków, podała do wina ozdobne szklanki, a także by odwrócić choć na chwilę uwagę moich wnuczek, zapytała żartobliwie Marysię:

– Może chciałabyś zawrzeć bliższą znajomość z moim pianinem? Możecie je zobaczyć, stoi w trzecim pokoju, za sypialnią.

Dziewczynki przyjęły jej propozycję z zainteresowaniem, a razem z nimi oddalił się i Felix, krocząc elegancko, wachlując przy tym ogonem.

Allisson podała nam wino, wzniosłyśmy toast za jej zdrowie, a potem powiedziała: – Temat jest ważny i dotyczy chyba nas obie, ale w dużym stopniu Iwony. Zabrzmiało tajemniczo i na miejscu mojej córki przyjąłabym taki wstęp z dużym przyjęciem, ale Iwona roześmiała się: – Naprawdę? No to zamieniam się w słuch!

– Otóż, moja matka chyba wam opowiadała, że na początku tygodnia byłam w City, na Manhattanie na konferencji u mojego szefa. Znając ciebie – zwróciła się do Racheli – one wiedzą już gdzie pracuję.

– Powiedziałam tylko, że w Farmacji na Upper East Side, a reszta wyjaśnień należy do ciebie – uśmiechnęła się starsza pani, wstając. Z szuflady komody wyjęła długą, brązową cygaretkę i zapaliła wypuszczając z lubością dym.

– Mamo! Wiesz, że nie powinnaś!

– Ach, co mi tam, w takim dniu...

Usiadła na kanapie uśmiechając się szelmowsko, a Allisson podała jej kryształową popielniczkę i mówiła dalej:

– Tak, Farmacja na Upper East Side to coś innego jak wasze polskie farmacje. Mało tego, media uważają, że może ona konkurować z Sephorą. Tak się składa, że od nowego roku będziemy potrzebować więcej pracowników, a najlepiej, gdyby byli to ludzie z doświadczeniem. Miss Stella wspominała mi, że w Polsce pracowałeś w podobnej – kosmetycznej firmie Yonelle. Zgadza się? Byłaś szefową działu?

Zaskoczona Iwona z uśmiechem kiwnęła potakująco, za to ja prawie osłabłam ze wzruszenia. Najprawdopodobniej zbliżające się klimakterium dawało pierwsze sygnały, a bez Jeremiego jest coraz gorzej. Co tu się naprawdę dzieje? Miss Stella! Od pewnego czasu Steffi kierowała moim życiem, a teraz okazuje się, że przejęła odpowiedzialność za całą rodzinę, a nawet sąsiadki?

Allisson chodziła po pokoju ze szklanką w ręce, kontynuując temat swojego projektu. Do Iwony chyba w tym momencie dotarła jego ważność, bo również wstała, patrząc z zainteresowaniem na Allisson.

– Jestem odpowiedzialna za zwerbowanie dwóch odpowiedzialnych osób i jedno stanowisko chcę zaproponować właśnie tobie.

Rachel uśmiechała się kończąc palić swojego papierosa, a ja pomyślałam, że ostatnie zdanie Allisson skierowane do Iwony zabrzmiało bez mała jak propozycja lotu na księżyc.

Iwona z rumieńcami na twarzy z przejęcia, czy też na skutek wypitego wina, rozejrzała się dość bezradnie po pokoju, po naszych twarzach i powiedziała:

– To znaczy miałabym tu pozostać? Rozpocząć nowe życie?

– Zapytaj samą siebie dokąd chcesz wracać? – Allisson nalała jej i sobie ponownie trochę wina. – Decyzja należy do ciebie.

– Zaraz, zaraz, a ubezpieczenie i te wszystkie urzędowe procedury, ja mam dzieci... – myślała głośno. – Pani Thompson, da mi pani papierosa?

– Oczywiście moja droga, spokojnie. Możecie się zgłosić do Health Centers. New York City Health and Hospitals Corporation oferuje usługi w zakresie opieki zdrowotnej dla wszystkich. Są to federalnie finansowane ośrodki zdrowia, których zadaniem jest zapewnienie dostępu do opieki zdrowotnej nieubezpieczonym mieszkańcom Stanów Zjednoczonych. A cała reszta leży już gestii pracodawcy; miejsce pracy jest najważniejsze.

– Od kiedy twoja propozycja byłaby aktualna? – zapytała Iwona zwracając się do Allisson.

– Od nowego roku, Darling.

Iwona usiadła z papierosem i szklanką w ręce. Wyglądała na zaskoczoną, ale nie zdeprymowaną. Wiedziałam, że takiej decyzji nie podejmuje się w ciągu jednego wieczoru i uśmiechając się do projektu „Thompson & Madero”, powiedziałam, że przepraszam, ale muszę wyprowadzić Sally na wieczorny spacer. Biedna psina przesiedziała prawie trzy czwarte dnia w domu.

Po chwili okazało się jednak, że nie była sama. Moja siostra siedziała w kuchni przy oknie i widząc mnie nadchodzącą, pomachała mi przez szybę.

W głębi serca przyznać muszę, że chyba pierwszy raz ucieszyłam się na jej widok.

– Czekaliśmy na mnie?

– Tak, telepatycznie cię wołałam – przyznała.

- Wiedziałam, że musimy się zobaczyć... Powinnam cię przeprosić i podziękować. Steffi uśmiechnęła się tak pięknie, jak przed laty, a mnie napłynęły łzy do oczu.
- Dlaczego to wszystko robisz?
- Jest coś takiego, jak „grzechów odpuszczenie, ciała zmartwychwstanie”? No właśnie.

Nie pytaj więcej i nie płacz. Kiedyś się spotkamy...

Kiwnęłam potakująco głową.

– Mam nadzieję. A skąd ty je wzięłaś?

– Kogo? Rachelę i Allisson?

– No właśnie! Pośrednictwo w wynajmowaniu domków i mieszkań, miss Stello! –

roześmiałyśmy się obie.

– A, tego ci jeszcze nie powiem, ale ciekawa jestem jak ona to rozwiąże.

– Kto?

– Rachel Thompson. Ma przesłanie dla ciebie do spełnienia, a dużo czasu jej nie zostało.

– Nie strasz mnie, proszę. Ona jest jedną od WAS?

– Jeszcze nie...

Zimny dreszcz przeleciał mi po plecach. Sally przyszała do kuchni. Pamiętam, że ostatnim razem trochę warczała, gdy wyczuła w domu kogoś obcego. Dziś przyjaźnie merdała ogonem, łaszac się jednak do mnie. Czyżby dla niej Steffi była niezauważalna?

– Muszę z nią wyjść, sorry – powiedziałam.

– Ja też znikam!

– Jeszcze coś, powiedz mi proszę, skąd ten twój waniliowy zapach gdy do nas przychodzisz?

Uśmiechnęła się:

– To gatunek białych lilii. Manfred przynosi mi często na cmentarz bukiety. Intensywny zapach, prawda?

Stała już przy drzwiach, ubrana dziś znów jak nowojorska wróżka – Steffi Bładoniebieska. Coś jej się przypomniało i zawróciła:

– Ja już niewiele mogę, ale mam prośbę do ciebie. On czuje się w dalszym ciągu bardzo samotny. Ściągnij go tutaj dla Allisson. Będzie im razem dobrze... Ja to wiem.

I pomachała mi na pożegnanie swoją długą rękawiczką - podobną do wachlarza z błękitnych piór.

Kochankowie

Cóż to za dzień! Iwona z dziewczynkami pozwoliły mi się wyspać W domu cisza, tylko zegar tyka i Sally przysłała się przywitać.

Na kuchennym stole karteczka. Według naszego miłego zwyczaju pozostawiania wiadomości, nikt nie wychodzi z domu niewiadomo dokąd i bez określenia, w przybliżeniu, kiedy wróci. Mam więc kolorową wiadomość wydartą z notatnika, z informacją dla mnie:

Jak miło – pomyślałam, mam kilka godzin czasu dla siebie. Zjem coś szybko i oczywiście wybiorę się do Rachel, nawet wezmę ze sobą psa, z nadzieją, że kocur przyjmie nas przyjaźnie. Znam takie przypadki, gdy pies i kot żyją w zgodzie.

Starsza pani ucieszyła się na nasz widok:

– Tak myślałam, że ją kiedyś do nas przyprowadzisz. Gdy Allisson była mała też mieliśmy psa, a teraz jest Felix. – Kiciu, zobacz kto przyszedł – zawołała i nastąpiło między tymi dwoma, ku naszemu zadowoleniu, bezbolesne zawarcie znajomości. Felix obwąchał gościa, machnął łapką gestem oznaczającym: „ach to nic nadzwyczajnego” i położył się na swoim pledzie przy kominku. Sally zdziwiona brakiem zainteresowania obeszła kilka sprzętów i wybrała miejsce dywanowe przed jedną z kanap. Roześmiałyśmy się serdecznie na ten widok:

– No i po kłopotcie. Czym mogę Cię poczęstować? Kawa czy kakao?

– Kakao poproszę. Stało się miłym zwyczajem, prawie rytuałem, bo nie po raz pierwszy naszym spotkaniom towarzyszyły kubki gorącego, pachnącego kakao. Picie z filiżanek, to byłoby o wiele za mało.

– Iwona nie podjęła jeszcze decyzji? – zapytała z uśmiechem.

– Nic o tym nie wiem. Moje emocje wczorajszego dnia sięgnęły zenitu. Położyłam się i zasnęłam nawet nie słysząc kiedy moje dziewczyny wróciły, a dziś rano, proszę sobie wyobrazić pozwoliły mi się wyspać. Mam tylko za zadanie odebrać moje małe z pierwszych zajęć.

– Mam nadzieję, że twoje wnuczki zaaklimatyzują się bez większych kłopotów.

Powiedziała to tak, jakby wiedziała o planowanej ucieczce dziewczynek i związanych z nią naszych przeżyć. Być może Iwona wczoraj opowiadała... Nie zdążyłam zapytać, bo pani Thompson ciągnęła dalej:

– Ach, muszę ci się do czegoś przyznać. Kupiłam i prze-czytałam twoją książkę.

Matko Jezusowa, ta kobieta jest mistrzynią w sprawianiu niespodzianek! Uśmiechnęłam się wdzięcznie, nie ukrywając zaskoczenia:

– O której książce pani mówi?

– Jaka ty jesteś skromna, moja droga. Nic nam nie powiedziałaś, że twoje egzemplarze leżą na Greenpoincie. Pojechałyśmy tam z Allisson i kupiłyśmy – opowiadała z nieukrywaną frajdą.

– Oczywiście poproszę cię zaraz o autograf. Wstała i przy-niosła z drugiego pokoju moją Wizę do Nowego Jorku, wręczając mi długopis.

– Rachelo – byłam przyjemnie zaskoczona, wpisując dla niej kilka serdecznych słów. – Skąd pani o tym wie?

– Odwiedziła nas kiedyś miss Stella. Pokazywałam jej kupioną niedawno Trzynastą opowieść, a ona zwróciła naszą uwagę na twoją książkę i nawet zdradziła nazwisko autorki – roześmiała się ponownie, jakby jej się udał dobry dowcip. – Przyniosę jeszcze kakao, a ty poczęstuj się polskimi pierniczkami, też z Greenpointu.

Pięknie. Po Steffi można było się prawie wszystkiego spodziewać. Wracając myślami do naszego wczorajszego spotkania i wydarzeń ostatnich dni, już nie miałam powodu, by się na

moją siostrę gniewać. Pani Thompson wróciła z pełnymi kubkami i powiedziała: – Podobno znacie się, tak? Mówiła, że jest twoją znajomą z Polski.

Pozostało tylko przytaknąć.

– Miss Stella wybiera się w podróż do Europy?

– Coś mi się obilo o uszy.

Widziała, że nie podejmowałam tematu dotyczącego Steffi, więc dała mi spokój.

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu. Zegar, którym zachwycała się podczas pierwszej wizyty w tym domu Marysia, dźwięcznie wybił jedenastą. Miałam jeszcze dużo czasu, ale chyba powinnam pożegnać się i w domu uszykować jakieś obiadowe danie dla moich dziewcząt. A może zaprosić do nas moje dwie sąsiadki na jeden z wieczorów? Wypadaloby się przecież zrewanżować. Ale zaraz, spokojnie, poczekam na decyzję Iwony...

Rachel przyglądała mi się jeszcze chwilę w zamyśleniu i powiedziała: – Ładnie to wszystko opisałaś... musiało bardzo boleć. Podobnych historii nie pisze się łatwo.

Znów przytaknęłam. Ona prowokowała temat i miała w tym swój cel.

– Masz z nim jeszcze kontakt?

– Kogo ma pani na myśli?

– Wiktora...

– Sporadyczny...

Nie chciałam o tym mówić, tak jak nie opowiadałam Iwoni ani Jane o esemesach Wiktora, po wyjeździe Jeremiego. Pomyślałyby, że jestem nielojalna, nieuczciwa wobec Jeremiego, a ja czerpałam tylko satysfakcję z wiadomości jakie mi serwował. Nie układał mu się jego związek z Gladys, oj, nie układał i bardzo dobrze! Chaos w jego związku z „hebanową pięknoscią” jest zasłużoną karą - jaka powinna go spotkać.

– Wybaczyłaś mu?

Zastanowiłam się. Wiktor o to nigdy nie prosił. Powraca do naszych kontaktów z przekonaniem, że może znów stać się dla mnie kimś ważnym, tak bardzo i absolutnie, jak był kiedyś – miłością, inspiracją i nadzieją. Próbuje złamać mój opór, który odbiera jako wahanie. Komplementuje jak kiedyś moje sukcesy, urodę, wspomina czas spędzony razem w kraju, a tym samym liczy na powrót i ponowną akceptację jego osoby...

Powiedziałam jej to wszystko oraz to, że są chwile, w których zaczyna się na nowo rozpamiętywać, analizować bez końca, bo wydaje nam się, że w decydującej chwili trzeba było postąpić inaczej.

A wszystko przez to, niestety, że mamy sumienie. O ileż łatwiej jest żyć komuś, kto w takie „urządzenie” nie został wyposażony.

Pewnych wydarzeń nie da się zapomnieć, a ponieważ cofnąć i zmienić też nie można, trzeba starać się o nich nie myśleć. Najlepiej zupełnie przestać, po prostu wymazać, wykreślić z pamięci. Nie „nakręcać się” – jak mówią teenegers – zażartowałam.

Rachel słuchała mnie w zamyśleniu, a potem podsumowała:

– Silna jesteś.

– Staram się.

– A Jeremi?

– Zupełnie inny rozdział mojego życia, nieporównywalny. Wierzę, że wróci.

– Pamiętasz moje wczorajsze słowa? Nie pozwól się rozczarować i nie pozbądź nadziei.

– Zapamiętam.

– Mnie się nie udało...

Teraz zaczęłam pojmować. Rachel Thompson też miała historię, którą chciała się ze mną podzielić. Stąd jej sentencje i komentarze. Poczulałam się wzruszona i czekałam, a ona

powiedziała:

– Leni, bywają w życiu związki, które nigdy, mimo, że pełne miłości i nieomal uwielbienia dla drugiej osoby, nie doczekają się absolutnego spełnienia.

Mój mąż zginął w wypadku. Pewnego dnia w biurze Kongresu[34] została podłożona bomba. Kilkoro pracowników zginęło na miejscu, Elias umarł w szpitalu. Tragedia po której długi czas nie mogliśmy dojść do siebie. Był dobrym mężem i ojcem dla Allisson, która miała wtedy dziesięć lat. Zostałam z dzieckiem i żalem do całego świata; strachem przed niebezpieczeństwem, które mogło na nas czyhać na każdym kroku: metrze, sklepie, kinie... Nie wiem czy jesteś w stanie wyobrazić sobie ten rodzaj zaszczucia, które mnie ogarnęło. Mój mąż był tylko w połowie Indianinem walczącym o słuszność sprawy, a ja czułam się teraz niepewna i osaczona.

Nie przerywałam pani Thomson opowiadania i ze współczuciem kiwnęłam głową na znak, że próbuję sobie wyobrazić, ale było to cholernie trudne. O tym się czyta w gazetach, ogląda w telewizji. Gdy bezpośrednio dotyka nas samych, rodzi się bunt i rozpacz, a ja niespodziewanie byłam świadkiem sytuacji, słuchaczem opowieści starszej, miłej pani, która stawała mi się coraz bliższa.

– Gdy pierwszy okres żałoby minął – kontynuowała po chwili milczenia – zapragnęłam, by znów stanął obok mnie mężczyzna, który wypełni samotne wieczory i poranki oraz spowoduje, że znów będę radosna i pełna życia. Allisson stała się nastolatką i poświęcała swój czas zaprzyjaźnionej, młodzieżowej grupie, na szczęście żadnej zwariowanej, bo wiadomo, że w tym wieku jest się podatnym na wpływ środowiska i niektóre przyjaźnie nie zawsze mają chwalebne zakończenie. Allisson jednak związała się z rówieśnikami przy anglikańskim kościele, którzy śpiewali „spirituelsy”. Było tam kilka narodowości, a nawet jedna Polka. Prowadzący tę grupę organizowali dość często wyjazdy, odbył się też festiwal, na którym zespół Allisson zajął drugie miejsce. Mówiłam ci, że pracowałam z dziećmi? No właśnie i wtedy zaczęłam pisać wiersze, które spodobały się również dorosłym. Kilka utworów zostało wydrukowanych w naszym kolorowym, parafialnym informatorze, w dziale dla dzieci. Chciałabyś posłuchać, to przyniosę?

Oczywiście, że chciałam, tym bardziej, że sama ostatnio zajęłam się pisaniem literatury dla małych czytelników. Rachel przyniosła zeszyt i zaczęła czytać. Najpierw o wiewiórce, następnie dwa inne, równie sympatyczne, napisane z dużą dozą literackiej fantazji:

Zmartwienie wiewiórki
Ruda wiewióreczka Basia
ma dziś bardzo smutny dzień:
przyszli drwale, ścięli drzewo
i pozostał tylko pień.
Płacze Basia, w trawie siada
i sąsiadom opowiada:
– Tam mój domek był malutki;
i przytulny i ciepłutki,
co ja teraz biedna zrobię ?
Bez mieszkanka żyć nie mogę.
Sąsiedzi ja pocieszają,
moc pomysłów przedstawiają
radzą do zachodu słońca,

bo to sprawa jest nagląca.
– Nie bądź smutna Basiu miła,
płaczesz, jakbyś sama była.
– Zaraz wszyscy się skrzykniemy,
nowy domek ci znajdziemy,
żebyś miała go przed zimą,
oświadczają z ważną miną.
Pobiegały, pofruwały
stare drzewo napotkały
a w nim dziuplę jak marzenie,
to dla Basi pocieszenie.
Na nowo się urządziła i
przyjaciół zaprosiła,
zołędziami częstowała,
pięknie wszystkim dziękowała.
Już nie zmarznie, już jest rada,
w ciepłe kapcie łapki wkłada,
w koc się cała owinęła
i w fotelu swym... zasnęła.

Nocne niebo

Gdy zmęczone słoneczko twardo, smacznie śpi,
księżyc otwiera swoje srebrne drzwi.
Do zabawy zaprasza gwiazdeczki błyszczące,
by płały po niebie jak panny tańczące...
Rozsypane nocą figlarnie mrugają
i przedziwne kształty pięknie układają...
Jest tam Piesek radośnie mrugający okiem,
ale nie pobiegasz z takim nad potokiem.
Można też zobaczyć Mały Wóz i Duży,
lecz wozy takie nie służą do podróży.
Podobna do misia Niedźwiedzica Wielka,
nie w futro odziana lecz w srebrne światełka.
Czasem można zobaczyć takie gwiazdy na niebie,
może, kiedy dorośniesz zaciekawią ciebie.

- Są radosne i pouczające – powiedziałam, gdy Rachel skończyła czytać swoje wierszyki.
– Z pewnością spodobałyby się Marice i Marysi.
– Myślę, że tak. Możesz zabrać, oddasz przy następnej okazji. – I podała mi kolorowy zeszyt.
Zegar wybił nam dwunastą godzinę, a wszystko wskazywało na to, że historia pani Rachel nabierze stopniowo rumieńców, tak jak ona sama.
– Kradnę twój czas, absorbuję cię moim opowiadaniem, a ty pewnie miałaś inne plany na dzisiejszy dzień?
Nie chcąc sprawić jej przykrości powiedziałam, że mój czas należy do mnie i do trzeciej

po południu mogę go naszemu dzisiejszemu spotkaniu poświęcić. Na twarzy starszej pani odbiło się zadowolenie i ulga połączona z głębokim westchnieniem.

– Może teraz dla odmiany napijemy się herbaty? – zaproponowała.

Z przyjemnością poprosiłam o ten rodzaj, który piła z Allisson podczas naszego pierwszego u nich spotkania: uwodzący swoim zapachem napój z goździków, wiśni i cynamonu. Przystąpiła na ten pomysł i udałyśmy się razem do kuchni. Przechowywała swoje herbaty na regale w kolorowych puszkach z etykietami. Była tam Marakuja, Earl Gray, Exotic Fruit, Organic sleep easy infusion – czyli na dobry sen i kilka innych, których nazw nie zdążyłam zapamiętać. W trakcie przygotowywania herbaty, Rachel opowiadała dalej:

– Byłam wtedy jeszcze dość młoda, parę lat młodsza od ciebie, towarzyska i atrakcyjna. Moi rodzice już nie żyli, ojciec odszedł kilka lat wcześniej, matka zaraz rok po nim. Podobno małżonkowie, którzy bardzo się kochają szybciej opuszczają naszą ziemię łącząc się ponownie, w zaświatach. Słyszałaś o tym?

– Tak, coś w tym jest, moja przyjaciółka wspominała mi kiedyś o podobnych przypadkach. Bywają też fakty odejścia, gdy zbliża się czas narodzenia nowej istoty w rodzinie. Jakby tam, w niebiańskich przestworzach zaplanowana była ilość i równowaga.

– Na szczęście nikt w mojej rodzinie nie spodziewa się potomka.

– W mojej też nie.

I roześmiałyśmy się niczym dwie plotkujące przyjaciółki siadając znów wygodnie do herbaty i pierniczków.

– Wracając jednak do tematu, droga Leni. Bardzo chciało mi się kogoś poznać. Jakie wyjście uznałam za najłatwiejsze? Wiesz o czym chcę mówić, pisałaś o tym w swojej książce. Agencje matrymonialne. U nas też są podobne portale i funkcjonują na nowocześniejszych zasadach. Nie minęło kilka dni, gdy odnaleźliśmy się z Marcelem na video czatach. Kontakt ten jest na tyle korzystniejszy, że wizualnie nic nie da się przed drugim człowiekiem ukryć. Zaczyna się od opowiadania o sobie, rodzinie i przeżyciach... Rodzi się potrzeba akceptacji, zrozumienia przez kogoś, tobą zainteresowanego, znajdującego się z drugiej strony ekranu. Gdy spełnia on twoje oczekiwania i wirtualnie otrzymujesz wszystko, czego pragniesz wtedy pozostaje tylko ustalenie dnia najszybszego spotkania. Wzajemnego ciepła i dotyku nie można przekazać elektronicznie. Chyba, że w poezji, pod wpływem wyobraźni lub we śnie...

Rachel opowiadała o związku z Marcelem, a ja pomyślałam o Wiktorze. Nasz początek był podobny: wypełniony ciekawością, rodzącym się uczuciem, namiętnością, nadzieją na spełnienie, a później wszystko diabli wzięli.

– Spotkaliście się?

– Oczywiście. Należało nam się, bo w naszych wieczornych rozmowach byliśmy szczerzy, coraz bardziej erotycznie śmiali, ale i pełni niepokoju. Dlaczego? Powiedziałam mu o moim stanie zdrowia. Jakoś nie przyjął tego zbyt poważnie do wiadomości i uznał, że o wszystkim można rozmawiać... I przyjechał na cztery dni z miasteczka leżącego niedaleko Bostonu. Powiem ci szczerze, że nazwy nie pamiętam, ale za to inne szczegóły bardzo dobrze – uśmiechnęła się.

– I jak było?

– Cudownie. W prezencie różę i kubek do kawy, też z różanym motywem. Możesz sobie wyobrazić, że jak zachwycona małolata znalazłam się tego samego dnia nie tylko w siódmym niebie, ale i z Marcelem w łóżku? Wszystko, jak sobie wymarzyłam, jak go podczas czatu widziałam, a on potwierdzał swoim zachowaniem i komplementowaniem mnie.

Cholera – skąd ja to znam – myślałam i zaproponowałam, że zrobię ponownie herbatę, bo zaczęło mi burczeć w brzuchu z głodu, a ona słysząc lub zgadując, poleciła:

– Wrzuć do mikrofalówki dwie tortille, są pod talerzykiem, a w miseczce zostało mi od śniadania trochę jajecznicy.

Tortillas -meksykańskie, cienkie, chrupiące naleśniki i opowieść o kochanku, który okazał się draniem. Moja biedna Rachel...

– Pamiętasz jak ci przeczytałam słowa panny Winter z Trzynastej opowieści Diany Setterfield?[35] Tak?

– Moje okropności zrobiły na Marcelu wrażenie, chociaż się do tego nie przyznał. Pozwolił się kochać i pisać dla siebie wiersze. Nie przeszkadzało mu, że moimi zniekształconymi dłońmi pieściłam go, podobno tak uwodząco, jak żadna inna... Zanim jednak zło wkradło się między nas, byłam szczęśliwa. W Marcelu oprócz może smugi cienia miłości jaką dla mnie miał, zagnieździł się strach, którego nie potrafił zniszczyć.

Znasz legendę o Matce Boskiej z Guadalupe? Mogę ci ją szybko opowiedzieć, bo Marcel zabrał mnie do niej pewnego dnia. Miał w tym swój cel, albo po prostu chciał sprawić mi przyjemność. Liczył na cudowne wyleczenie? Nie wiem, o tym nie rozmawialiśmy, gdyż zdrowotnie czułam się wspaniale. Taka jest siła sugestii i uczucia, bo ja już wtedy z każdą godziną nabierałam pewności, że Marcel jest mężczyzną, z którym mogłabym spędzić resztę mojego życia.

Allisson uczestniczyła w szkolnej eskapadzie do Kalifornii, a my zrobiliśmy sobie wycieczkę do miasta Meksyk. Czytałam o tym miejscu bardzo ważnym dla Indian i znanym, jednak nigdy bym nie przypuszczała, że w ciągu roku wzgórze Tepeyac odwiedzane jest przez około siedem milionów osób, różnej narodowości.

To Sanktuarium Maryi, którą Indianie czczą jako patronkę ludzi cierpiących i uciśnionych, nazywając Guadalupana lub pieszczotliwie Morenita znaczy „Czarnulka”. Na obrazie stoi ona w różowej sukni i niebieskim płaszczu z gwiazdami, a nazwano ją prawdopodobnie od określenia coatlaxopueh, co w języku Azteków oznacza biblijnie „depcząca węża”.

Zanim weszliśmy wraz z innymi pielgrzymami do kościoła, który przebudowany w 1895 roku stał się bazyliką, usiedliśmy pod platanami i Marcel posługując się folderem opowiedział mi legendę meksykańskiej Matki Boskiej. Jak to z legendami bywa, w każdej jest dużo prawdy, ale w tą, popartą objawieniami trudno jest nie wierzyć.

Otóż dawno temu, bo w grudniu 1531 roku pewien Indianin, niedawno ochrzczony, o nazwisku Juan Diego, szedł do miasteczka na mszę świętą. Ukazała mu się piękna kobieca postać, która w języku Azteków powiedziała, by udał się do biskupa, wtedy Juana de Zumarraga i przekazał mu jej prośbę dotyczącą pobudowania w tym miejscu domu modlitwy dla mieszkańców Meksyku. Juan Diego opowiedział biskupowi o zdarzeniu, jakie go spotkało, ale kościelny dostojnik wyśmiał Indianina. Po dwóch dniach Matka Boska ponownie ukazała się Juanowi, który zmartwiony opowiedział jej o reakcji biskupa, a sytuacja z odwiedzinami u Juana de Zumarraga powtórzyła się. Kolejnego dnia Morenita znów czekała na biednego Indianina, a gdy tłumaczył jej, że biskup żąda dowodów objawienia, poleciła mu pójść w zaułek oraz zerwać kwitnące tam kastylijskie róże. Wyobrażasz sobie, róże w grudniu na mrozie? Podobno sama ułożyła z nich bukiet i zawinęła w jego płaszcz czyli tilmę. Po przybyciu do biskupiego pałacu, Juan Diego rozwinął płaszcz, rozsypane róże zapachniały prześlicznie, a na tilmie Indianina biskup oraz inni, obecni tam dostojnicy zobaczyli odbicie Matki Bożej i upadli przed nią na kolana. Porywające, prawda?

No widzisz, chciał biskup dowodu objawienia i dostał – zakończyła opowiadanie pani Thompson.

– Czy ty już nie powinnaś iść, Leonio?

Zegar wskazywał drugą. – Jeśli chciałaby pani dokończyć swoją opowieść, to mam jeszcze godzinkę. Rachel westchnęła: – Tak, chciałabym ją mieć za sobą. Może tym samym zainspiruję cię do następnej książki?

Przeczuwałam to. Ona stawała się moim natchnieniem...

– Możesz sobie wyobrazić sobie, że historia Matki Boskiej Guadalupany zachwycała mnie, tym bardziej, że Elias stamtąd pochodził i Marcel o tym wiedział. Modliłam się wtedy o wszystko, o co można prosić przed ołtarzem Azteckiej „Czarnulki” wśród zawodzącego tłumu. O zdrowie, miłość, wierność i jeszcze raz o dużo zdrowia, bo nie tylko nas dwoje, ale i Allisson miałam na myśli oraz wszystkich naszych przyjaciół.

Czy zostałam wysłuchana?

Tak wiele oczekuje się od życia: spełnienia próśb, realizacji planów, marzeń, a najlepiej jakby odbyło się to jak za dotknięciem kastylijskiej róży. Natychmiast!

Wróciliśmy z Marcelem do domu i spędziliśmy następne dwa cudowne dni. Gotowaliśmy razem, kochaliśmy się i prowadziliśmy długie rozmowy o życiu. Na przykład: dlaczego niektórzy ludzie potrafią żyć z jednym partnerem przez całe życie, a inni nie potrafią. I, że nikt nie opuszcza swego partnera bez wyraźnej przyczyny. Logiczne, prawda? To nie życie z nami tak sobie zagrywa. W każdym jego gemie bierzemy czynny udział. Wybieramy drogę i podejmujemy decyzję, która wydaje się być tą najważniejszą, gdyż mamy przecież wolną i nieprzymuszoną wolę! Nie ma więc co tłumaczyć, że stało się, rozleciało, bo takie jest życie...

Życie to przyrodnicze kataklizmy i nieunikniona śmierć, To, co dzieje się między ludźmi jest skutkiem ich postępowania.

Piątego dnia Marcel postanowił wracać. Pracował w bankowości, tak przynajmniej mówił, a jego urlop dobiegał końca. Jeszcze był przy mnie, a ja już mogłam zacząć tęsknić za następnym naszym spotkaniem. Spotkaniem, które nigdy nie nastąpiło...

Minęło kilka dni. Czatu był głuchy na moje zakłęcia. Prawie nieprzytomna z niepokoju i miłości napisałam dla niego kilka wierszy. Wtedy przyszedł list. Namacalny, papierowy... Uwierzysz, że mam go do dziś?

Uśmiechnęłyśmy się obie smutno, a ona jak podczas naszego pierwszego, herbacianego popołudnia wyjęła z szuflady komody swój safianowy notatnik, z którego czytała słowa panny Winter. Podała mi złożoną we czworo popielatą kartkę i powiedziawszy – przeczytaj sama – poszła do kuchni.

List od Marcela kreślony zamasztyłym piórem zawierał kilkanaście zdań.

Podobne listy podnoszą kobietom poziom adrenaliny w najbardziej smutny sposób... drżenie rąk, przyspieszone bicie serca, przyplływająca fala łez albo wzbierająca burzę wściekłości. Najczęściej jednak cichą rozpacz...

Szczery, okrutny drań – pomyślałam składając jego „miłosny” list napisany do biednej Rachel, a ona weszła z uśmiechem niosąc na tacy gorące pierożki nadziewane owczym serem.

– Spróbuj proszę – i spojrzała pytająco na kartkę. Powtórzyłam „szczyry drań”, a ona uśmiechnęła się: – Są związki, które wspomina się z łezką rozrzewnienia, inne zaś z goryczą. – Przegryziemy to – i podała mi pierożek.

– Gdy napisał, że nie może i sorry - próbowałam walczyć, ale tylko tak, aby „moje zdanie było na wierzchu”. Bez czatu i spojrzenia w oczy chciałam mieć rację, bez szansy na wygranę, bo gdy się raz podobne zdania napisze, to przecież nie ma odwrotu.

Odpowiedziałam mu, że dla mnie liczą się w życiu jeszcze inne priorytety. Gdyby nasza sytuacja zdrowotna wyobrażając sobie odwrotnie była podobna, wtedy nie wiem... Czy miałaby dla mnie tak decydujące znaczenie? Wygląd zewnętrzny – owszem, ale jest jeszcze inteligencja, umiejętność życia we dwoje, przekazywanie uczuć i wzajemnej bliskości, nawet na odległość. A

gdzież wyrozumiałość dla kogoś, kto cierpiał, lub dalej cierpi? Pisałam, że chyba potrafi sobie wyobrazić, jak bolesny to dla mnie temat, bo oczywistością jest, że chciałabym być zdrowa i mieć piękne dłonie, takie jak miałam w młodości... No i, że nobody is perfect[36], bo podobno nawet królowa angielska cierpi na reumatyzm i dlatego na oficjalnych spotkaniach nosi rękawiczki. Jednak, jeśli on, Marcel ma w dalszym ciągu inne zdanie i czuje potrzebę otaczania się cielesnym perfekcjonizmem - życzę mu powodzenia w poszukiwaniach.

Odpowiedział, że we wszystkim przyznaje mi rację, że jestem wspaniała i przeprasza...

Chciałabys zapytać, czy mu wybaczyłam? Przebaczenie – to słowo o szerokim pojęciu i głębokim sensie, pełne wiary i wspaniałomyślności. Samo zachwycenie sobą nam nie wystarczyło. Z jego strony zabrakło miłości, bo nie narodziła się ta bezgraniczna, przewidyująca, która wiele zniesie.

Mnie potrzeba było sporo czasu, by ucichł ból, ale pamięć pozostała...

Jakie to dziwne, los odliczył nam czas opowieści. Zegar wybił piętnastą i pani Thompson wstała: – Biegnij Darling po twoje wnuczki, dziękuję ci za wysłuchanie. Myślę, że niedługo ponownie się spotkamy, a teraz położę się.

Podróże w przeszłość potrafią być bardziej męczące niż spacer brzegiem oceanu.

[34] National Congress of American Indians (ang.)

[35] Człowiek tak się przyzwyczaja do własnych okropności, że zapomina jakie wrażenie muszą robić na innych.

[36] Nikt nie jest doskonały (ang.)

We wish you a Merry Christmas, we wish you a Merry Christmas, we wish you a Merry Christmas and a happy New Jahr – zaśpiewała Marika, gdy weszłam do przedszkola, aby ją odebrać. – Uczymy się kolęd, dobrze trafiłam, właściwy czas, prawda babciu?

– Tak, kochanie. Mamy przecież okres przedświąteczny, ale polską kolędę też jakąś umiesz?

– Yes, of course – odpowiedziała podskakując w swoich nowych kozakach na śniegu. Rozmawianie z dziećmi po angielsku wyraźnie jej się spodobało i popisywała się przede mną.

– Przypomnimy sobie w domu, dobrze? A teraz wstąpimy po drodze do szkoły odebrać Marysię.

– Naturellement[37] – odpowiedziała moja kochana lingwi-stka, ślizgając się na udeptanym trochę śniegu i ciągnąc za sobą Sally na smyczy.

– Przydałyby się saneczki – pomyślałam głośno, a w odpowiedzi usłyszałam: – Są w Gdańsku, w piwnicy.

– Jeremi kupi dla was nowe, po powrocie! – rzuciłam głośno, jak wyzwanie. Czy słyszeliście tam w zaświatach? Oddajcie mi go jak najszybciej!!!

Szłam z Mariką z przedszkola ulicą wzdłuż zatoki i z ośnie-żonego parkanu zerwała się biała mewa. Krzyknęła dwa razy w ptasim dialekcie i już jej nie było, a Marika roześmiała się: – Poleciała powiedzieć. Magia nowojorskich wróżek i czarów w dalszym ciągu nam towarzyszyła.

– Mam dla was zeszytik z wierszami od pani Thompson. Myślę, że chętnie sobie poczytacie – zmieniłam temat, trochę wstydząc się własnego wyskoku.

– D'accord[38]– i razem z przytaknięciem Mariki stanęłyśmy przed drzwiami szkoły starszej wnuczki.

– No, nareszcie jesteście – powiedziała bardzo zaaferowana. – Ja mam okropnie dużo zadane i muszę poćwiczyć na pianinie.

– Ależ dobrze, damy radę.

Musiałam pocieszająco przytaknąć i zrobiłam to z nadzieją, że wieczorem pomieszkać sobie spokojnie, i zanim opadną we mnie emocje, popiszę. Miałam na myśli felieton lub reportaż, nie wiedziałam jeszcze dokładnie jak go rozwinę, ale na pewno będzie dotyczył ludzi, którym choroba złamała życie i zabrała miłość. Poćwiczyć z Marysią na pianinie mogłaby pójść przecież Iwona. Ale najpierw należało zaspokoić głód dziewczynek; zabrałam się za smażenie naleśników, które one uwielbiały. Placuszki zapiekane z jabłkami i chrupiącym cukrem, jakie już dawno na naszym stole nie gościły.

– Jakie pierwsze wrażenia, Marysiu?

– Pozytywne, nawet bardzo – powiedziała jak zwykle dorośle. – Trochę się podśmiewali, że mam dziwny akcent, ale zaraz ich miss Kimberly przywołała do porządku. Jak dobrze, że nas mama woziła na języki. Babciu, zawołaj nas, gdy placki będą gotowe – a do Mariki – chodź, coś ci pokażę i musimy to omówić.

Zniknęły na schodach, a ja muszę przyznać, troszkę się zatrwożyłam. Marysia w swoich pomysłach była za bardzo kreatywna. Poznałyśmy ją z tej strony, ale tym razem na pewno dopilnuję i sprawdzę, co ponownie w trawie piszczy. Za oknem miałyśmy piękny, chociaż jeszcze nie bardzo kalendarzowo-zimowy dzień. Popielata wiewiórka przebiegła tanecznym krokiem zostawiając ślady łapek na tarasie. Powinam wyłożyć kilka orzechów dla niej. Wczoraj

rozwiesiłyśmy na drzewie siateczki z pokarmem dla ptaszków i mam nadzieję, że kardynał z czerwonym brzuszkiem znów zacznie nas odwiedzać, tak jak to robił wczesną jesienią, po naszym wprowadzeniu się do Port Jefferson.

Miałam już kopiasty talerz pachnących placuszków, gdy wróciła Iwona. Była uśmiechnięta, a to pozwoliło mi dedukować, że do podjęcia przez nią ważnej, życiowej decyzji jest niedaleko.

Usiadła przy stole, a ja nie mogąc się dłużej powstrzymać rzuciłam stereotypowym pytaniem:

– Jak było? – i patrzyłam na nią wzrokiem tak pełnym napięcia, że moja córka roześmiała się. – Sympatycznie i podniecająco. Są dziewczynki? – Zrozumiałam, że bez Mariki i Marysi niczego się nie dowiem, więc pozostało mi tylko je do nas zawołać. Dziwnie się składa, że kuchnia, choćby była najmniejsza potrafi stać się miejscem przytulnym, w którym pije się kawę, plotkuje lub dzieli wrażeniami dnia; często przegryzając wiadomości czymś pysznym, bezpośrednio z patelni. W mojej kuchni, w kraju było podobnie i lubili ją wszyscy domownicy i bardziej lub mniej zaprzyjaźnieni bywalcy.

Dziewczynki przyszły ogłaszając, że są bardzo głodne, a Marysia po raz drugi poinformowała tym razem Iwonę, że musi koniecznie i „prawie niezwłocznie” iść do miss Allisson skorzystać z pianina, by poćwiczyć zadane, muzyczne wprawki.

Gdy pierwszy głód został zaspokojony, Iwona zwróciła się do dziewczynek: – Myślę, że będę potrzebowała waszej pomocy.

– Ale ja nie mogę, mam lekcje – jęknęła starsza.

– Daj mi proszę powiedzieć. Nie miałam na myśli fizycznego wysiłku. Chciałabym, żebyście mi pomogły podjąć decyzję.

Oczy obu dziewczynek patrzyły na Iwonę z ogromnym zainteresowaniem. Dotychczas mama nie prosiła o taki rodzaj pomocy i zawsze sama o wszystkim decydowała, a one musiały słuchać, ale teraz?...

– Powiem krótko, a wy się zastanowicie.

Odpowiedziało jej kiwnięcie dwóch główek i jedno westchnienie – bardziej przejętej Mariki.

– Dostałam dzisiaj propozycję pracy w firmie, w której pracuje pani Allisson. Zanim jednak zgodzę się na nią lub też nie, chcę porozmawiać o tym z wami.

– To znaczy mam, że miałybyśmy w „Jeffersonie” zostać na zawsze, ty do pracy, my do szkoły i tak dalej? – skonstatowała Marysia. – Miało być krótko i logicznie, więc jest. A to ci heca – myślała w duchu dziewczynka.

– Może nie na zawsze, powiedzmy na jakiś czas. Jak nam się przestanie podobać, zawsze możemy wrócić do domu, ale nadarzyła się nam taka okazja i myślę, że mogłybyśmy z niej skorzystać.

– A mieszkać? U babci fajnie, ale trochę ciasno. Sorry Babi i posłała mi całusa na odległość.

Zmysł organizacyjny Marysi już dawno przestał nas zadziwiać i Iwona uśmiechnęła się do mnie:

– Widzisz mam, do naleśników podano koktajl miłości zmiksowanej ze szczerością i osłodzony całusem, a do Marysi: – Nie martw się, jeśli zgodzicie się, to po Bożym Narodzeniu pomyślimy i nad tym.

Przy stole zapanowała cisza, a po chwili, o dziwo, Marysia zwróciła się do siostrzyczki:

– Co mówisz na to, zostajemy?

Marika jeszcze raz westchnęła, a potem uśmiechnęła się szeroko do starszej: – Jak ty

zostaniesz, to ja z tobą.

– Masz załatwione, mammo! Babciu czy dostanę jeszcze naleśnika?

No tak: Gdzie ty Kajus, tam i ja Kaja.

Sprzątnęłam ze stołu po obiedzie podczas którego nie tylko placki z jabłkami były serwowane. Nowe marzenia zapukały do drzwi, prośby o dziecięce pokoje i przywiezienie ukochanych drobiazgów, które zostały w polskim mieszkaniu, a więc wszystko odbywało się prawidłowo. Problemy związane z każdą, nawet mini przewodzką są podobne i trzeba będzie starać się sukcesywnie i powoli je rozwiązywać.

Iwona poszła na górę obejrzyć efekty dzisiejszego dnia spędzonego przez dziewczynki w szkole i przedszkolu, a po chwili we trójkę szykowały się do wyjścia. Moje ciche życzenie miało się spełnić: poczytam, popiszę, podczas gdy one będą popijać kakao lub herbatę, głaskać Felixa i brzdąkać wprawki u sąsiadek.

Usiadłam do komputera, lecz zamiast pisać - zapatrzyłam się w przeszłość.

Wczoraj Rachel powiedziała, że jej uczucie do Marcela było jak drzazga, którą zamiast starać się wyjąć – pielęgnowała. Rozpamiętując podobieństwo naszych kochanków, pomyślałam, że w sytuacji z Wiktoorem, która mnie spotkała, umiałam zachować się bardziej radykalnie. Czy ten krok był jednak mniej bolesny? Los podarował mi Jeremiego... i od prawie dwóch tygodni wystawia na próbę. Rachel nie zaryzykowała ewentualności poznania nowego mężczyzny, który byłby jej ostoją, radością i spełnieniem. Parawanem osłaniającym przed złem. Jakiś czas temu korespondowała z kolegą jej zmarłego męża, ale i to ucichło. – Wiesz Leni, co smutnego jest w mojej historii? – mówiła – Allisson nie spotyka na drodze nikogo, kto byłby jej wart. Zawirowania w pracy wypełniają dni, zdarzają się weekendy spędzane w gronie przyjaciół, ale nie ma nikogo, kto wypełniłby bez reszty serce mojej córki. Uczuciem, którego każda kobieta pragnie, nawet wtedy, gdy jest innej seksualnej orientacji.

Rozwazałam wczorajsze spotkanie i nagle perkusja mojego serca, którą w chwilach wzruszenia mniej lub bardziej odczuwam, potrząsnęła i moją pamięcią! Co powiedziała Steffi? Powinnam wyswatać Manfreda z Allisson! Dzięki swojej nadprzyrodzonej wiedzy moja siostry przewidywała, że związek tych dwojga ma szansę pozytywnego zaistnienia.

Na co więc czekam? Nie ma czasu do stracenia, bo świąteczne dni za pasem i zamiast obłądnie tęsknić za moim „lawendowym szczęściem”, postanowiłam uczynić coś pożytecznego i to natychmiast. Odszukałam w laptopowym rejestrze mailowy adres Manfreda i z nadzieją, że kontakt jest dalej aktualny, napisałam do niego kilka sympatycznych zdań ubierając je w formę zaproszenia. Wiedząc, że moja córka podczas pobytu w Remscheid była obiektem jego westchnień (i żeby tylko) wspomniałam, że Iwona poznała w Long Island kogoś, kto znalazł miejsce w jej sercu. Mamy zamiar spędzić Christmas w gronie rodzinnym i naszych sympatycznych sąsiadek i jeśli on chciałby dołączyć do noworocznego towarzystwa i powitać razem Nowy Rok - miło zapraszamy.

Jeżeli nawet w zaświatach wiedzą, że ci dwoje mogą być razem szczęśliwi, to spotkanie Manfreda i Allisson powinno być uwieńczone sukcesem.

Przesłanie Stefii poszybowało na drugą półkulę ziemską. Siedziałam bardzo z siebie zadowolona i myślałam nad planowanym felietonem, gdy do przedpokoju wpadła Marysia wołając od progu:

– Babciu! Mama prosi, żeby babcia zaraz przyszła, bo pani Thompson zaczyna opowiadać niewiarygodne rzeczy.

Narzuciłam kurtkę, a moja wnuczka idąc obok mówiła poufnie: – Ona jest już starszą

osobą, prawda? Może zaczyna fantazjować, jak Harry Potter?

– Marysiu! O co chodzi? – Nie wiem dobrze, opowiada coś o wojnie, a zaczęło się od zegarów.

– Dobrze, że przyszłaś droga Leni – powitała mnie Rachel z uśmiechem. – Bez ciebie trudno byłoby mi zebrać myśli i kontynuować nasze spotkanie.

Siedziała na fotelu, odświętnie ubrana z wypiekami na twarzy, jak zawsze, gdy miała zamiar w rozmowie poruszyć ważkie dla niej tematy. Znowu przyszła mi na myśl moja ostatnia rozmowa ze Steffi. Mając na myśli panią Thompson, powiedziała: ciekawa jestem jak ona to rozwiąże... oraz... ma przesłanie dla ciebie do spełnienia, a dużo czasu jej nie zostało...

Podeszłam bliżej do Rachel i uściskałam ją:

– Mogę ci w czymś pomóc?

Uśmiechnęła się: – Tylko usiądź i słuchaj.

Sytuacja wydała mi się zabawna, ponieważ wszystkie siedziały w dużym pokoju i każda z nich miała kubek herbaty w dłoni. Mnie również takowy Allisson natychmiast podała, dziś była to herbata jaśminowa.

– Moi rodzice chętnie ją pili – wyjaśniła Rachel i nabrawszy tchu zwróciła się do Marysi:

– Pamiętam dobrze, że gdy byłaś pierwszy raz u mnie, spodobał ci się ten duży zegar.

Wtedy obiecałam ci, że jeszcze na ten temat coś opowiem, prawda?

Obie dziewczynki kiwnęły głowami.

– Mam kilka zegarów, gdyż lubię widzieć, jak mój czas upływa, aby niepotrzebnie nie utracić ani minuty. Są w łazience, w kuchni i oczywiście w sypialni. Ten duży przedstawia jednak dla mnie największą wartość.

– A dlaczego? – odważyła zapytać Marika. Atmosfera wydała mi się dziwnie podniosła i zauważyłam, że nasza ciekawość wzrasta z każdą minutą. Może oprócz Allisson, która wyglądała na zamyśloną i duchowo niezbyt z nami obecną.

– Dlatego, że dawno temu kupił go mój ojciec, Stanisław dla swojej żony, a mojej matki, w pierwszą rocznicę ich ślubu.

– Piękny prezent – pochwaliła Marysia. Iwona wstała i odstawivszy swój pusty kubek, zapytała:

– Stanisław? Miał polskie imię?

– Był Polakiem, imigrantem z waszej Polski, a moja matka, Amerykanką.

Ze wzruszenia wcisnęło mnie w fotel. Ach, Steffi tak długo utrzymałaś naszą rodzinną tajemnicę! Dzięki opowieści mojej siostry, z którą spędziłam na poddaszu pewne popołudnie, nikt oprócz mnie i pani Thompson nie znał do dziś kolei losu mojego dziadka.

Najprawdopodobniej wiedziała jeszcze Allisson, bo to także jej dziadek. Próbo-wałam za wszelką cenę powstrzymać łzy, które napływały mi do oczu.

– Co to znaczy być imigrantem? – Marysia jak zwykle potrzebowała jasności określeń.

– Ludzie, którzy przenoszą się do obcego kraju, by w nim zamieszkać nazywają się imigrantami – wyjaśniła Iwona.

– Bywa, że staje się to przypadkowo, a sam los podejmuje za nich decyzję. Pierwsza wojna światowa rozruciła wielu ludzi po świecie i tak też znalazł się w Ameryce Stanisław, poznając po drodze pewną pielęgniarkę, która została jego żoną.

– Jak miała na imię pani mama? – Marika też lubiła dokładność.

– Christine.

Iwona spojrzała na mnie nie tyle przejęta, co zaciekawiona, a ja pokiwałam głową i

wytarłam nos, bo przypominałam sobie opowiadanie Steffi i coraz bardziej chciało mi się płakać. Wtedy nie bardzo jej wierzyłam i aby zobaczyć ponownie Ścianę Pamięci na Ellis Island, z wyrytym przez dziadka jego nazwiskiem, też się wybrać nie zdołałam. Od dziś wszystkie mamy do odrobienia lekcję historii.

– Po moim ojcu, z tamtych lat została tylko jedna pamiątka. – Pani Thompson wstała i z szuflady komody, w której najprawdopodobniej przechowywała wszystkie swoje skarby, wyjęła małe pudełko po miętowych czekoladkach, a z niego zegarek. Był to jeden z tych okrągłych czasomierzy z łańcuszkiem, jakie nosili w tamtych czasach mężczyźni w kieszeniach kamizelek – przypinając koniec łańcuszka specjalną klamerką do jednej z dziurek od guzików eleganckiego w pewnej mierze ubioru. Zegarek taki miał przeważnie srebrną kopertę, którą można było otworzyć, by przeczytać często wygrawerowane imię i nazwisko właściciela, lub dedykację; jeśli przedmiot był otrzymanym od kogoś prezentem.

Pani Thompson podała go najpierw Iwonie i moim wnuczkom, przy czym otworzyła kopertę zegarka.

– Tu jest coś napisane – powiedziała Marysia – i głośno przeczytała: – Kochanemu Stasiowi – Krysia. Gdańsk, luty 1889. – Ojej, to było strasznie dawno – stwierdziła i nie wnikając dłużej w rodzinne koligacje, podała go mnie. Wzięłam zegarek z należnym mu szacunkiem i podeszłam do Rachel. Miałam wrażenie, że zapach jaśminowej herbaty ustąpił waniliowemu, który unosił się w pokoju. Rozejrzałam się, ale nie zauważając Steffi vel miss Stella przytuliłam moją ciocię Rachel Thompson:

– Bardzo dziękuję ci, że jesteś – powiedziałam – i tobie też Allisson. Tak naprawdę, nie wiedziałam komu powinnam okazywać moją wdzięczność, ale w głębi serca wierzyłam, że okazja taka z pewnością kiedyś nadejdzie.

Do łez wzruszone zaczęłyśmy się ścisnąć i całować, a dziewczynkom obiecywać, że dalszy ciąg rodzinnych historii opowiemy jutro, a teraz marsz do łóżek, bo czara niespodzianek na dzień dzisiejszy została wypełniona po brzegi.

W hotelowym wazonie stały białe róże,
w szafie, na świąteczny wieczór czekały jego skrzypce...

[37] Naturalnie (franc.)

[38] Zgoda (franc.)

Od rana towarzyszyły jej mieszane uczucia, z którymi musiała sama się uporać. Radość ustępowała niepewności i w sercu odzywały się drobne wyrzuty sumienia, które uciszała wiedząc, że tym razem ona, Iwona ma rację i tylko dla siebie powinna zachować nadchodzące wydarzenie. Raz po raz czytała otrzymany przedwczoraj esemes, sprawdzając, by wśród ostatnich rodzinnych zawirowań nie pomylić daty, i jednocześnie jak dziewczyna mająca swoje tajemnice odczuwała niesamowitą radość.

– Masz może jakieś nowe wiadomości od Jacquesa? – zapytała wczoraj Leonia.

– Niestety nie, mamuś. Myślę jednak, że otrzymamy niebawem, gdy „Morelowi” uporządkują swoje sprawy w Europie – odpowiedziała wtedy pół żartem, pół serio idąc układać swoje córki do snu.

Dzisiejszy dzień tak bardzo oczekiwany! Niech mi nikt nie przeszkadza, błagam, jeszcze tylko włosy, czy ta suszarka nie jest zbyt głośna? Makijaż... Po cichu uchyliła drzwi sypialni – śpijcie jeszcze trochę moje gwiazdeczki – życzyła dziewczynkom w myśli, schodząc na palcach po schodach do kuchni.

– Śniadanie na jednej nodze, kawa niedopita, spieszysz się gdzieś? – Leonia obrzuciła ją baczny spojrzeniem.

– Jestem umówiona z Allisson w City, ona już pojechała, a ja popędzę za nią.

Odprowadzisz moje małe kobietki na zajęcia i odbierzesz je, gdybym nie zdążyła wrócić do piętnastej?

Objęła matkę prosząco, ucałowała za potwierdzające kiwnięcie głową Leonii i szybko wyszła, zanim ta zdążyła o coś zapytać. Bała się, że dłużej nie zachowa w tajemnicy ogromnej radości, którą niemal promieniała.

– Obudź je za chwilę proszę, bo już czas – zawołała jeszcze zamykając drzwi za sobą.

Jakież cudowny poranek! Promienie słońca srebrzyły przed domem warstwę śniegu. Spadł minionej nocy i niektórzy poeci napisaliby, że tego dnia powietrze było jak balsam. I mieliby rację – myślała. Balsam, balsamem, ale śnieg trzeba będzie po południu odmieść, a to jest przecież męskie zadanie, pas vrai, monsieur Morelly[39]?

Wsiadła do stojącego przed domem auta Jeremiego, które używała od czasu jego wyjazdu i nim ruszyła, połączyła się z Allisson:

– Hi, już wyjeżdżam. Zdążymy coś razem zjeść, czy jesteś zajęta? Tylko kawę? Dobrze, gdzie jesteś? West Broadway? Już jadę.

Od pamiętnego dnia przyjęcia przez Iwonę propozycji dotyczącej wspólnej pracy, obie kobiety stały się sobie bliższe. O zawarciu przyjaźni nie można było jeszcze mówić, gdyż słowo to dla Iwony zawierało spory potencjał lojalności, szczerości i zrozumienia. Nie wiedziała na ile może zaufać Allisson, ale bardzo chciałaby zaprzyjaźnić się w NY z kimś wartościowym. Za przykład służyły jej wzajemne relacje Patrycji i mamy. Tym bardziej, że Allisson jest blisko, na wyciągnięcie ręki. Wczoraj spędziły razem dwie godziny na dość pobieżnych zwierzeniach, bez zagłębiania się w bolesne szczegóły, a dziś? Iwona poprosi ją o drobiazg, o coś, co w kryminalnej literaturze nazywa się ALIBI. Tak na wszelki wypadek.

– Good luck! – uśmiechnęła się Allisson po wysłuchaniu prośby Iwony. Objęła ją, dodając: – Bardzo cieszę się na takie rodzinne Boże Narodzenie. I nie wracaj zbyt późno! – Ostatnie zdanie zabrzmiało jak miłe upomnienie starszej, troskliwej siostry, której brak Iwona

często w życiu odczuwała.

Postawiła auto na miejscu przeznaczonym dla gości hotelowych. Spieszyła się tak bardzo, że przypominała bohaterkę słów piosenki z dawnych lat. Tamta dziewczyna biegła świtem bladym, białym ranem jak na skrzydłach, i nie wiedziała czy na jawie śni, czy we śnie... Mama też lubiła tę piosenkę.

Dzisiejszy ranek był podobny. Nadszedł czas, który ona, Iwona sprowokowała: los dał nareszcie dzień, który sama wyreżyserowała, jakby nagle odkryła w sobie talent ujmowania steru życia we własne ręce. A ON nie miał nic przeciwko temu... i napisał, że twórcza energia oraz inwencja w życiu jest jak najbardziej wskazana, a kto ją posiada, powinien dzielić się owym darem z drugą osobą. Proszę, podziel się nią ze mną, a w zamian daję ci moją tęsknotę i oczekiwanie – napisał...

Hotel Danfords, po drugiej stronie zatoki w porcie Jeffersona – dodał. Jak widzisz, jeszcze w kwiatach, bo zrobiłem to zdjęcie nie znając ciebie i w najśmielszej wyobraźni nie przypuszczając, że kiedyś będzie miejscem naszego spotkania.

W recepcji dowiedziała się, że pan Morelly przyleciał z Nicei wczoraj i zajmuje pokój numer sześćdziesiąt siedem.

Zapukała i słysząc zapraszające: – Entrez – otworzyła drzwi hotelowego pokoju. Jacques stał przy oknie i widząc ją wchodzącą, uśmiechnął się: – Bonjour Yvonne. Miał na sobie czarną koszulę, tegoż samego koloru spodnie. Barwa oznaczająca żalobę... Choć niektórzy ludzie czernią swoich ubiorów wcale jej już nie celebrowują, dziś w jego wyglądzie było to oczywiste, tak samo, jak przeżycia ostatnich dni.

Jak dziwnie. Na widok syna Jeremiego odczuwana przez Iwonę radość mieszała się z zażenowaniem. Oto biegła do mężczyzny, którego poznała przed miesiącem, który fascynował ją i o którym niewiele wiedziała. Oprócz jednej nocy spędzonej nad zatoką po Dniu Dziękczynienia; godzin wypełnionych opowiadaniem o sztuce i muzyce, przy księżycu. Oprócz zanurzenia się w jego ramiona i te niesforne loki, mimo męskiego wieku chłopięcej fryzury artysty z Kalifornii. I jeszcze ciepło jego ust jak ulotna obietnica zapisana na wizytówce przed odlotem. Czy po dzisiejszym spotkaniu obiecywała sobie zbyt wiele?

– Salut, Jacques.

Niesamowite uczucie. Z przejścia suchość w ustach. A on powtórzył: Yvonne i podszedł do niej. Spojrzenie miał jak wtedy, bursztynowe i czułe.

– Taką ciebie zapamiętałem...

Czy było to wczoraj? Znów znalazła się w jego ramionach. Błogosławione niech będą powroty i realne powtórzenia. To nieprawda, że dwa razy nic się nie zdarza! Ciepło ust, łagodność, uspokojenie, ciche zaszeptanie o tęsknocie i zachwycie pomysłem spotkania, zanim pochłonie ich świąteczne, rodzinne zawirowanie. Aby wszystko czego pragnęli, spełniło się jeszcze dziś...

Czułość? Zamienimy je zaraz w niecierpliwie ogarniające nas szaleństwo...

Zanim wzajemnie, sobie i innym życzyć będziemy szczęścia i cieszyć się pod zieloną gałęzią jemioli z radosną wstążką.

W hotelowym, wazonie stały białe róże, które dla niej kupił. W szafie, na świąteczny wieczór czekały jego skrzypce...

– Babciu, czy ty umiesz puszczać zajączki?

Przyznać trzeba, że Marysia nieraz potrafiła zaskakiwać swoimi pytaniami i reakcjami dotyczącymi wielu tematów.

Miałyśmy słoneczne, grudniowe popołudnie. Wróciłam z dziewczynkami do domu i zabierałam się do przygotowania małego, jak mawiał Kubuś Puchatek „conieco”. Tym razem miały to być grzybki – kurki w śmietanie i duszone ziemniaki. Danie, również przez moją wnuczkę-wegetariankę zaakceptowane.

Obie przyszły do kuchni z lusterkami, zabranymi z łazienki.

– Cóż to za pomysł? Jasne, że umiem.

– Robiliśmy dzisiaj w szkole z panią i wiesz babciu o czym ona nam opowiadała?

– Zamieniam się w słuch – powiedziałam zaczynając obieranie ziemniaków. Miałam nadzieję, że Iwona także zjawi się na obiad.

– Miss Kimberly mówiła, że lusterka są bardzo starym wynalazkiem i kiedyś wyglądały zupełnie inaczej, jak te dzisiejsze, bo robiono je z oszlifowanych błyszczących kamieni. Szklane, pokrywane metalem, na przykład srebrem można było kupić dużo później.

– Coś takiego – udałam zdziwienie. – A co wspólnego z historią powstawania lustra ma puszczenie zajączków?

– Pani powiedziała, że dla ludzi lusterka były czymś w rodzaju pierwszego Internetu.

Marika roześmiała się: – Co ty mówisz?

– No właśnie – kontynuowała poważnie Marysia. – Szkoda, że nie mogę wam zademonstrować, bo na dworze jest zimno i nie chce mi się ubierać. Porównanie z Internetem dlatego, bo wtedy nie było jeszcze telefonu, ani radia czy telewizji, a ludzie porozumiewali się na odległość puszcając do siebie „zajączki”, naturalnie w słoneczny dzień. Podobno mieli też „zajączkowy alfabet”, jak morse’a.

– Co to jest? – zainteresowała się młodsza.

– A to zupełnie inny temat. Będziesz się o tym wszystkim uczyć, gdy pójdziesz do szkoły – skwitowała wyniośle starsza, a ja uśmiechnęłam się:

– Gdy jedna z was stanie w kuchni, a druga w pokoju, możecie puścić do siebie „zajączkowy sygnał”. Duży pokój o tej porze dnia jest najjaśniejszy. Najważniejsze, by słoneczny promień padł na lusterko i nastąpiło jego odbicie.

– Babciu, tak właśnie porozumiewaliśmy się w klasie, jak starożytni ludzie! Chodź, Marika, spróbujemy.

Usiadłam przy kuchennym oknie i patrząc na jasną, zaśniewaną ulicę myślałam, że gdyby ten sposób porozumiewania był dziś realny, puściłabym w kierunku Prowansji dużo srebrnych, lustrzanych zajączków...

W danym momencie, nie „zajączek” i jego lustrzane odbicie, lecz najprawdziwszy obraz dwojga młodych ludzi przeciwstawił się za szybą moim myślom.

Wysiedli z samochodu przed naszym domem: moja uśmiechnięta, szczęśliwa córka z naręczem białych róż i on – syn Jeremiego ze skrzypcowym futerałem pod pachą, w którym przechowywał muzykę i swoje marzenia.

Stewardesa pełniąca swoje obowiązki na pokładzie samolotu, zatrzymała się przy nim proponując różne napoje. Poprosił o kieliszek koniaku. Sącząc go małymi łykami wracał myślami do przeżytych dni. Czuł potrzebę przetworzenia ich w sobie na nowo, by potem jak przeczytany list lub wysłuchaną do końca, po raz wtóry płytę odłożyć do szuflady.

Jacqueline i jej dość skromna uroczystość pogrzebowa. Wszystko, co pozostało z ich trzydziestu lat niósł teraz Jacques w kremowej urnie z wygrawerowanymi literami: Jacqueline Sorel... bez dodatku ich wspólnego nazwiska. – Jakie to dziwne, że gdy ogarnęła ją choroba, ilość przyjaciół zmniejszyła się w zastraszającym tempie. Ci, którzy okazjonalnie wypełniali towarzyską wesołością jej dom, nagle obawiali się, że nie znajdą właściwych słów na chociażby jeden telefon, gdy wiadomo już było, że czas pożegnania na zawsze zbliża się nieuchronnie. Z pewnością, trudno jest je znaleźć gdy wyświechtane: nie martw się, wszystko będzie dobrze nie mają sensu. Może sama obecność, potrzymanie za rękę, bo kto nosił miano lub uważał się za jej przyjaciela, w zaistniałej sytuacji powinien. Ale nie każdego z nich było na to stać. Tak mówiła wczoraj Marie-Claire, która szła w pogrzebowym kondukcje obok niego, a po jej drugiej stronie Oliver. Ten, który zabrał mu żonę. Z uczuciem satysfakcji, za którą zaraz w głębi duszy się skarcił pomyślał, że Oliviera nie było przy niej, gdy odchodziła. Jeremiego też nie, bo Jacqueline umarła nad ranem...

Poprosił Marie-Clarie, by zajęła się mieszkaniem. Mieli to zrobić razem z Jacquesem, który chciał przedłużyć swój urlop o kilka dni. Rozważali nawet możliwość wprowadzenia się jej tam, gdy tylko Oliver zabierze z mieszkania Jacqueline swoje rzeczy.

– Cholernie bolesny przypadek – powiedział do Jeremiego po pogrzebie. Ale taki elegancki rodzaj nowotworu, bo mógłby być na przykład odbytu.

Gdybym miał więcej odwagi, dałbym temu prostakowi w zęby – myślał. Chyba nawet powinienem, ale w duchu życzyłem mu takiego właśnie... końca.

Och, Jacqueline! Dla kogo ty nas opuściłaś...

Opróżnił kieliszek i poprosił przechodzącą właśnie obok stewardesę o jeszcze jeden.

Remy Martin. Leni. Któregoś wieczoru, krótko po urządzeniu się w Port Jefferson, siedzieli razem przy kominku, popijali koniak, a Leni śmiała się: – Remy jak Jeremi... i mówiła – chodź, do mnie mój Martin.

Jak ona przyjmuje jego nieobecność? Jak znosi? Nie odezwała się. Nic oprócz krótkiego: bien, gdy dał jej znać, że szczęśliwie przybył do Nicei.

On też nie odezwał się już przeszło tydzień, bo wiedział, że nie znajdzie właściwych słów, by zza oceanu mówić lub pisać o tym, co przeżywał z synem w Prowansji. Opowie jej. Wierzył, że go zrozumie.

Usiadł wygodniej, poluźnił zapięty pas i dopiero teraz zauważył, że nie jest sam w tym rzędzie. Współpasażerka zajmująca miejsce przy oknie obróciła się w jego stronę i obdarzyła uśmiechem. Mógłby przysiąc, że gdy wsiadał do samolotu w Nicei ten fotel był wolny.

– Znamy się?

Gestem, który przypomniał mu Yvonne potrząsnęła włosami. I wtedy wiedział.

– Nie bardzo wierzyłem, że naprawdę istniejesz powiedział przypatrując się jej bacznie.

– Istniejesz... zbyt wiele powiedziane.

– Nie dziw mi się, wszystkie opowiadania Leonii o tobie wydawały się czasami mało

prawdopodobne.

– Powinieneś jej wierzyć... We wszechświecie wszystko jest możliwe. Nie ogarniacie tego, możemy wiele, co wy określacie science fiction lub magią – mówiła zamyślona.

Ze zdziwieniem zauważył jej oczy nad wyraz błyszczące. Czy Anioły potrafią płakać? Nie mylił się, Steffi była smutna.

– Moja misja dobiega końca. Muszę was opuścić.

– Poczekaj chwilę, spotykałaś się z Leni?

– Najwyższy czas, żebyś wracał, czekają na ciebie.

Odetchnął z ulgą.

– Muszę iść do Michaela, – powiedziała wstając. Adieu!

– Kto to?

– Nasz pierwszy pilot, możemy mieć za chwilę turbulencje, powinien uważać. Jego żona spodziewa się dziecka. Wymagana jest nadzwyczajna koncentracja.

Przypomniał mu się wiersz Leonii, który kilka lat temu napisała dla malutkiej Mariki:

Łyżeczka porannego uśmiechu

dwie łyżki słonecznych promieni

zza firanki

kubeczek kaszki manny,

która z nieba spadła -

dodać razem do garnuszka

osłodzić jednym całusem,

wymieszać z waniliowym mleczkiem

i wypić duszkiem

- w towarzystwie Aniołka,

który właśnie usiadł

na brzegu łóżka...

Rozeźmiał się uszczęśliwiony. Więc one naprawdę istnieją! Poczuł czyjś dotyk na swoim ramieniu i otworzył oczy. Stewardesa pochyliła się nad nim:

– Comment allez-vous ? Tout va bien?[40]

– Oui, oui, merci![41]

W przejściu, przez nikogo niezauważona Steffi oddalała się w kierunku kabiny pilotów. I to było właśnie to, o czym rozmawiali... Życie w wszechświecie – przez żyjących nie do ogarnięcia. Tajemnica, której mu nie zdradziła.

Na monitorach ukazał się świetlny plan, a stewardesa zapowiedziała ostatnie, kilkanaście minut lotu. Poprawił pozycję fotela i podniósł żaluzję na okienku. Słońce oślepiło go, skrzydło samolotu minęło ostatnią na tej wysokości chmurę. Przypominała jedwabny szal, którym była dziś otulona siostra Leonii.

Zamyślił się, a potem wyjął komórkę i zaczął pisać wiadomość, by wysłać ją z lotniska:

Leni! Wysłałem do Ciebie list z Antibes. Normalną pocztą. To nic, że będę chyba wcześniej niż on, ale chciałem, żeby tak było. Gdy odbierzesz go i przeczytasz, wtedy on tylko potwierdzi dzień mojego obudzenia z letargu ostatnich dni, pełnych nieufności i niepokoju. Leni - wracam do domu, za chwilę lądujemy na JFK. Kocham Cię - Jeremi.

[40] Czy pan się dobrze czuje? (franc.)

[41] Tak, tak, dziękuję (franc.)

Merry Christmas!

Choinka – dwumetrowy, kanadyjski świerk sięgał prawie sufitu. Jacques stał na drabinie i próbował umieścić na czubku drzewka dekoracyjnego Anioła z rozłożystymi skrzydłami, odzianego w srebrną sukienkę. Marika i Marysia z przejęciem trzymały z każdej strony rozstawioną drabinę i młodsza, mając na myśli Jacquesa zapytała starszej: – Lubisz go? Na co starsza, przyciszonym głosem odpowiedziała: – No, może być. Mam nadzieję, że nie zleci.

Siedzący obok mnie na podłodze Jeremi usłyszał również tę „przed” wigilijną konwersację, wskazującą na dziecięcą aprobatę jeszcze jednego mężczyzny w naszej rodzinie. Uśmiechnął się i zawołał: – allez, allez, kto chce pomóc zawieszać ozdoby na choince?

Jak na komendę chcieli wszyscy. Nawet Sally wybrała sobie do zabawy jedną z bombek, a Iwona przestała mieszać w kuchni gotującą się wigilijną kapustę i zaczęłyśmy razem rozwijać najdłuższy chyba na świecie, mieniący się szklanymi paciorkami łańcuch, kupiony oczywiście w tajemnicy przede mną. Przyszła też kolej na inne świecidełka, błyszczące kule, barwne pierrotki, koniki na biegunach i dużo srebrnych gwiazdek.

Przedwczoraj wrócił Jeremi. Swoje przybycie zaanonsował esemesem, który jak meteor spadł z nieba i zatrzęsł ponownie moim światem... Mon Dieu! Ileż ja musiałam znieść w ciągu ostatnich dni!

Czekałam na niego, wątpiałam, tęskniłam, a jednak – potrzebowaliśmy pół dnia i całej, bezsennej nocy, by oswoić się z wydarzeniami, które nas dotknęły i umieć cieszyć się znów wzajemną bliskością.

Dziś przyszedł list nadany w Antibes. Jak dobrze, c'est magnifiques – powiedział Jeremi, że poczta zdążyła przed Świętami. Dlaczego było to tak bardzo ważne? Nie wiem, bo wiadomości zamkniętej w błękitnej kopercie z francuskim znaczkiem jeszcze nie przeczytałam. Postanowiłam zostawić sobie, jak gwiazdkowy prezent pod choinkę. Przeczytam jutro, bo ja umiem czekać. Życie nauczyło mnie? Być może, chociaż wcale nie zgadzam się ze zdaniem, że... najpiękniejsze jest oczekiwanie.

Jeremi wcale się mojej decyzji nie dziwi.

Wigilijny wieczór polsko-amerykańsko-prowansalski skrada się drobnymi krokami. Powinnam dodać jeszcze meksykański, bo Allisson obiecała zadziwić nas pewną regionalną potrawą. Oczywiście obie z Rachel są do nas zaproszone. Ku wspomnieniu minionego lata przygotujemy z Jeremim łososia w papilotach, a reszta menu to już polsko-amerykański misz, masz, wymieniać nie będę, bo to nie książka kucharska. Może kiedyś, osobno wydam taką w międzynarodowej wersji?

W naszej sypialni pod łóżkiem od czasu do czasu słychać cichutkie chrobotanie... To chomik dla dziewczynek – czeka, aby stać się gwiazdkowym prezentem. Trochę nam jego skrobanie wczorajszej nocy przeszkadzało, ale staraliśmy się go nie słyszeć, szepcząc sobie nawzajem miłe różności. Jakie? – Nieważne – powiedziałyby moja wnuczka. No właśnie. Sally też musiała pogodzić się z absolutnym nocowaniem u dziewczynek, ale tylko do jutra, potem będzie zamiana.

Manfred podziękował nam serdecznie za zaproszenie. Przybędzie z Remscheid dzień przed Sylwestrem i uzgodniłyśmy już z Rachelą, że „młodzi panowie” skorzystają z noclegu w domu pod platanami, czyli po sąsiedzku, obok nas. Jacques nocuje już u pani Thompson, bo nagle nastąpiło u nas sympatyczne zaludnienie, które my – Jeremi i ja oczywiście z radością

przyjmujemy.

Otrzymaliśmy dużo świąteczno-noworocznych życzeń. Jennifer poleciała już do Polski i Charlie spędzi Świąta u Jane i Franka. Na Sylwestra jednak zaprosiliśmy ich w trójkę do nas. Nie mamy nic przeciwko temu, by Charlie pobyl nawet troszkę dłużej. Liczymy na pedagogiczne i lingwistyczne zdolności Marysi wobec tak mądrej papugi.

– Co ty tam stukasz i stukasz, siedząc tak samotnie ? Jeremi pochylił się nade mną i moim notebookiem, który sprawiłam sobie podczas jego nieobecności. – Kilka przedświątecznych wiadomości – uśmiechnęłam się. – Później dokończę i wyślę mailem do Patrycji.

Pochylił się niżej:

– Szaloną masz tę nową fryzurę, Cherie – i pocałował mnie w szyję.

O matko moja, czy już mówiłam, że przy takim jego cudowaniu mięknię jak ten wosk kapiący z niesfornej świeczki stojącej obok mnie, na blacie stolika?

Nie zdążyłam zareagować ani odpowiedzieć, bo Iwona dała nam wszystkim hasło do wyjścia na zimowy spacer do City. Nie zauważyłam kiedy ubieranie choinki zostało bez mojego udziału zakończone, kartony, kartoniki uprzątnięte, a moja córka proponowała:

– Pojedziemy na promenadę Brooklyn Heights. Mam nadzieję, że znajdziemy miejsce do zaparkowania. Zaraz przyjdzie Allisson, to podzielimy się na dwa auta. Właśnie dzwoniłam do nich. Ciocia Thompson chce zostać w domu, ale mówiła, że koniecznie powinniśmy zobaczyć dekoracje na Brooklyn Bridge i bajeczną dzielnicę Dyker Heights właśnie na Brooklynie.

– Czemu bajeczną? – Marika już miała założone kozaczki i pełen oczekiwania uśmiech na buzi.

– Tak mówią. Podobno od trzydziestu lat znana jest mieszkańcom Nowego Jorku jako dzielnica najbardziej ekstrawaganckich dekoracji świątecznych w całym mieście. Szczególnie 11 Avenue i 82 Avenue mają najpiękniej udekorowane świąteczne domy.

– Co to znaczy ekstrawaganckich?

– Ubieraj się mała, zobaczysz, to zrozumiesz. To oczywiście Marysia powiedziała, dla której znaczenie wielu wyszukanych słów było już zrozumiałe.

– Od prawie trzech tygodni przy Rockefeller Center na Manhattanie stoi oświetlona olbrzymia choinka – mówiła dalej Iwona. – Zobaczycie jakie robi na was wrażenie. W tym roku ma podobno trzydzieści osiem metrów wysokości!

Patrzyłam z uśmiechem na moją radosną córkę krzątającą się przy swoich córkach i opowiadającą o wizualnych atrakcjach, jakie nas podczas wyprawy do City czekają. A Iwona już teraz robiła wrażenie na synu Jeremiego, który patrzył na nią z zachwytem.

Merry Christmas everyone...

Nie spodziewałam się, bo trudno było coś podobnego przewidzieć... Wigilijny ranek nam nastał, a od dwóch dni, po obudzeniu się, moje pierwsze spojrzenie wędrowało na prawą stronę naszego łóżka, gdzie spał Jeremi. Teraz, zamiast Morelowego zobaczyłam leżącą piżamę. Po mojej zaś stronie, na nocnym stolczku leżała karteczka z informacją, że pojechali z Jacquesem do City kupić kilka drobiazgów. I jeszcze prośba, abym zajrzała do torby.

Papierowa torba fioletowego koloru usiana złotymi gwiazdkami. Czy ten kolor kiedyś nam się znudzi? Nie daj Boże! Niech trwają nasze dni, nie chcę więcej żadnych zmian w moim życiu!

W torbie dotknęłam czegoś miękkiego, jedwabnego... ale najpierw znalazłam jeszcze jedną karteczkę z wigilijnym poleceniem:

Gdy już przymierzysz, przeczytaj proszę mój list z Antibes. Wesołych Świąt, Cherie – Jeremi

Roześmiałam się. Fantazja Morelowego przekroczyła granice najśmielszego oczekiwania. Spodziewałam się gwiazdkowego prezentu, ale wieczorem, przy choince.

Sięgnęłam ostrożnie do torby, świąteczny papier zaszeleścił, jeszcze folia, a z niej na moje kolana wysunęła się lawendowa sukienka!

Odłożyłam delikatnie jedwabny materiał i... poszłam wziąć prysznic! Na tego rodzaju premierę chciałam być wytwornie przygotowana.

W domu panowała cisza. Dziewczyny odsypiały jeszcze wrażenia wczorajszej eskapady i nawet Sally nie zwabiły moje kroki.

Sukienka miała długość, jaką lubiłam, to znaczy do połowy łydki i była lekko poszerzana, dookoła dekoltu przyjemnie sfalowana. Przyznać muszę, że moment przymierzania rozbawił mnie. Jej rozmiar mógł przecież wcale nie pasować i kupowanie kobiecie czegoś tak „na oko” jest ze strony mężczyzny dużym ryzykiem. Zasuważąc błyskawiczny zamek – dalej podziwiałam odwagę Jeremiego, a gdy stanęłam przed naszym sypialnianym lustrem, prawie odjęło mi mowę. Lawendowa była piękna, a ja wyglądałam elegancko i młodo.

Zamiast biżuterii, dodatkiem do niej miał być list? Cóż tak ważnego zawierał? Wyjęłam go z szufladki mojego nocnego stolika i otworzyłam kopertę. Napisany na błękitnym papierze z małą ryciną hotelu, w którym nocował Jeremi. Pełna nadziei, że nikt mi w czytaniu nie przeszkodzi zamknęłam drzwi sypialni i zanurzyłam się w czasie przeszłym – dokonanym, przeżytym przez Jeremiego w Nicei i Antibes.

Ma Cherie Leonie...

Słowa wypowiedane są ulotne, zdania wysyłane drogą internetową giną czasem bezpowrotnie... dlatego wybieram pióro i arkusik listowego papieru.

Jest wieczór i pada deszcz. Krople wody spływają po szybach i spiesząc do nikąd, mieniają się kolorami ulicznej lampy. Wróciłem z odwiedzin w moim rodzinnym domu, z wycieczki w przeszłość, o której Ci po powrocie opowiem. O prowansalskich wnętrzach, kuchni i pokojach na poddaszu, gdzie drzemią wspomnienia z dzieciństwa. O oliwkowych drzewach i kwiatach, które żyją nadzieją zmartwychwstania na wiosnę...

Leni! Chcę, abyś wiedziała, że chociaż byłem daleko, nie opuściłem Cię ani na moment

moim sercem. Każdego wieczoru, przed zaśnięciem myślałem jak przyjmujesz moją nieobecność i czy zrozumiesz milczenie. To były bardzo trudne dni... O śmierci, która się zbliża lub została dokonana powinni rozmawiać ze sobą umarli. Ja nie umiałem. Uwierz mi proszę i wybac.

Wracam do Ciebie z nieodpartym uczuciem, że ta prowansalska farma i ogród czekają na nas oboje. Myślę, że nie tylko one. Zanim zakwitną liliowe pola, chciałbym Ci pokazać jeszcze inną, czarującą okolicę i cieszyć się nią razem z Tobą. Aiguines, małe miasteczko nad jeziorem Sainte Croix i posiadłość znajomych moich rodziców i ich członków rodziny, których też odwiedziłem – Château de Chanteraine. Zamek, z którego okien roztacza się wspaniały widok na jezioro i niedaleko przepływającą rzekę Verdon. Tam moglibyśmy również podziwiać dary przyrody i degustować serwowane przez moich znajomych regionalne pyszności.

Pamiętasz, co Ci kiedyś opowiadałem o wierzeniach Japończyków? Oni twierdzą, że małżeństwo zawarte na lawendowym polu w lipcu lub sierpniu będzie zawsze szczęśliwe...

I przybywają na południe Francji, by powiedzieć sobie sakramentalne „tak”.

Leni! Oto chcę Cię prosić, na wszystko o czym wiesz, co we mnie znasz i do mnie czujesz, powiedz proszę TAK! Jeremi.

Siedziałam jak zaczarowana, wpatrzona w błękitną kartkę. Chłoniłam całym ciałem jego słowa, obawiając się, że to jeszcze jeden ze snów, które mnie czasem nawiedzały. O Jeremim, lawendowych ogrodach i ćwierkaniu świerszczy. Starym domu z zapachem ziół i zachodzie słońca nad rzeką Verdon, o której pewnego razu wspominał. O budzących nas swoim świergotem ptakach, dzikich króliczkach buszujących w trawie, słonecznikach Van Gogha złojących prowansalskie pola.

Zaraz się obudzę, to nie może być prawdą. Mam pięćdziesiąt jeden lat i właśnie przeczytałam, że mężczyzna, którego kocham oświadczył mi się pisemnie i poetycko. A może to tylko moje niepokorne marzenia?

...Słowa jak przyptyw. Nasze życie składa się z przyptywów i odpływów. Jak wtedy w Hiszpanii, ale to były inne, obce dni... Dziś czas przyptywu... i już nie jestem samotną muszlą wyrzuconą na brzeg. Znajduję, podnoszę kilka twoich słów. Są jak perły.

...Czy stoję u źródła i jak wodę mogę teraz czerpać garściami radość i nie pozwolić, by reszta życia z Jeremim przepłynęła nam między palcami, a nasze zachwycenie nie stało się uzależnieniem?

Wielokrotnie jeszcze pochylę się i zaczerpnę, bo wierzyć chcę, że znaleźliśmy coś dawno poszukiwanego, co wcale nie musi być nazwane absolutnie i do końca. Zbyt wiele pewności często rodziło we mnie strach, obawę o przemijanie, bo bałam się być szczęśliwa.

Łagodnie i biskoptowo pachnie dzisiejszy ranek. Tak mówiła kiedyś Aurelka...

Zdjęłam sukienkę i przewiesiłam na fotelu. Założę ją wieczorem i wtedy odpowiem Jeremiemu.

Oboje przecież wiemy, że: Kochać się to nie znaczy patrzeć na siebie nawzajem, lecz patrzeć w tę samą stronę

Posłowie

Kiedy znów się spotkamy nie pytajcie, czy istnieli naprawdę: Jeremi, Leonia, Yvonne i Jacques, przemiła pani Thompson, jej córka Allisson i jeszcze kilkoro innych.

To postacie, które możemy spotkać każdego dnia, a w każdej z nich jest cząstka moich przyjaciół, znajomych i mnie samej. Utożsamiamy się z nimi, fantazjujemy, marzymy... Ja, która piszę i Wy – czytelnicy.

Mam nadzieję, że moi bohaterowie ogarnięci rodzinnym ciepłem; w Porcie Jefferson, Kalifornii lub Prowansji – pozostaną szczęśliwi.

Jeremi – partner inteligentny, wierny i romantyczny, prawie doskonały... Są jeszcze tacy? Wierzę, że istnieją. A dlaczego „Morelly”? Nazwany dość banalnie, stworzony przeze mnie, bo ze wszystkich owoców najbardziej lubię morele.

Ten zapach, złocisty miąższ i uwięzione w nich słońce.

Anna Strzelec

Podziękowanie:

Dance Sochackiej za ożywianie moich wspomnień z NY

oraz menu Święta Dziękczynienia,

Elwirze Izdebskiej-Kuchta za życzliwość, korektę i redakcję, Marii Turek, Ewie Klejewskiej

i Basi Kwiatkowskiej za dodające mi energii serdeczne komentarze w trakcie powstawania książki,

Katarzynie Krzan za wydawniczą kreatywność

oraz pozostałym przyjaciółom i czytelnikom za cierpliwość w oczekiwaniu na opowieść

o dalszych losach Leonii i Jeremiego.



In memory of Darla who died giving life at 37 years.



Restauracja Seafood w Port Jefferson,
która serwowała pyszne, rybne dania



Seawolf - szkoleniowy statek Jeremiego



Widok na zatokę o zachodzie słońca



Little Mozart - przedszkole Mariki



Hotel Danfords w Port Jefferson

spotkanie Jacquesa i Iwony



Elm Heath - Farmacja, w której zatrudniono Iwonę



Jedna z bajecznie ozdobionych kamienic na Boże Narodzenie
w dzielnicy Dyker Heights w Nowym Jorku